

B
WF
UW

10734

TOMASZ PARCZEWSKI

KRONSZTADT
NA TLE REWOLUCJI ROSYJSKIEJ


WYDAWNICTWO
KASY IMIENIA MIANOWSKIEGO - INSTYTUTU POPIERANIA NAUKI
WARSZAWA - PALAC STASZICA

1935

KRONSTADT
BY THE REVOLUTIONARY

TOMASZ PARCZEWSKI

10734

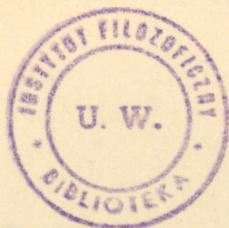


KRONSZTADT

NA TLE REWOLUCJI ROSYJSKIEJ

WYDAWNICTWO
KASY IMIENIA MIANOWSKIEGO - INSTYTUTU POPIERANIA NAUKI
WARSZAWA - PALAC STASZICA

1935



10734

SEMINARIUM SOCJOLOGICZNE
Uniwersytetu Warszawskiego

~~W imw 3467~~

H-122820

Wypadki rewolucji rosyjskiej wywołały obfitą literaturę w różnych językach. Najmniej może ukazało się prac z tej dziedziny w języku polskim, jakkolwiek liczni Polacy byli świadkami przewrotu rosyjskiego, a niektórzy wzięli w nim nawet czynny udział. Tłumaczy się to tem, że naród nasz sam przeżywał zbyt głęboki przewrót, aby udzielać więcej uwagi temu, co się działo u naszego wschodniego sąsiada. Niemniej posiadamy szereg cennych wspomnień, zapisanych przez Polaków, naocznych świadków przewrotu rosyjskiego. Do nich należy i wydany obecnie pamiętnik Tomasza Parczewskiego. Autor miał tę wyższość nad ~~innymi pamiętnikarzami~~ polskimi, że jako urodzony i wychowany w Rosji był doskonale zżyty ze społeczeństwem rosyjskiem, dobrze je znał i rozumiał, a więc mógł trafnie uchwycić istotną treść obserwowanych przez siebie zjawisk. Ta dobra znajomość Rosji nie szła jednak u niego w parze z idealizacją wszystkiego, co rosyjskie. Przeciwnie, w pamiętniku wyraźnie występuje punkt widzenia krytyczny i polski. Życie się ze społeczeństwem rosyjskiem pozwoliło autorowi odegrać pewną rolę w ówczesnych wypadkach politycznych, jakkolwiek jako człowiek pracujący naukowo politykiem wcale nie był. Przez trzy miesiące był on gubernatorem cywilnym Kronsztadu za rządów Kiereńskiego w r. 1917. Wypadki, w których brał pośredni lub bezpośredni udział, lub których był świadkiem, opisał wiernie, żywo i zajmująco, opierając się niewątpliwie na robionych przez siebie współcześnie notatkach. Stąd pochodzą liczne cyfry i daty, czyniące opowiadanie bardziej wiarogodnym i konkretnym. Same wypadki, opisane przez niego, miały niewątpliwie doniosłe znaczenie w rozwoju rewolucji rosyjskiej

i rzucają dużo światła na charakter samej rewolucji. Terenem bowiem opisywanych przez autora wypadków było miasto Kronsztadt, główna twierdza morska Rosji, baza floty bałtyckiej i klucz dawnej stolicy carów. Kronsztadt był trzykrotnie widownią wypadków rewolucyjnych i wszystkie trzy rewolucje kronsztadzkie zostały przez autora dokładnie opisane. W ten sposób pamiętnik Parczewskiego staje się ważnym źródłem historycznym, oświetlającym doniosłe epizody rewolucji rosyjskiej. Lecz poza faktami historycznymi czytelnik poznaje w pamiętniku życie rosyjskie w czasie rewolucji ze wszystkimi jego jaskrawościami, a przede wszystkim poznaje samego autora, człowieka sympatycznego, towarzyskiego, idealistę, oddającego się studjom filozoficznym, który w ostatnim roku swego pobytu w Rosji stał się »rejze-profesorem«, wykładającym filozofję kolejno w Petersburgu, Witebsku i Astrachaniu.

Rzecz oczywista, że długotrwały pobyt autora w Rosji musiał się odbić na języku i stylu jego pamiętnika. Wydawca postarał się o usunięcie zbyt jaskrawych rusycyzmów; język pamiętnika zachował jednak pewną cechę egzotyizmu. Egzotyizm ten nie jest jednak pozbawiony swoistego wdzięku. Energiczny i zwarty styl dobrze maluje charakter autora.

Autorowi nie sędzone było doczekać się wydania pamiętnika. Ciężkie przeżycia rewolucji skróciły pracowite życie. Niech ta książka zachowa pamięć o tak ciężko doświadczonym przez los pracowniku naukowym.

J. JAKUBOWSKI

PRZEDMOWA

Na tle wielkiej rewolucji rosyjskiej żadne z miast bezkresnej Rosji nie zdobyło tego rozgłosu, co Kronsztadt.

Za Kiereńskiego wystąpił Kronsztadt, jako gniazdo agitacji komunistycznej, niosąc ją na całą Rosję; za bolszewików — dwukrotnie przeciw nim powstawał. I za drugim razem tak potężnie zatrzęsł posadami Sowietów, że wywołał głębokie zmiany w ich ustroju. Powstanie to jest pierwszym przełomowym momentem w rewolucji październikowej.

Krwia i żelazem pisze karty dziejów wojna i rewolucja... Ale i na tem ponurem tle, pełnem grozy, odcina się karta Kronsztadu.

Piszę o Kronsztadzie w epoce rewolucji. Jako przypadkowy i na krótko mieszkaniec Kronsztadu całą rewolucję rosyjską przeżyłem w Kronsztadzie. Więc zewnętrzna strona wypadków jest mi znana całkowicie. Później, fala rewolucji i przypadkowy zbieg okoliczności wysunęły mnie na stanowisko gubernatora Kronsztadu, i te wypadki, dzięki którym Kronsztadt zdobył rozgłos, toczyły się niezadługo przed moją nominacją lub podczas mego urzędowania. Dzięki temu znaczna część i wewnętrznej strony wydarzeń stała mi się znaną. Naogół zaś, mam wrażenie, że nikomu z Polaków (a i z Rosjan — też bardzo niewielu) wypadki kronsztadzkie nie są znane w takiej pełni, jak mnie. —

Wspomnienia niniejsze mogą zapewne zainteresować i Rosjan, bo dotyczą właśnie ich państwa i życia; piszę jednak je głównie dla nas. Mogę się bowiem nieco przyczynić do poznania naszego wschodniego sąsiada, którego mojem zdaniem, nie znamy. Rosji nie znaliśmy i nie znamy. Przed wojną, w czasach okupacji rosyjskiej, prawdziwa Rosja była zasłonięta przed nami

ta jej częścią, która stanowiła okupację i która odbierała chęć poznania samej Rosji. Dziś zasłonięta jest przez bolszewizm, który jest już okupacją samej Rosji przez bolszewików (słowa samego Lenina o «cienkiej warstwie» bolszewików, którzy panują nad Rosją). Widzimy Rosję przez czerwone szkła terroru bolszewickiego. Co do książek o Rosji, wydanych u nas już w czasach niepodległości, — to jest ich znikoma ilość: jakieś 10-15 tytułów. A i te są przeważnie albo bardzo powierzchowne, albo bardzo tendencyjne; pisane często w tonie nienawiści lub pogardy dla samego narodu.

Jeśli taki stosunek był usprawiedliwiony w czasie okupacji — niewoli, to teraz, wydaje mi się, jest niewłaściwy. Ubliżałby raczej nam. Jeśli nie znamy Rosji, musimy ją poznać. Traktować to zadanie należy obiektywnie, »sine ira et studio«. —

Wspomnienia niniejsze są ułożone w porządku chronologicznym, według tych trzech okresów, kiedy Kronsztadt występował czynnie, kiedy o nim mówiono. Są to lata: 1917, 1919 i 1921. Nazywam te wystąpienia: I-y, II-i i III-i Kronsztadt. —

O ile wiem, niema i w rosyjskim języku monografji o całości dziejów rewolucyjnych Krosztadu. Jest jedynie wydanie czterestu n-rów gazety kronsztadzkiej czasu oblężenia r. 1921, opatrzone krótkim wstępem redakcyjnym¹⁾.

W tem wydaniu znajdujemy opinie powstańców o ich ruchu, jako o trzeciej rewolucji, licząc kiereńszczyznę za pierwszą, a przewrót 25 października — za drugą. Podział taki jest jednak całkiem bałamutny. Ani bowiem rewolucja Kiereńskiego, ani przewrót bolszewicki nie były ruchami zaaranżowanymi przez sam tylko Kronsztadt. Prócz tego, przeciwko władzy bolszewików Kronsztadt powstawał już w r. 1919.

Ja, natomiast, biorę dla charakterystyki Kronsztadu jego tylko ruchy.

W pierwszym okresie (pierwszy Kronsztadt) jest on bazą agitacji bolszewickiej; w drugim (drugi Kronsztadt) dzięki odpływowi wgląd Rosji znacznej części marynarzy bolszewików zmienia się nastrój, jest możność zorganizowania ruchu antybolszewickiego, i mamy wybuch powstania r. 1919, które jest

¹⁾ »Prawda o Kronsztadzie« wyd. »Wola Rossii«, — Praga Czeska 1921. Jest to zbiór czterestu numerów gazety »Izwiestja« Kronsztadzkiego Komitetu Powstańczego.

w pewnym związku z ruchem wojsk »białych« z Estonji (zakończonym ofensywą Judenicza) na Petrograd. Przyczem sam Kronsztadt nie został wciągnięty do sprawy (zawczasie wykryto spisek), — wystąpiły tylko forty. W trzecim okresie (trzeci Kronsztadt) nastrój antybolszewicki jeszcze wzrasta, i już sam Kronsztadt i flota z najbardziej czynnym po stronie bolszewickiej w r. 1919 dreadnoughtem »Petropawłowsk« występuje przeciwko bolszewikom; przeciwnie zaś fort »Krasnaja Gorka« jest — tym razem — w ręku rządu sowieckiego.

Taki podział daje możność wyraźniej przedstawić kolejne zmiany oblicza Kronsztadu i jego rolę w każdym okresie.

Wreszcie muszę zaznaczyć, że nic tu od siebie nie dodałem, niema tu żadnej »literatury«. Jest tylko ścisły opis tego, co sam widziałem i znam dobrze. Jedyne w rozdziale o III Kronsztadzie (str. 196 - 216) korzystałem z wymienionego wyżej drukowanego materiału, wydane go przez es-erów po ucieczce z Kronsztadu, oraz z opowiadań znajomych i dawnych moich uczniów, którzy ocaleli.

W tych wspomnieniach uwzględniono dwie strony: zarówno stronę wydarzeń politycznych, jak i obraz życia podczas rewolucji, t. j. tło rewolucyjne. Strony te przenikają się nawzajem, jedna bez drugiej nie jest zrozumiała.

Wspomnienia te, to wspomnienia przeżyć z wielkiej wojny i rewolucji człowieka przeciętnego, który wielkiego udziału w wypadkach nie brał, sam umyślnie wrażeń nie szukał, a sporo jednak widział i przeżył.

KRONSZTADT

POŁOŻENIE I ZNACZENIE.

Żółto-szare, brudne są fale Bałtyku, zwłaszcza w zatoce Fińskiej. Mało poezji ma w sobie ta zatoka. Zimno, wiatry szalone...; ponure, rzadko wzniesione brzegi... Jakiś niewesoły, chmurny, twarde, surowy kraj. Na samym wschodnim krańcu zatoki leży stolica Rosji — Petersburg, przechrzczony z początkiem wojny na Petrograd, by nie brzmiało z niemiecka, — powstały na bagnach na rozkaz Piotra Wielkiego. Zwąziła się przed nim zatoka do wąskiej gardzieli i zatknięta jest u początku wąskiego miejsca jak korkiem — twierdzą Kronsztadem, — na rozkaz tegoż Piotra.

Jeśli wyjść w mroźny jasny dzień zimowy na wybrzeże Newy w porcie Petersburskim, to i gołym okiem zobaczyć można na śnieżnej płaszczyźnie na horyzoncie wyraźnie odcinające się kilka wieżyc kościelnych, kominy fabryczne i złotą kopułę soboru... to Kronsztadt. Sobór ten, niedawno zbudowany (na wzór Św. Zofji w Konstantynopolu) panuje nad miastem i widoczny jest z wielkiej odległości — do trzydziestu kilometrów. Zbudował go Polak, inżynier Szawernowski.

Kronsztadt jest to forteca morska, broniąca niedawnej stolicy Rosji — Petersburga, założona przez Piotra W. w r. 1704. Miasto zaś w r. 1713. Leży na wyspie Kotlin, położonej w odległości 28 kilometrów od Petersburga. Zatoka Fińska tu się zupełnie zwąza, do jakichś 16 - 17 km. I Kotlin leży prawie pośrodku między brzegami: od południowego 7 kilometrów, od północnego — 11 km., licząc od wschodniego cypla wyspy. Od południa przy samej wyspie idzie nurt głęboki i wartki rzeki Newy. Dlatego tu jest głęboko i tędy chodzą statki; reszta zatoki jest całkowicie zamulona piaskiem, który niesie Newa, i jest prawie mielizną. Głęb zaczyna się dopiero na zachód od wyspy. Cała ta część zatoki, od Kronsztadu do Petersburga nazywa się »Markizowa łuza«.

Wyspa Kotlin jest długa na 10 kilometrów, ale wąska, w najszerszym miejscu, na wschodnim krańcu ma około jednego kilometra szerokości. Ten wschodni, szerszy skrawek wyspy zajmuje miasto Kronsztadt (na oko — około 2 km. kwadratowych). Samo miasto nie jest fortecą. Fortecę stanowi szereg fortów między brzegami na małych przeważnie sztucznych wysepkach. W linię tych fortów wchodzi zachodni cypel wyspy Kotlin, na którym znajduje się fort, a właściwie — baterja »Rif«. Jednak, to jest stara część fortecy, o przestarzałej fortyfikacji i słabszej artylerji. Właściwą siłę Kronsztadu stanowiły dwa nowe forty brzegowe, wysunięte na 20 kilometrów na zachód. Jeden na brzegu fińskim — fort »Ino«, dziś nieistniejący, wysadzony przez Rosjan w chwili oddawania Finnów w kwietniu r. 1918; drugi południowy, na brzegu oranienbaumskim, — fort »Krasnaja gorka« (tak się nazywał jeszcze za carskich czasów). Były to potężne, nowoczesne forty. Zamykały one swym ogniem zatokę, obejmując i wyspę i sięgając przeciwległych brzegów. Wobec przejścia terenu dawnego fortu »Ino« do obcego państwa, oraz zdemonstrowania i zniszczenia »Krasnej gorki« w czasie rewolucji, stracił dziś Kronsztadt swe dawne znaczenie, przynajmniej tymczasem.

Prócz tego, że jest fortecą, jest jeszcze Kronsztadt największą (i główną) bazą floty wojennej, których flota rosyjska bałtycka miała cztery. Dziś jest to wogóle jedyna baza tej floty. Są tam doki i pracownie remontu, oraz tam uzbrajane są okręty. Na krótko przed wojną był wykończony największy suchy dok dla drednotów, zbudowany przez Polaka, wspomnianego inżyniera Szawernowskiego.

Miasto Kronsztadt, dość czyste, całe murowane, — liczyło mieszkańców do 40,000. Było przeważnie drobnomieszczańsko-urzędniczo-wojskowe. Dojazd do Petersburga był bezpośredni statkiem i trwał półtorej godziny. Można było jechać i drogą na Oranienbaum, wtedy morzem było pół godziny i kolejną — półtorej. W zimie, kiedy zatoka skuta lodem, komunikacja była trudniejsza, bo trzeba było jechać sankami przez zatokę, a tam i w najładniejszą porę zawsze wiatr przesywający.

Chcąc opisać wypadki rewolucji w Kronsztadzie, muszę zacząć od mego tam przeniesienia się na dwa lata przed wojną. Muszę opisać i Kronsztadt przedwojenny. Da to możliwość zrozumienia tego tła, na którym wybuchła tam rewolucja, oraz mego stanowiska wobec wypadków.

W roku 1911 musiałem odbyć wojskowość. Urządziłem się początkowo niezłe, w samym Petersburgu (gdzie mieszkałem od szeregu lat), w awjacji. Lecz kiedy złożyłem moje dokumenty, a władze zobaczyły, że jestem katolikiem, — musiałem szukać innego przydziału, gdyż, jak się okazało — katolik nie mógł być przyjęty do lotnictwa. W czasie wojny brali, lecz przed wojną był zakaz. Widząc, że muszę porzucić Petersburg, musiałem uprzednio urządzić rodzinę. Otóż żona otrzymuje posadę w gimnazjum w Kronsztadzie. Przewożę ją tam z córką, a sam jadę do Moskwy. Ku końcowi mej służby w wojsku okazuje się, że otwiera się w Kronsztadzie wakans i dla mnie. Posyłam więc papiery i wracam już z wojska na gotową posadę w innym zresztą gimnazjum kronsztadzkiem, a było ich tam trzy. — Posada, jak dla Polaka, nieco niezwykła, — mianowicie — zostałem nauczycielem języka rosyjskiego. Polak i katolik i... nauczyciel języka rosyjskiego! W istocie rzecz się miała zupełnie prosto: w r. 1911 właśnie dopuszczono w głębi Rosji do nauczania języka rosyjskiego i nie-Rosjan. Prawda, fachowców nie-Rosjan prawie nie było. W całym okręgu, razem ze mną było 2-ch czy 3-ch. Co do mnie, to slawistykę obrałem całkiem przypadkowo i z musu, albowiem dla właściwej mej specjalności — filozofji, nie było jeszcze samodzielnego wydziału, musiałem więc przy filozofji dobrać coś jeszcze, jakiegoś pasorzyta. No i ten poboczny fach dał mi niebawem możność zarobkowania. Miałem pozatem wyjątkowe naturalne dane do tego przedmiotu, posiadałem bowiem język rosyjski idealnie, władając nim o wiele lepiej od przeciętnych Rosjan, nawet od moich kolegów-nauczycieli rosyjskiego. Koledzy początkowo nie mieli żadnej wątpliwości, że jestem Moskalem. Dopiero kiedy spytali, czy nie błąd to w moim dyplomie pozycja o wyznaniu, odpowiedziałem, że nie, że jestem katolikiem i Polakiem. Jak dziś pamiętam zdębenie kolegów, zwłaszcza popaprefekta. I choć się z tem pogodzili, długo potem kiwali głowami: »No, no!... a jak mówi! I skąd Polak tak mówi po-rosyjsku. W dodatku tym najpiękniejszym akcentem petersburskim!«

Osiadłem więc od jesieni r. 1912 w Kronsztadzie, mając za wyraźny cel — trzy lata studjów w zaciszu, a potem habilitację przy Uniwersytecie w Petersburgu i, co za tem idzie, porzucenie Kronsztadu.

Jakże wyglądał Kronsztadt przed wojną? Miasteczko tak blisko od Petersburga, dookoła woda, podobało mi się. Prawda, dawniej

miało złą opinię, mówiono, że zaludnione jest przez »swołocz otea Joanna Kronsztatskago«¹⁾; to jednak w chwili naszego przyjazdu miało ono wygląd wcale przyzwoity. Było tam przedewszystkiem czysto, co w miastach rosyjskich jest wielką rzadkością; bez kurzu, bez chuliganów etc. Porządek zaprowadzony przez ówczesnego gubernatora Niemca, Wirena, był wzorowy. A jeżeli dodam, że powietrze bez porównania czystsze, niż w Petersburgu, a życie o wiele tańsze, zwłaszcza lokale, to rzecz zrozumiała, że takie miasto jak na parę lat i dla zacisznej pracy — miało dla mnie dużo powabu. Dziecko ma powietrze, ja — stolicę pod bokiem, a na miejscu wymarzone warunki do pracy: absolutny spokój i żadnych rozrywek, ani knajp, ani szantanów, ani teatru niema. Towarzystwo bardzo nieliczne. Monotonnie to, co prawda, zato zdrowo i cicho.

Pozatem, z innych względów, było to najzwyczajniejsze prowincjonalne miasto, niczem się nieodznaczające. Chyba tylko tem, że przeważna część inteligencji czuła się tu jak w hotelu, każdy bowiem przyjezdny urzędnik marzył o tem, by się jaknajprędzej stąd wynieść. Bo choć i blisko stolica, ale w zimie komunikacja ciężka; no a samo miasto własnego życia ani umysłowego, ani wogóle kulturalnego nie miało. Więc dzięki temu ognisk prawie żadnych nie było; zrzyszali się tępo, a trzymali się małemi kółkami zosobna. Prócz oczywiście mieszczan kupców tubylców, związanych tu nieruchomością, lub związkami pokrewieństwa. Pozatem zaś separatyzm tak dalece był posunięty, że naprzykład nauczycielstwo szkół średnich, a było ich z morską szkołą — cztery, nie znało się ze sobą, poprostu nie byli znajomi. Czasowi przybysze nie odczuwali w tem żadnej potrzeby. Związków żadnych, oczywiście, przed wojną nie było. A więc trzymali się zosobna urzędnicy różnych kancelaryj, osobno — nauczycielstwo gimnazjum męskiego klasycznego, a osobno — realnego, a żeńskiego — znowuż osobno; osobno i personel szkoły morskiej technicznej. A oficerstwo też osobno, i to tak, że artylerja sobie, piechota sobie i marynarka znowuż sobie. No i oczywiście osobno kupiectwo.

Skupiało się to nadzwyczaj rzadko... na jakiejś uroczystości oficjalnej, jubileuszu; czasem jakiś teatr zjedzie, lub opera. Był wreszcie, jak zwykle klub, gdzie grano w karty.

¹⁾ Chuligani, którzy stanowili swiętę »otea Joanna«. Dla robienia sobie popularności ten pop miał zwyczaj od czasu do czasu jadąc ulicą sypać dookoła miedziaki (z tych znacznych ofiar, które do niego płynęły na cele dobroczynne, lub jako honorarjum za »cudaa«). Ściągało to olbrzymie masy hołoty zewsząd i było powodem ciągłych awantur.

Gubernator Wiren przez skąpstwo niemieckie nie podejmował towarzystwa, nie urządzał przyjęć, nie skupiał na balach i wieczorach, jak to zwykle na prowincji; a samo towarzystwo z własnej inicjatywy żadnych kroków nie robiło. Więc życia społecznego i towarzyskiego w Kronsztadzie, rzec można, nie było wcale. A oczywiście, że i politycznego życia, tego co wtenczas zmuszone było kryć się, — też nie było. Były tam jakieś bunty w r. 1905, ale, jak mi tubylcy opowiadali, były nieznaczne i wyłącznie w wojsku, a inteligencja, towarzystwo udziału w tym ruchu, przynajmniej widocznego — nie brało. Przypuszczam, że do tej bierności musiał się przyczynić skład towarzystwa. Drobnicy urzędniczy, nauczycielstwo, personel techniczny warsztatów etc... wszystko to o poziomie kulturalnym niewysokim, żyjące interesami życia codziennego, potrosze kartami, ... zupełnie pozbawione wybitniejszych jednostek. Żadnych zainteresowań chociażby cokolwiek przekraczających potrzeby codzienne. I trochę tam zazdrości do szczęśliwych, zazdrości czysto jednak platonicznej.

Ogólne wrażenie ubóstwa i... zatechłego zaścianka, choć to pod bokiem stolicy.

Przypominam sobie charakterystyczną okoliczność, która przedstawia tę rzekomo wyższą intelektualnie warstwę — nauczycielstwo, w świetle takim zaściankowem. Oto, wkrótce po mojem sprowadzeniu się, ten i ów z kolegów wypytuje, dlaczego tu trafiłem, jakie mam plany etc. Odpowiadam, że chcę 2-3 lata popracować, a potem się habilituję, więc mi tu akurat dogadza. I... o zdziwienie!... każdy z moich kolegów na osobności, w prywatnej rozmowie ze mną uważał sobie za obowiązek wyznać, że on też miał dawniej zamiar habilitować się, marzył o karierze naukowej, ale... okoliczności, warunki! etc. Słucham i uszom nie chcę wierzyć! Ot, myślę sobie, do jak uczonej sfery trafiłem! rzadki to wypadek.

Jednak z dalszych stosunków nie wyczułem tej atmosfery naukowej, tego ducha nauki, jakiego po tym wstępie mogłem oczekiwać. Wręcz przeciwnie — nie zauważyłem tam nawet prostej inteligencji, nawet zainteresowania do własnego przedmiotu, nie mówiąc już o cudzych. Mało kto coś czyta prócz gazet, rozmów o czemś zajmującym brak absolutny. Mówi się jedynie o drobiazgach służby, o awansach, zapomogach świątecznych, lub o kartach, pijatyce, drobnych intrygach; ...ploteczki, — tylko.

Zaproponowałem kiedyś, aby zaprenumerowano wydawnictwo »Nowe idee« w filozofji, matematyce, fizyce i t. d. To była rzecz

nowa, ciekawa i nader pożyteczna. Zaprenumerowali. A po upływie pół roku — wniosek bibliotekarza, że należy zaniechać prenumeraty, nikt bowiem z kolegów (zaprenumerowałem dla siebie osobno, na własną rękę) nie wziął do czytania ani jednej z tych książek, i leżą one nierozcięte. I zaniechali.

Dopiero wówczas zrozumiałem, dlaczego każdy chciał uchodzić za uczonego. Zazdrość małych ludzi, zgnębionych przez życie, którzy nie mogli pogodzić się z tem, że ktoś może chcieć czegoś i do czegoś dążyć. Jak to, — on? A my nie? I my też! No choć tak, słowami. Byli to nudni, ordynarni rosyjscy urzędniczkwowie z galerji typów Czechowa. Takimi też okazali się i później, podczas rewolucji. Wtenczas, kiedy już nie mogli mówić, że ich caryzm gnębi, bo wszystkie możliwości stały otworem. Otóż i wtenczas przez jakieś 10 miesięcy istnienia już związku nauczycielskiego i lekarskiego na nic zdobyć się nie mogli. Żadnej inicjatywy, żadnej pracy nad sobą, ani jednego wykładu czy to dla innych, czy dla siebie... nic, a nic. Głupie i nudne były ich zebrania z nieskończonemi sporami z racji wyborów i z nieskończonemi wyborami z racji sporów. Aż wreszcie zaprzestali zbierać się wogóle. A ilość członków była pokazna: dwieście osób. Koniec był taki, że przy żadnem głosowaniu nie było minimalnego »quorum«.

Rozwodzę się nad tem tylko dlatego, aby uwydatnić, jak ubogo przedstawiała się klasa kulturalniejsza w Kronsztadzie i czego po niej można było się spodziewać podczas rewolucji. To też, jak zobaczymy w dalszym ciągu, rewolucji ona nie robiła. Przeciwnie, zlekła się rewolucji odrazu i żadnego prawie udziału w niej nie brała.

Co się tyczy załogi fortecy, to artylerja korzystała z najlepszej opinji. Oficerstwo inteligentniejsze, zupełnie przyzwoite, żołnierze lepiej wyglądają, dyscyplinowani. Marynarze—oficerstwo—są miejscową śmietanką. Co do szeregowców — trzymają się gorzej, z racji wpływu miejscowego bataljonu karnego morskiego. Jednak Wiren i ich wymusztrował. Najgorzej prezentowała się piechota (199 i 200 pułki) żołnierze drobni, brudni, niepokazni, wyglądali gorzej od marynarzy i artylerzystów; oficerstwo jakieś szaraczkowe, nie eleganckie; w każdym razie stawiano ich pospolicie na trzecim miejscu. Nie mieli oni ani tego wyglądu, ani wykształcenia, co marynarze i artylerzyści. Byli to jednak ludzie przyzwoici i wszędzie w towarzystwie przyjmowani i dobrze widziani. Wielu z nich było miejscowych mieszkańców. Mówię o tem dlatego, że podczas woj-

ny zaszły tu znaczne zmiany i dzięki tym właśnie zmianom rewolucja w Kronsztadzie miała ten, a nie inny przebieg i fizjonomję. Ja o tych zmianach dowiedziałem się niestety tylko wtenczas, kiedy się sam z nimi zetknąłem. Gdybym był wiedział o nich zawczasu, tobym z pewnością rewolucji w Kronsztadzie nie oglądał. Ale przed wojną z oficerstwem styczności nie miałem, poza kilku tygodniami obozu w Krasnem siole, w jednym z pułków kronsztadzskich latem 1913 roku. To jednak do nich mnie nie zbliżyło. Nigdy ani wojskowości, ani oficerstwa nie lubiłem, przeto nie szukałem ich towarzystwa.

Są w Kronsztadzie i Polacy. Jednak jest ich bardzo mało. Kolonji nie tworzą, bo to zaledwie kilka osób inteligencji. Pozatem są żołnierze w artylerji, — tych jest do tysiąca, czy nawet więcej, — ale oni przecie żadnego społeczeństwa nie tworzą, są w koszarach. Z inteligencji byli: inżynier Szawernowski, ksiądz G., który żył w najlepszej komitywie z policją i żandarmerją, zapraszając ich do siebie razem z innymi; był naczelnik żandarmów renegat — Trzeciak; pewien adwokat z polskich żydów, też wielki przyjaciel kompanji, którą gościł ksiądz, zwłaszcza policmajstra — żandarma. Stosunki te dały mu nawet zmianę przydziału podczas mobilizacji. Miał przydział na front, ale zostawili go w Kronsztadzie. Szawernowski trzymał się na uboczu, a reszta Polaków nie wywoływała u mnie najmniejszej chęci bliższego ich poznania. Było jeszcze kilku oficerów Polaków w wojsku i marynarce, w tym okresie ich jednak nie znałem.

Tak się przedstawiał Kronsztadt przed wojną. Oto więc w jakich warunkach i otoczeniu spędziłem dwa lata w Kronsztadzie, kiedy ku końcowi drugiego roku mojego pobytu wybuchła wojna.

A tego lata właśnie zrobiłem sobie rozmaitość i wyznaczyłem czas na odpoczynek. W początku lata powiozłem wycieczkę uczniowską nad Wołgę i w góry Uralskie. Zajęło to ze trzy tygodnie. Tyłeż czasu spędziłem zaraz potem zagranicą, we Francji i Szwajcarji, i wracając marzyłem o całkowitym dwutygodniowym odpoczynku. Czekał mnie bowiem ostatni rok bardzo wyteżonej pracy i — habilitacja.

I oto spadło... w sam czas, jak na obstalunek: wojna!

W o j n a.

No trudno! Wojna — to wojna. Trzeba iść wojować. Absolutnie jednak sobie nie wyobrażam, co ja na tej wojnie będę robił; jak to ja tam będę ludzi zabijał.

Jakoś się jednak nie zdarzyło.

Mobilizacja rzuciła mnie do fortecy Sweaborskiej. Jest to morska forteca Helsingforsu, odległa od niego tylko o dwa kilometry (sam sztab). Przed moim wyjazdem chodziły pogłoski, że Niemcy planują desant na wybrzeżu Fińskim, więc jechałem niby od razu na front. I w skrytości zazdrościłem koledze Zarębie, z tegoż Kronsztadu, że otrzymał przydział do Syzrania; więc front, będzie miał dopiero za 1-2 miesiące, jak zabierze z Syzrania konie.

Otóż zjeżdżam na samą noc do Helsingforsu. Śliczne, cudowne miasto, zwłaszcza w lipcu, ale... już bojowy ma wygląd. Latarnie palą się co czwarta, zamalowane na szafirowo. Okien oświetlonych nie widać. Ostrożność przed Zeppelinami. Po mieście patrole kozackie, policja. Jakby jakiś wietrzyk przed burzą, wszyscy czegoś oczekują. Nazajutrz rano melduję się w fortecy na wyspie... sztab przeniesiony z dawnego lokalu na piętrze do lochu w budynku parterowym osłoniętym skałą.

Jednak Finlandja nie stała się terenem walki z wyjątkiem paru prób sforsowania pola minowego przed Helsingforsem, a zamykającego zatokę, pozatem było zupełnie cicho. I po czterech dniach siedzenia w lochu, sztab fortecy przeniósł się do dawnego pokojowego lokalu.

W Sweaborgu zachodzą natychmiast zmiany. Jak się okazało, że wojny tu nie będzie, to wszystkie kadrowe wojska i saperów zabrano na front niemiecki, a tu przysłano drużyny pospolitego ruszenia, a sztab zaczęto uzupełniać z tych praporszczyków, których przysłano. Początkowo przysłano sześciu, razem ze mną. Ja od razu zająłem wakans czasu wojennego, mianowicie — zostałem adjutantem przybocznym przy komendancie fortecy, którym był wówczas Niemiec, generał Bauer. Miałem na piersi znaczek uniwersytecki i byłem nie Moskałem, — to, jak się okazało, zdecydowało, dlaczego ja otrzymałem tę posadę, a nie inni. Stanowisko to, nie było w tej chwili związane z jakąkolwiek określoną służbą, bo wojny niema, a funkcja właśnie wyłącznie wojenna. W pokazowej tabeli tego urzędu niema. Zostałem więc wydelegowany na front lądowy tej fortecy, którego dotychczas nie było, a teraz na gwałt wznoszą.

I zaczęło budować ten lądowy front kilku praporszczyków pod kierownictwem pułkownika-inżyniera Kołpyczewa. Nawiasem mówiąc człowieka wysokiej kultury i prawdziwie inteligentnego. Ze wszystkich tych praporszczyków tylko 2 czy 3-ch było saperów. Co do mnie, to najmniejszego pojęcia o budowaniu fortecy nie miałem. Ale, kazano! Zacząłem swój odcinek budować. I jakoś się nauczyłem. I tak budowałem z pięć miesięcy, aż przysłali oficerów inżynierji.

W tym okresie mojej pracy inżynierskiej budowa wyglądała tak: naczelnik inżynierów fortecy, chrzczony żyd, generał Prussak, robił plany i dysponował, wykonywał zaś je pułkownik Kołpyczew przy naszej pomocy. Ale fortyfikacje nasze pewno były niezwykle, tak, że do Petersburga poszedł raport o zdradzie Prussaka i przysłano komisję z dwu generałów dla rewizji. Prussaka naskutek rewizji wyrzucono i Bauera również. Okazało się, że okopy fortów takie, jak budował Prussak, były z większą szkodą dla obrońców, niż wroga. Bowiem okop składał się z szeregu skrzyń drewnianych, któreśmy napełniali kamieniami polnemi, a potem zasypywaliśmy ziemią. Otóż, oczywiście, jednego celnego pocisku wystarczyłoby do rozsypania tych kamieni i pozabijania temi kamieniami całej załogi fortu. Istotnie, te kamienie i mnie się wydawały nieco dziwne. Ale kazano, pakowaliśmy.

Otóż potem przysłali jakiegoś przyzwoitego generała - inżyniera Niemca i 5 inżynierów do pomocy. Każdy miał dwa odcinki budowy. A wszystkich odcinków było 8 czy 10, po jakieś 2-5 kilometrów frontu. Całość stanowiła pierścień dookoła Helsingforsu od jednej strony zatoki do drugiej.

Nasza rola teraz zmieniła się. Inżynier na odcinku prowadził pracę techniczną, my zaś administrowaliśmy nad wykonawcami. Każdy z nas miał skład materiałów i narzędzi, układał listy robotników, przyjmując wciąż nowych, a wyrzucając opiesziałych, pilnował wypląt etc. Na tem stanowisku spędziłem prawie dwa lata. Życie ułożyło się niby na stałe. Na lato nawet wynająłem willę na terenie mego odcinka, i sprowadziłem rodzinę, dwie służące i ordynansa.

Nie wyglądało to bynajmniej na wojnę. Było to może najmiłsze w mojem życiu letnisko. Bo miejscowość — jak z bajki. Dookoła wioski »Oggelbin«, gdzie była nasza willa, w odległości 17-18 kilometrów od Helsingforsu, mieliśmy śliczny sosnowy i świerkowy las; ale teren był falisty i fale te — to skały. A więc las... w lesie

skały i te drogi, które ja buduję, a którymi wolno chodzić tylko wojsku, i te forty i okopy, które ja buduję...

Otóż o tej budowie. Pierwszy raz w życiu zdarzyła mi się taka praca, kiedy ja coś tak oto w dzikiej naturze buduję pożytecznego. Buduję wśród dziczy lasów i skał drogi, i to drogi dobre i mocne. A czasem i mostek się zdarza. Taka praca mnie wprost pochłania. Czuję od niej wielkie zadowolenie. Natomiast do pracy niszcycielskiej, burzycielskiej, która stanowi całą treść wojny, nie mógłbym się nagiąć. Robiłbym ją ze wstrętem.

O tych fortach naszych i okopach przypominam sobie ciekawy szczegół. Kazano nam maskować baterje. Maskujemy. Skała uprzędnio porozrywana dynamitem (robiono wywroty dla armat), teraz znowu przykryta ziemią i mchem, nawet w naturalne desenie. Jakby nigdy nic — dziewicza skała. I armaty same pozakrywano całymi namiotami z gałęzi; można jechać drogą i armat nie zauważyć. Przejeżdża inspekcja... i są zadowoleni. Jednak ktoś mądrzejszy powiada, że dobrze byłoby obejrzeć zgóry, z balonu, czy aeroplanu. Podnoszę się i ja z innymi na balonie artylerji na jakieś 300 metrów nad moim odcinkiem. I oglądam zgóry. Widok humorystyczny; bo w pustym, niezamieszkałym lesie idą jakieś drogi, które nigdzie nie prowadzą, a giną w tym lesie, a w symetrycznych od drogi odległościach od frontu po cztery krótkie ścieżki ślepe, też ucięte i nigdzie nie prowadzące. Aż się roześmiałem!... Zamaskowali! Tak, to płaszczyźniane maskowanie, a z góry to każdy osioł zobaczy baterje. A jeszcze i droga sama dla przejazdu zwierzchności wysypana żółtym piaseczkiem.

No więc teraz dalej o mojej willi i całej miejscowości. Jest tam i rzeka »Wanta-o«, a na niej wodospad — szluz. Otóż jedziemy czasem z córeczką na któryś z mych fortów w niedzielę. Cisza, pusto zupełnie. Tylko na samym okopie salutuje mię żołnierz z warty. Zosia zbiera rozmaite trawki, kwiatki, wszystkiemu się dziwi; wszystko ją zachwyca.

Zwiedzamy miasto i jego okolice, a więc Brunspark, Tölö, Munksnes, Fölisän, na którym urządzona prawdziwa fińska wieś; na innej znowu wyspie, których jest pełno na zatoce i w morzu — ogród zoologiczny, i wreszcie samą jak z bajki, zatokę.

Helsingfors jest to przepiękne miasto, wybudowane całkowicie na skale. Można więc oglądać jak wyrasta nowa ulica wydłubywana w szarej skale granitu. Miasto czystutkie! a ileż zieleni, a jak wszystko schludne. Wygląd miasta prawdziwie europejski. Ludność

1

rdzenna — Finnowie, inteligencja, w znacznej ilości Szwedzi, dawni panowie. W użyciu są obydwaj języki. W pół roku nauczyłem się szwedzkiego, jako łatwiejszego dla mnie i dawałem sobie radę wszędzie. Chodziłem nawet do teatru szwedzkiego. Pamiętam śliczną rzecz: dramat muzyczny »Kung Ivars dotter«. Widziałem zresztą i »Carmen« po fińsku, w fińskim teatrze narodowym. I muszę przyznać, iż wrażenie nie gorsze niż od »Carmen« w operze petersburskiej. A nawet technika dekoracyjna lepsza. Co zaś do samej Carmen, to śpiewaczka fińska p. Anniki Wymonen jest urodzoną Carmen. I nawet nie jest blondynką, jak Finki, tylko ciemną szatynką.

Z językiem fińskim było znacznie gorzej niż ze szwedzkim, nauczyłem się tylko paru dziesiątków zdań najpotrzebniejszych do porozumiewania się z robotnikami.

Na mieście znać wyższą kulturę i w każdym razie nie rosyjską. Znać to po każdym szczególe, po każdym drobiazgu. Układniejszym jest dorożkarz, który, à propos, w porównaniu do rosyjskiego »Wańki« wygląda jak pan z własnym zaprzęgiem; układniejszą i grzeczniejszą przekupka i sklepikarka, i tłum na ulicy i wszyscy wogóle. Ta kultura przeszczepia się i Moskałom tamtejszym, zwłaszcza oficerstwu i kupcom. Przeciętny mieszczanin rosyjski bardzo prędko tam się asymiluje i nawet przybiera obce, tubylcze nazwiska. Miałem np. robotnika tłumacza Owsiannikowa, raptem stał się z niego Kauranen, przetłumaczył swoje nazwisko na fiński. Słyszałem o państwie Kowaleff... ani słowa nie rozumiejących po rosyjsku. To czegoś warte: asymilacja narodu panującego przez podbity!

A jakież śliczne są hotele w Helsingforsie! taki Societetshuset, Fennia, Kämp. Jest tam wykwintnie, a zarazem miło i po domowemu, że się poprostu nie chce opuszczać takiego miejsca.

Helsingfors leży na skalistym wybrzeżu, a przed sobą ma zatokę. Jest to coś bajecznie pięknego! Zatokę zamykają skaliste gołe lub okryte lasami wyspy; sama zatoka, jak duże zwierciadło; dalej jeszcze inne mniejsze zatoki wśród wysp, niby drobne jeziora; najładniejszą z nich »buchtą Carewna«. Dalej ku zachodowi — właściwa forteca morska, też rozrzucona na szeregu wysp skalistych. Na wielkiej zatoce przed miastem stała ciężka część floty wojennej, t. j. wszystkie drednoty oraz część krążowników i statki pomocnicze. Ta również była kwatery naczelnego wodza floty, którym wówczas był admirał Essen.

Długo zresztą byłoby pisać o tym cudownym krajobrazie Helsingforsu, lepiej zobaczyć!

Z pewnością byłbym i do końca wojny siedział w Helsingforsie, gdyby wszystko szło bez zmian. Jednak różne wypadki, zajścia, zmiany, zmusiły mnie do opuszczenia Helsingforsu po dwóch latach.

Zacząło się od drobnych epizodów, skończyło się na poważniejszej utarczce ze zwierzchnością.

Oto niektóre zajścia nie pozbawione pikanterji. Na robotach fortecnych przy partjach robotniczych (po 200 - 300 ludzi) znajdowały się markietanki, które w przerwie obiadowej sprzedawały jedzenie, kawę, mleko, słowem zastępowały restaurację i kawiarnię. Dziewczęta młode, a często i niebrzydkie, Finki i Szwedki. Zwłaszcza ładne są Szwedki (niech się za to na mnie Finki nie obrażą, mają one też swoje atuty). Na każdym odcinku robót było po dwóch żandarmów. Jednemu z takich żandarmów na moim odcinku wpadła w oko jedna z markietanek. Trudno zdobyć dziewczynę przy ludziach, jeszcze mogą żebra połamać. Zaprasza więc ją do siebie pod jakimś pretekstem, zaczyna się przy niej rozbierać, no... i do niej. Ta w krzyk! wyrwała się. Skarży się dozorcóm robotniczym; oni mnie. Ja natychmiast piszę raport o zajściu do komendanta forticy. A że jestem jego przybocznym adjutantem — raport więc ma podwójne znaczenie. Kończę raport zapytaniem, w jakiej mierze do funkcj żandarma należy gwałcenie przystojnych markietanek. No i z tego cała awantura. Jakiś praporszczyk zadarł z żandarmerją! Zaczynają się podkopy, pułapki żandarmskie, szykany. Nie bardzo się boję, bo dopóki jestem adjutantem, to komendant nawet wbrew swej woli musi mnie bronić! Będzie inaczej dopiero jak mnie wyrzucą.

Wkrótce zdarzył się inny incydent, bodaj pikantniejszy. Oto wykryłem nadużycie przy budowie. Kapitan - inżynier mego odcinka (Glielow), który prowadzi budowę, zaczyna ni stąd ni z owąd dawać żandarmom łapówki i w sposób doprawdy nie pozbawiony dowcipu. Oto pracuje u mnie dwa tysiące ludzi i dwieście koni. Robotnik pobiera 4 - 5 marek dziennie, z koniem 10 - 12. Wypłacamy raz na tydzień — w sobotę. Co znaczy na taką ilość dopisać w tabeli ze 20 robotników (których i tak nikt z twarzy nie zna, a sprawdzić rzeczywiście mogą tylko ja); lub jakie 10 koni. Tego przecież nikt nie zauważy. A wyniesie to 2 - 3 tysiące marek fińskich tygodniowo. To wcale niezłe pieniądze. Szło to na opłacenie żandarmów. Poco mu to było, nie wiem, bo przecież żandarm był hołotą przez oficerstwo pogardzaną i żadnej od nich zależności nie było. Bardzo możliwe, że połowę brał sobie i że cała ta heca była

tylko po to urządzona, że żandarmi tu byli tylko pozorem. W każdym razie żandarmów demoralizował. Jak tylko te machinacje zauważyłem, stop! Tabeli nie podpisuję. A bez mego podpisu niema wypłaty, ponieważ za to ja odpowiadam. A nade mną stoi pułkownik Kołpyczew i kontrola państwowa. Wstrzymałem pewnej soboty wypłaty i raportuję temu pułkownikowi, że takich fałszowanych tabeli podpisywać nie będę.

Konsternacja. Poufna narada kontroli i Kołpyczewa ze mną. Uchwalono kapitana mego wyrzucić. Mnie zaś dali wkrótce po tem »Annę 3-go stopnia«. Ale podszczypani przeze mnie żandarmi teraz się uwzięli, a i ze strony inżynierji i innych widzę dąsy i kwasy. Słowem, Anna Anna, ale że mnie podminowują i niebawem będę wyrzucony, to czuję.

Dalej poszły zatargi z naczelnikiem sztabu forticy. Był to już trzeci zkolei przy mnie, pułkownik Kosinienko, zabity później na froncie zachodnim. Moja samodzielność była nie w smak. Zaczęły się scysje. W rezultacie któryś z nas musiał się usunąć. On nie chciał. Musiałem ja. Musiałem wynosić się i szukać innego przydziału. Na szczęście zachodzą zmiany i w Kronsztadzie. I oto okazuje się, że żona nowego Komendanta gen. Daniłowa jest koleżanką mojej teściowej. A ponieważ i Helsingfors i Kronsztadt należały do jednej armji, przeto i przeniesienie moje było i łatwe i zajęło niedużo czasu. Wróciłem więc do Kronsztadu w maju r. 1916, z przydziałem do drużyny pospolitego ruszenia, niebawem przekształconej w pułk.

W Kronsztadzie jednak przez dwa lata wojny zaszły takie zmiany, atmosfera tak się stała zatechłą, że nie mogłem wytrzymać! W ciągu 9 miesięcy do rewolucji zmieniłem trzy posady, a wreszcie zdecydowałem wybrać się na front prawdziwy.

Chodzi o to, że w rejonach tyłowych, gdzie wojna bezpośrednio nie zagrażała, ustalał się powoli taki stan, że oficerstwo kadrowe posyłano na front, a »tyłowe« posady zaczęto obsadzać »błagonadiożnymi«. A więc pakują na oficerów dawnych wypędków z pułków, byłych policjantów jawnych i tajnych, żandarmów..., by te »uszy i oczy« carskie czuwały nad jego sprawą. Zmiany dotyczyły przeważnie przybyłego wojska — piechoty. Przybyłego, bo dawne pułki kadrowe poszły na front, a przysłano tu pospolite ruszenie dla skompletowania nowych tyłowych pułków.

W Sweaborgu do chwili mojego wyjazdu ten proces zamiany oficerów na szumowiny dopiero się zaczynał i nie mógł tam się bardzo rozwinąć, tu zaś, w Kronsztadzie, widocznie zaczął się dawniej i głębiej był przeprowadzony. Kronsztadt — to brama stolicy, więc miał zadanie również strzec jej i od wrogów wewnętrznych. Jak to po niedługim czasie mogłem zauważyć, wojska kronsztadzkie były hodowane nie tyle na Niemca, co na ewentualne duszenie oczekiwanej już powszechnie rewolucji.

O tych zmianach w wojskach kronsztadzkich dowiedziałem się niestety dopiero, jak się sam z nimi zetknąłem. Obcowanie z szumowinami nie należy do przyjemności, więc by uniknąć takiego towarzystwa natychmiast szukam innej posady. Bo cała ta »moja« drużyna wyglądała jak zgraja z pod ciemnej gwiazdy.

Przez komendanta fortecy otrzymuję nowy przydział po jakichś paru tygodniach. Dostaję się do komendy miasta, jako zawiadowca samodzielnej jednostki — etapu dla jeńców i chorych oraz aresztantów wojskowych. Nie okazała się i ta posada spokojną. Miałem pod bokiem jakiegoś zamaskowanego szpicla, który oficjalnie zarządzał więzieniem, a był, jak się okazało, w stałym kontakcie z policją i... z tą moją drużyną. Nie znając go i nie wiedząc o tych jego stosunkach, nie kryłem się przed nim ze swą opinią o »mojej« drużynie. Dowiedzieli się też o tem. Tylko narazie żadnej presji ani zemsty wyrzucić nie mogą, bo za mną stoi komendant. Próbowali robić różne świństwa, jednak z równowagi mnie nie wytrącili.

Mój komendant jednak po paru miesiącach już się gdzieś przeniósł. Niema mojej obrony. Urządzają mi tedy ucieczkę jakiegoś draba z etapu. Nie mogłem za to ponosić odpowiedzialności, przecież go nie pilnowałem. Wpakowali mnie jednak za »niedopatrznie« na dwa tygodnie na odwach, a kiedy wyszedłem, dowiaduję się, że już z powrotem jestem odstawiony do drużyny, teraz już zamienionej na pułk (z trzech drużyn — jeden pułk). Było to na miesiąc przed rewolucją.

Było mi źle.

Skupiłem się w sobie. Pełniłem służbę akurataniej od innych, aby się nie mogli przyczepić. Byłem suchy, rozmów z nikim ponad potrzebę służby nie prowadziłem; odizolowałem się całkowicie, uzbroiwszy się w bierny opór, środek w takich wypadkach potężny i niezawodny. Jednocześnie podaję raport nowemu i naogół nieco przyzwoitszemu niż poprzedni, naczelnikowi brygady, aby mnie przydzielono do wojska inżynierji, ponieważ miałem dwa lata praktyki

saperskiej. Ten naczelnik okazał się jednak chamem i prócz przykrości od niego nic nie miałem. Przypuszczając, że ta droga może zawieść, zaczynam wyszukiwać na froncie znajomych oficerów, aby się dostać do atmosfery choć nie tak bezpiecznej, lecz lżejszej. Ta ostatnia droga zawieść nie mogła. Na front odmówić nie mogli. Zresztą w modzie była wtenczas ucieczka na front, za którą nie karano.

Tak zeszło jakieś parę tygodni.

Nagle jakieś szmery, jakieś dziwne wieści z Petersburga.

Car Mikołaj w obawie przed rozruchami uciekł na front. Demonstracje... Lud żąda chleba..., kozacy biją policję, która strzela do ludu etc. etc.

Od 25 lutego (starego stylu) nie mamy gazet z Petersburga. Nic nie wiemy. Ci zaś, co sami jeżdżą, przywożą sprzeczne, ale sensacyjne wiadomości. Wszystko tak nadzwyczajne, że nikt nie chce wierzyć: taka jest jeszcze pewność starego.

Jednak i u nas coś się święci. Władza chce izolować Kronsztadt od zarazy. Warty wzmocnione, na rogatce przed przystanią zatoczono baterję polową i kulomioty, skierowane na lód, na drogę do Oranienbaumu. W pułkach dyżury bojowe nocne i dzienne.

Oficerów wyznaczają tylko »nadożnych« (pewnych). Więc ja dzięki temu jestem wolny.

A w mieście huczy... Zbierają się mityngi... Rozplakatowują ostrzegawcze odezwy gubernatora Wirena. Dzieje się to na trzy dni przed wybuchem.

Nareszcie 28-go ranek.

Zwykle taki był porządek: zrana byłem w pułku do 12-ej, od 1-ej w gimnazjum na lekcjach (gmach był zajęty na szpital i pracowaliśmy po południu w gmachu innej szkoły). Miałem więc różne otoczenie i różne rozmowy. I jeszcze w przeddzień byłem i w pułku i w szkole. Nastrój był niepewny, ale strachu wielkiego nie było.

Ale 28-go, jak przyszedłem do pułku, widzę zmianę. Jakaś niepewność u tych panów oficerów i nie taki wrogi już do mnie stosunek. Na musztrę nie idziemy. Natomiast zbiera nas dowódca pułku do jakiejś izolowanej od żołnierzy komnaty i — narada.

Przedstawia nam sytuację.

W Petrogradzie 22 pułki odmówiły posłuszeństwa swej władzy i przeszły na stronę Dumy. Czyli powstały. Rodzianko (prezes Dumy) utworzył komitet i tworzy się rząd tymczasowy. Jako jego członków wymieniają: Guczkova, Milukowa, Kiereńskiego. Oranienbaum niepewny (tam są dwa pułki kulomiotnicze i dwie szkoły praporszczyków czasu wojennego). Posłano telegramy do Cara, aby wrócił, lub abdykował i t. d.

Co mamy robić wobec tego?

Okazało się, że nikt nic nie wie i nic poradzić nie może. Narazie zdecydowano jedynie wzmocnić warty i czekać rozkazów komendanta Kurosza, który się jednak na nic nie zdecydował i rozporządzeń żadnych nie dawał. Był zresztą na urzędzie dopiero od tygodnia, czy dwu. Takeśmy się i rozeszli z niczem.

Taka separatywna narada po pułkach była tylko dowodem dezorientacji władzy wyższej. Czulo się, że władzy już niema.

W gimnazjum i w domu opowiadałem o tych nowinach, ale sam jeszcze nie wierzę w powagę chwili. Nastrój przeto jak zwykle pogodny i wesoły. Trochę podniecenia, bo coś się święci, a co — niewiadomo.

A w nocy z Oranienbaumu przyszli do nas emisariusze i wyszedł na ulicę bez oficerów 3-ci pułk piechoty; rano zaś — cała załoga.

I-szy Kronsztadt

1917 — 1919.

1-go marca (starego stylu) 1917 r.

Noc na 1-y marca. Śpię mocno, jak zwykle. Nagle budzi mnie żona, wylękniona, mówi: »słyszysz, strzelają!« — Nasłuchuję, ale jeszcze przez sen nie mogę zorientować się skąd te strzały. Przypominam, że wczoraj oczekiwano walki w Oranienbaumie lub na lodzie zatoki... i zdaje mi się w tej chwili, że to właśnie tam, lub gdzieś na lodzie toczy się walka. Uspokajam żonę, mówię, że to jeszcze daleko..., a sam chcę spać. Nie chce mi się myśleć, bo gdybym myślał wyraźnie, to przecieżbym uprzytomnił sobie, że od tamtego brzegu to i armatnie strzały byłoby ledwo słyhać; te zaś — to karabinowe, więc muszą być bardzo bliskie.

Szaro jeszcze. Szósta godzina. Strzelanina nie ustaje; nie mogę już zasnąć. Ubieram się i nasłuchuję. Strzały raz-po-raz. To bliżej, to znów dalej. Przez okno widzę żołnierzy: pojedynczych i grupami. Sami, bez oficerów..., ubrani niedbale, nie według przepisów... chodzą z bronią w rękę..., strzelają. Na szczęście — tylko w powietrze.

Widok ten nie sprawił mi wielkiej przyjemności. Nie dlatego, że była to już rewolucja, lecz dlatego, że tak właśnie się rozpoczęła. Nie wiadomo było, jak mam się zachować wobec tych wypadków. Była to coprawda rzecz już oczekiwana, wszakże niespodzianka. Nadto nic mnie z powstańcami nie łączyło. Czułem się tym ludziom zupełnie obcy.

Około godziny ósmej, kiedy czas było iść do pułku, ubieram się według bojowych przepisów, nabijam rewolwer, już jestem w płaszczu i pasach rzemiennych..., idę na górę po wewnętrznych schodach do gospodarza domu kapitana artylerji Budkiewicza zasięgnąć informacji, poradzić się. Dowiaduję się od niego dużo nowego. Przedewszystkiem on całą noc nie spał. Opowiada, że pułki wystąpiły bez oficerów; co dalej ma być — niewiadomo; lecz powiada, że oficerów spotkanych z bronią w rękę żołnierze aresztują, radzi więc mi, abym jaknajprędzej przebrał się w cywilne ubranie, siedział w domu i nigdzie nie wylazil.

Trochę mnie to peszy. Spodziewałem się innej rady i innego stosunku. Mam się chować i nic nie widzieć. Kiedy to wszystko takie fascynujące, ciekawe! Wracam do siebie, przebieram się, chowam sprzęty wojskowe, rozładowuję rewolwer, aby czasem nie przyszło komuś do głowy próbować go na mej osobie. I w stanie nieco podnieconym czekam nowin. A nowiny — co chwila. Na 8-mą miał przyjść z pułku mój ordynans z bułkami z piekarni pułkowej, — nie przyszedł. Podejrzewam coś złego, lecz okazało się później, że go do aresztu wpakowali. Służąca poszła do sklepów, w pół godziny wraca i opowiada, co na mieście słyszała. Oto zabili gubernatora Wirena, pastwili się nad nim i stoczyli do głębokiego rowu (»owrag« — dawny dok). Sama ożywiona, podniecona... bo takie nadzwyczajne wypadki! A pozatem, toż to prości ludzie powstali, jej bliscy. Powiada, że tłumy chodzą ulicami i moc żołnierzy..., jeżdżą, śpiewają pieśni rewolucyjne. Około policji jakieś stosy papierów palą (palili archiwum policji). Pójdę, powiada, jeszcze zobaczyć.

Sam ją posyłam i nagle, żeby się prędzej czegoś jeszcze dowiedziała. Samemu się chce pójść, ale się waham. Budkiewicz nastraszył, że jeżeli żołnierze poznają przebranego, to może być źle. I o dom obawa, boję się rodzinę zostawić samą. Nuż bezemnie przyjdą!

Jakoż te wieści, że Wirena zabili, że policję pała, że lud prosty wyszedł na ulicę z bronią w rękę, »Marsyljanka«, którą tak śpiewają po raz pierwszy... wszystko takie niezwykle, silne i porywające, że i na mnie to działa..., że zaczynam także tańczyć, śpiewać tę samą »Marsyljanke« etc. Dziwne jakieś uczucie mnie ogarnęło. Radość, że to już nowe, a nie stare, że djabli, znaczy się, już wzięli caryzm... no i że nam może być lepiej... radość na myśl o wolności wogóle!

Chcę się już ubrać i iść, zobaczyć własnymi oczyma. Aż tu wraca druga służąca, która zbierała nowiny na podwórku. Przyniosła nowiny nie koniecznie przyjemne. Powiada więc, że wogóle wszystkich oficerów aresztują. Że, dalej, w naszym domu, w suterynie u robociarzy żołnierze siedzą od nocy, że ich tam dużo, że chcieli jeszcze w nocy iść do mnie i do Budkiewicza, żeby aresztować, lecz że tam jakieś baby sprzyjające nam odradziły żołnierzom, chwając nas etc. I żebym ja się nie bał, powiada, że mnie nic złego nie zrobią, ale, powiada, żebym nie tańczył, bo to żołnierzy denerwuje.

Chcieli przyjść, a nie przyszli... więc przyjdą. Jesteśmy podnieceni, bo nie wiemy, kto przyjdzie i z czym. W takich chwilach jakos człowiek traci zdolność zdrowego i logicznego sądu i wszystko bierze jako całość narzuconą zzewnątrz a emocjonującą, po dłuższej chwili dopiero przychodzi zorientowanie się i trzeźwa ocena.

A tu nowiny podniecające jedna po drugiej biją jak polanem po głowie.

Druga służąca wraca tymczasem z miasta i przynosi inne nowiny: zabito kilku generałów i innej starszyny; dużo aresztowanych; na ulicach samochody ciężarowe z prowizorycznie ustawionymi kulomiotami... a w końcu głównej ulicy Mikołajewskiej, opodal kościoła naszego w jakimś domu zabarykadowali się żandarmi i policja, i do tego domu biją z dział. Wytoczyli trzy armaty i rozbijają dom. Widziałem, jak ulicami ciągną aresztowanych oficerów, policję i żandarmów.

Nagle dzwonek. A jest już godzina 11-a. Wychodzę, otwieram :

czterech, czy pięciu marynarzy i żołnierzy, z rewolwerami. Widok ten sprawia na mnie wrażenie doprawdy nieprzyjemne. Jednak szli nie do nas, — pytają o Budkiewicza. Mówię, że to wyżej. Przepraszają grzecznie za omyłkę (nawet!) i idą na górę. Zamykam drzwi!

Do Budkiewicza już poszli, do mnie jeszcze nie idą. Zaczynam ludzię się, że do mnie i nie przyjdą. Bo siedzę w domu, do pułku nie poszedłem, nikomu się nie naraziłem; zresztą w pułku mnie znają mało, nawet i w mojej kompanji.

Jeszcze kilka dzwonek. Pytają wciąż o innych. Około 1-ej jemy obiad. A wciąż napięte oczekiwanie. Po obiedzie dowiadujemy się, że u Budkiewicza byli, lecz nie aresztowali. Od bab z podwórza dowiadujemy się, że jakiś żołnierz mnie szukał, powiedziały mu jednak, że od rana mnie niema w domu. Naradzamy się z żoną, co robić, kiedy przyjdą do mnie aresztować, ale do niczego nie dochodzimy. Stańło tylko na tem, żeby się z nimi nie spierać, kiedy przyjdą i jak czego będą potrzebowali — dać. Cenniejsze jednak rzeczy pochowaliśmy, żeby się nie rzucały w oczy.

Wtem dzwonek. Szukają wogóle oficera, posłyszawszy, że tu mieszka oficer, a przy okazji zabierają rzeczy cenione na 400-500 rubli. Oficera zaś tego specjalnie nawet oglądać nie pragną, nie domyślają się nawet, że to ja nim jestem... w uniformie nauczycielskim. Poszli... po chwili sprytniejszy z nich wrócił i poprosił pieniędzy. Dałem mu dziesięć rubli papierowe. Był zadowolony. Myślę sobie, trzeba coś zostawić, nie można wszystkiego dać pierwszemu, bo co dam, jak przyjdą inni. Zawszeż to robi dobre wrażenie jak człowiek coś otrzyma.

Upływa jakaś godzina, — nikt nie przychodzi. Idę do Budkiewicza, aby czegoś sensownego się dowiedzieć, a zarazem i żeby na wypadek nowej wizyty rzeczywiście mnie w domu nie było i żeby goście nas o fałsz nie posadzili. U Budkiewicza nastrój gorszy niż u nas. Przygnębienie i strach, ponieważ zrana zabili jego brata, który mieszkał gdzieindziej. Zabójstwo niezwykle, kiedy bowiem ten brat podszedł po dzwonku do drzwi i spytał: »kto?«, to żołnierz strzelił przez drzwi i zabił. Obaj bracia byli w artylerji. Otóż u Budkiewicza wszyscy zebrali się do jednego pokoju i siedzą jak skazani. Pytam Budkiewicza o tem i o owem, a sam nasłuchuję. Rozmowa nie udaje się. Jakiś czas milczymy. Obiecujemy sobie nawzajem, że jeżeli któremu z nas coś się stanie, to drugi zaopiekuje się jego rodziną, bo w całym domu jest tylko nas dwóch mężczyzn...

Nagle zdołu ode mnie przychodzi moja służąca dając znać, że przyszedli po mnie,—jest ich ze 12 żołnierzy, wymieniają mnie z nazwiska i szukają. Budkiewicz pyta mnie, co ja chcę: wyjść do nich, czy się schować? Proponuje mnie schować. Aż wtem nowy dzwonek, i żołnierze są już tu, u Budkiewicza, zrobiwszy uprzednio u mnie dokładną rewizję i zabrawszy wszystkie rzeczy wojskowe. Małą chwilę waham się, ale decyduję, że jeżeli się schowam u Budkiewicza, a oni mnie znajdą, to właśnie mogą pomyśleć coś złego, na przykład, że jestem wrogiem ludu etc., a nadto narażę i tegoż Budkiewicza z racji ukrywania. I wogóle, czegoż ja się mam chować. Głupota! Potem jeszcze przypomniało mi się białoruskie przysłowie »Niamsa hirsze, kali baiszsia, bo i licha nie miniesz i tylko nadryższysia!«

—Wychodzę.

Patrzę, twarze jakieś znajome, pewno z mego pułku. Potwierdzają moje domysły, mówiąc, że są właśnie z mojej kompanji. Zapraszają mnie na dół do mego mieszkania. Żądają, bym oddał co mam ukrytego z broni. Mówię, że nic nie mam. Zabierają mi jednak szpadę od urzędniczego uniformu. Proszą, bym się ubrał, i zapraszają ze sobą. Zachowują się przyzwoicie, proszą, bym się nie spieszył, zrobił wszystko spokojnie, że nic mi się złego nie stanie. Mówią, że się napróżno przed nimi chowałem, bo przyszedli do mnie z dobrem słowem. Widząc, że to ludzie, jak ludzie, że zachowują się dość przyzwoicie, czuję się nieco raźniej; zaczynam nawet targować się z nimi: może, mówię, mogę w domu zostać, nie iść z nimi. A to nie! powiadają,—iść muszę! Pożegnałem się z dziećmi i z żoną, i idę. A oni nas pocieszają, że wkrótce wrócę. Wyszliśmy z domu. Droga do koszar — przez całe miasto. Prowadzą mnie po bruku, środkiem ulicy, i otoczyli mnie dookoła.

Na ulicach sam teraz widzę ten ruch niezwykły: samochody z kulmiotami, kupki ludzi ożywionych, rozprawiających, stopy spalonych papierów. Około policji, wreszcie... takie same kupki żołnierzy, jak moja, prowadzące aresztowanych oficerów. W czasie drogi parę razy podbiegali do nas pojedynczy marynarze o twarzach zbójceckich, z rewolwerami w rękę, a widząc, że żołnierze prowadzą cywila, pytali: »kowo pojмали? — syszczyka?« Na co moi odpowiadali: »nie, to nasz oficer«. Jednak tamci nie odrazu odczepiali się, bo pytają, »a co, czy to dobry człowiek?« A na to moi: »dobry«. Puszczali tedy nas dalej. Podczas półgodzinnego marszu rozmówiłem się z żołnierzami. Śród nich jeden tylko był gbur, reszta — poczciwi ludzie.

Proponują mi dowództwo kompanji, od czego zupełnie szczerze wymawiam się, gdyż pojęcia nie mam o przepisach piechoty i obowiązkach dowódcy kompanji. Powiadają, że tylko dwóch upatrzili sobie na dowódców: mnie i jeszcze tam kogoś. A mnie dlatego, że ich nie uciskałem i, co mnie zdziwiło,—dlatego, że z oficerami nie utrzymywałem stosunków i unikałem ich. Objaśniali to po swojemu, że ja trzymam ich stronę przeciwko starszyźnie, która ich niby gnębiła. Niech sobie myślą.

Propozycji więc nie przyjąłem. Jakoż potem już żadnych propozycji mi nie robili.

Podchodzimy wreszcie do t. zw. »wrót petrogradzkich«, od których zaczyna się molo przystani.

Pustka. Tylko na obszernym placu zatacza koło samochód ciężarowy z kulomiotem. Ot myślę sobie, czy nie zechcą tego kulomiotu skierować na mnie. Miał jednak, widać, coś ważniejszego do roboty, pojechał sobie.

Minęliśmy ten samochód, skręcamy na lewo i wchodzimy na bardzo długie podwórze pułkowe, podobne do korytarza. Myślę, że prowadzą mnie właśnie do pułku. Ale mijamy jedno po drugim wszystkie wejścia i... idziemy jeszcze dalej, tam gdzie jeszcze nigdy nie byłem. Jeszcze kilkadziesiąt kroków — i doszliśmy do morskiego śledczego więzienia.

Kiedy już jesteśmy przy bramie, widzę pierwszą okrutną scenę rewolucji: kilku żołnierzy popycha z tej bramy ku nam niemłodego już kapitana, popycha kołbami w plecy, targa za brodę, bije w twarz, łyż go i znęca się. Widok wstrząsający!

Wreszcie wchodzimy do jakiegoś mrocznego lochu,— jest to sień kazamaty. Tu rewidują mnie, szukają broni. A ten marynarz, co robi rewizję, przytknął mi do piersi rewolwer i tak sobie nim wywija. Twarz zbójcka, jak i u tych, co podbiegali do nas na ulicy. Okazało się, że to są właśnie wczorajsi jeszcze mieszkańcy tego miłego schroniska, którzy kiedyś coś ukradli, kogoś zamordowali, a których dziś przed paru godzinami triumfująca rewolucja wypuściła z więzienia, jako ofiary caryzmu!

Po rewizji wepchnęli mnie choć i niezbyt grubijańsko do dużego sklepionego lochu, w którym już się zebrało do 60-u aresztowanych oficerów wszelkich rodzajów broni.

Pierwszy raz w życiu takie wrażenia! Rewolucja, areszt, więzienie, ten loch!...

Zaczynam rozglądać się. Patrę,— akurat wszyscy oficerowie tego,

za przeproszeniem »mojego« pułku, jest ich ze 20-u. Ale już nie tak mi są straszni. Przeciwnie, stosunek się odmienia,— bąkają coś o wspólnej niedoli i patrzą tak, jakby chcieli prosić o protekcję. Ja chociaż siedzę w więzieniu, nie mam jednak złego usposobienia; bo to i nie jestem sam, i nowiny wciąż słyszę, które zajmują.

Godzina już 3-a. Przynoszą nam z pułku, z koszar tuż obok obiad żołnierski »z kotła«, który nie zdążył jeszcze ostygnąć! Ale przynieśli za mało. Rzucamy się wszyscy i jemy brudnymi drewnianymi— niewiedomo po kim— łyżkami. Ja tę swoją łyżkę, oczyściwszy potem, schowałem na pamiątkę. Publiczności do nas raz wraz przybywa. Nowi towarzysze niedoli. Rozmawiamy, dzielimy się wrażeniami, kombinujemy, co dalej; rejestrujemy, kogo zabili, gdzie kto jest etc. Każdy nowy przynosi ze sobą jakieś nowiny.

Ku wieczorowi już, kiedy zapalili światło (a loch wogóle mroczny), otwierają się drzwi i wchodzi... komendant fortecy wice-kontradmirał Kurosz! Milezący, robi kilka kroków ku środkowi lochu i staje. W palcie, z bojowym orderem na szyi. My wszyscy mimowoli powstajemy z miejsc... i tak trwa długa chwila w milczeniu. Oto przyszedł do więzienia »stary reżim!«. Nigdy tej chwili nie zapomnę.

Ku nocy, ci co wcześniej tu trafili, zdobyli sobie łoże, reszta pokładła się na podłodze, na wyrzuconej z sienników brudnej słomie.

Wczorajsi lokatorzy, dziś rano wypuszczeni, wychodząc, pozabierali co lepsze i co się wogóle dało zabrać, resztę zdemolowali, nie przypuszczając może, że już tak prędko lokal ten okaże się potrzebny dla innych. Więc zostawili tylko żelazne łóżka, a materace, naczynia, pościel etc. poniszczyli. Ja dostałem tylko żelazne łóżko i dwie deski na pół łóżka, i tę pierwszą noc spałem nierozebrany (jak zresztą i następną) w palcie... na tych dwóch deskach. A jednak spałem dobrze i mocno.

Nazajutrz rano — nowiny. Przychodzi student Chanoch, prezes komitetu rewolucyjnego ¹⁾ i oznajmia, że kto stanie po stronie nowego rządu, ten będzie wypuszczony. Oczywiście wszyscy, jak jeden mąż, opowiadają się po stronie nowego rządu. Ta obietnica Chanocha nie była jednak na niczem oparta, gdyż wypuszczenie

¹⁾ »Komitet dwiżenja« obrany na mityngu 1 marca.

zależało wyłącznie od żołnierzy; co on sam zresztą potwierdził przyjechawszy wieczorem, czy następnego dnia. Podczas tej pierwszej wizyty zauważył on wśród nas jednego żyda — doktora wojskowego — i zabrał ze sobą. Ot tak bez żadnej racji, t. j. wypuścił z więzienia; chociaż go osobiście nie znał. A jak się później wykryło, to tego właśnie doktora żołnierze bardzo uporeczywie szukali i mieli go zabić, za złe z nimi obchodzenie się. Ja chciałem skorzystać z tego, że kiedyś parę razy widziałem tego Chanocha... więc żeby może i mnie też zabrał, — odpowiedzią było wyniosłe spojrzenie i odezwanie się, że tylko żołnierze mogą mnie stąd wypuścić!

Wkrótce potem warta z naszego pułku, dość przyzwoita, dostała nam — za pieniądze oczywiście — chleba, kielbasy, bułek etc. oraz paczkę gazet i proklamacyj. Więc czytamy o nowym rządzie, o Guzkowie, o telegramach Rodzianki do cara, o abdykacji Mikołaja etc. Rośnie serce od tego wszystkiego, i nie czuję, że jestem więźniem... bo przecież to, co się dzieje, to właśnie to, o czym marzyłem, więc i ja zaraz pójdę i będę się cieszył z innymi. Areszt — to tylko głupie nieporozumienie.

Radość ta jednak już ku wieczorowi zmienia się w niepewność, trwogę. Pułk bowiem wybrał już tych, co mu trafili do gustu — ośmiu oficerów, a mnie w tej liczbie nie było. Zostało nas w lochu mniej. Zamiast tych co ubyli, wepchnęli nowych dwóch, a okazało się, że to żandarmi. Miła kompanja.

O zmierzchu zaczynają wywoływać różne nazwiska, aby się odzywali, czy są tu. Przyjdzie jakiś marynarz lub żołnierz i ode drzwi krzyknie nazwisko. Parę razy odezwał się ten i ów... i wyprowadzili go. Kilku z nich tuż pod ścianą rozstrzelali. Raz czy dwa wywołali nazwisko do mego podobne. Może żołnierz przekreślił, jednak się nie odzywam. O innych z tych wywoływanych dowiadujemy się, że wolni. Niektórych szukają bardzo uporeczywie, po kilka razy przychodzą i dopytują się, — tych wszystkich zabijają.

Takie wywoływanie działa na nerwy. Zwłaszcza, kiedy nazwisko podobne. Działa to ujemnie na apetyt. Wieczór mijał. Późno już, kiedy przestali wywoływać... lokuję się na te swoje dwie deski i zasypiam.

W ciągu dnia z opowiadań nowych przybyszów dowiadujemy się szczegółów o zabójstwie gubernatora Wirena, generała admiralicji Strońskiego i innych.

Scena morderstwa Wirena była prawdziwie tragiczna.

Wiren nie uciekał z Kronsztadu przed rewolucją, jak to robili

inni ze zwierzchności, tchórzliwsi; mógł to i on zrobić. Został. Twardy był to Niemiec. Rosjan nie lubił, motłochem pogardzał. W czasie wojny nie krył swego zadowolenia ze zwycięstw niemieckich, będąc... rosyjskim gubernatorem.

Został może i dlatego jeszcze, że jak mi się zdaje, nie bardzo się orjentował w sytuacji.

Otóż pierwsze kroki rewolucja zrobiła w kierunku jego pałacu (dom rządowy, w którym mieszkał każdy gubernator). Mniej więcej w połowie nocy te pierwsze oddziały marynarzy, które pod wpływem agitatorów samowolnie wyszły z koszar, skierowały się do domu Wirena. Uszykowały się na ulicy przed domem i posłały do Wirena delegację, aby go obudziła i zaprosiła, by wyszedł do żołnierzy.

Zagadnięty w tej formie i widząc, że to straszne już się zaczęło, ubrał się jako-tako i trupio błąd wyszedł przed ganek. Ujrawszy tych marynarzy, dla których był postrachem, gdyż znany był ze swych kar i wymagań wzorowej dyscypliny, tych marynarzy, którzy tu oto stoją bez oficerów, w nocy, niezawołani, byle jak ubrani, za co ich właśnie karał, całkiem odruchowo, jak zwykły początek mowy dowódcy, lub też dla dodania sobie odwagi w tej beznadziejnej chwili,— krzyknął jakoś głucho: »smirno!« (»bacznosc«)... I tu się wnet zaczęło!

Marynarze go obstąpili, zaczęli go lżyć, wypominać swe urazy, zdierać mu szlify, kopać nogami i... bić w twarz. Tak sponiewieranego prowadzili go 500-600 kroków do pobliskiego »owraga« (wądół), części dawnych doków, czy też portu wewnętrznego, tuż obok soboru. Tu go mieli zabić.

W tej chwili jednak jakaś inna grupa żołnierzy, zrobiwszy rewizję w jego kancelarji, wyciągnęła szefa tej kancelarji, niejakiego Piekuna. Koło tego »owraga« obie grupy spotkały się. Tu chciano ich rozstrzelać obu.

Przed śmiercią samotny wobec zbuntowanych marynarzy Wiren chciał się pożegnać z tym chociaż Piekunem. Powiedział: »Piekun, pocałujemśia!«. Lecz ten, ratując swą podłą skórę, odepchnął Wirena, mówiąc, że nie ma nic wspólnego z wrogami ludu. Trzebaż, że to odniosło skutek. Piekuna zostawili w spokoju i puścili wolno po paru dniach aresztu.

Ten Piekun dostał mi się potem w spadku po moim poprzedniku Piepielajewie, jako szef kancelarji. Jednak, po objęciu urzędowania wyrzuciłem go, okazał się podwójnym draniem, był bowiem dawnym urzędnikiem policji.

Wirena zabito i stoczono do tego wądołu («owrag»). W miarę jak na tem miejscu mordowano innych i trupów przybywało, ułożono z nich stos, a Wirena wciąż kładziono na samym wierzchu stosu, dla zachowania hierarchji.

Żony i krewni aresztowanych przychodzili tu potem szukać swych bliskich. Opowiadano też, że młodzież szkolna przychodziła tu masowo przypatrywać się morderstwu. (!)

Rodziny Wirena jednak nie ruszono. Jak się te mordy po paru dniach skończyły, rodzina zabrała zwłoki i pochowała je na cmentarzu. Lecz nie pozwolono jej ani krzyża z napisem postawić, ani nawet kopca usypać. Miejsce to zrównano zupełnie i wyłożono darnią, jakby tu mogiły nie było. Kiedy już byłem gubernatorem, zwiedzałem ten cmentarz; miejscowy pop pokazał mi to miejsce. Rodzina po pogrzebie zaraz wyjechała z Kronsztadu i wyemigrowała z Rosji, nie czekając czasów jeszcze gorszych.

Prócz Wirena i Strońskiego zabito naczelnika ochrony Daurowa, kontr-wywiadu — żandarma Rubana, naczelnika saperów generała Wołkowa, admirała Butakowa i innych, ogółem około 80 oficerów z wojska i policji. W tej liczbie zgładzeni byli i ludzie posiadający tajemnice obrony fortecy, mianowicie — obrony minnej: kapitanowie Filatow i Budkiewicz. Ten ostatni, o czem już mówiłem, był zabity tak, że nawet niewiadomo, kto go zabił.

Widzimy z tego, że giną ludzie bynajmniej nie z powodów ideowych, jednych bowiem zabijają z racji porachunków osobistych, z zemsty, innych zgładza w zamęcie ręka niemiecka. Późniejsze wypadki wykryły, że było tych rąk aż 100 (50-u agentów).

Rozpoczyna się dla mnie trzeci dzień więzienia. Dowiadujemy się, że rząd przysłał na gubernatora (z tytułem »komisarz rządu tymczasowego«) członka Dumy Piepielajewa. Co do naszego losu, przekonywam się ostatecznie, że jest on całkowicie w ręku żołnierzy. Oni są panami sytuacji: i wypuszczają i mordują również. Wywoływali, na przykład jednego z nas. Wraca po upływie dwóch godzin i opowiada co mu zrobili. Tak jak on kiedyś stawał żołnierzy za karę stać nieruchomo z karabinem na ramieniu i z obciążonym plecakiem na 2 godziny, tak oni teraz jego tak przetrzymali, wysypawszy do plecaka dwa pudy piasku. Był to doktor pułkowy.

Jednak coraz częściej przychodzą różni żołnierze po swoich oficerów i zabierają ich na wolność.

Po obiedzie dowiadujemy się o abdykacji Michała. O sobie zaczynam wątpić, bo chociaż nikomu nic złego nie zrobiłem, ale... któż o mnie pomyśli?

W tych niewesołych rozmyślaniach upływa mi trzeci dzień więzienia. Zabieramy się już do snu. A głodni, bo jeść nam kazano dawać mniej.

Nagle słyszę ode drzwi moje nazwisko. Zastygłem. Co to może znaczyć. Czekam, nasłuchuję. Jeszcze raz słyszę dobitnie, wyraźnie moje nazwisko. Wstaję. Sąsiedzi radzą odezwać się, mówią, że na pewno wolność. Odzywam się, idę ku drzwiom. I tam w sieni widzę swego żołnierza z etapu, głupiego lecz poczciwego Ławrynajtisa. Ściskam go, jak rodzonego. Pokazuje mi bilet z komitetu na uwolnienie mnie. Więc wracam, chwytam swe graty, żegnam mniej szczęśliwych towarzyszy i porzucam więzienie. A warta, która mnie wypuszcza, dość arogancko robi uwagę: »naszli kowo oswoboźdat!«—

Wychodzimy.

Idę jeszcze krokiem niepewnym,... ciemno, godzina jakaś 9-a, czy 10-a. Zimno. Rozmowa— to oderwane słowa, wykrzykniki... śmiech nerwowy. Za bramą o kilkadziesiąt kroków oczekują na nas jeszcze dwaj moi żołnierze: Giedmin i Kuricyn. To ci poczciwi z etapu, którzy do mnie byli przywiązani i lubili mnie, a żalowali, gdy zostałem wyrzucony. Nowego swego naczelnika nie lubili i nie jego szli szukać. Od pierwszej chwili szukali mnie, wyrobili w Komitecie bilet na uwolnienie i całe trzy dni szukali. Znaleźli mnie wreszcie ku wieczorowi trzeciego dnia. W Kronsztadzie było 3 czy 4 więzienia, a w każdym po kilkadziesiąt kamer. Znaleźli więc mnie, wyzwolili i chcą teraz, bym znowu był ich naczelnikiem.

Wszystkich ściskam, wszyscy zbijamy się w kupę pod rękę, i jednym kłębkim tak sobie idziemy na miasto. Już jesteśmy poza murami więzienia, już na wolnym mieście. Noc. Mroźno. Gwiazdy na czystym ciemnym niebie... W mieście zupełny mrok. Raz wraz zatrzymują nas patrole i sprawdzają dokumenty. Pokazujemy glejt. Bowiem na skutek rozporządzenia władzy rewolucyjnej nie wolno wychodzić z domu po 7-ej wieczorem bez dokumentów.

Po drodze wstępujemy do Komitetu (Lokal kasyna oficerów marynarki.—»Morskoje sobranje«) dla rejestracji. Tam chaos.

Moc ludzi: wojskowi, cywilni, w paltach, w czapkach, z karabinami, są kobiety,... ruch, zgiełk. Niewiadomo, kim kto jest i kto ma jaką władzę. Wszyscy coś mogą, lecz nikt oficjalnie nie urzęduje.

Gdzieś tylko w głębi jest paru członków komitetu, lecz oni nie rejestrują.— Przyjdźcie jutro.

Nic nie wskórawszy, wychodzimy. Do mnie już dwa kroki. W parę minut jesteśmy w domu.

Zbliżając się, czuję, że jakby i nic nie było. Ot poprostu wyszedłszy na miasto wracam teraz do domu. Zaraz będzie mi ciepło, wypiję herbaty, zjem i położę się spać... po ludzku, a nie na deski. A spać się chce szalenie.

Dzwonię. Otwiera żona... i z krzykiem i łzami rzuca mi się na szyję. Wita już dla niej umarłego. Po pierwszym powitaniu przedstawiam jej moich trzech zbawców. Ona ich wszystkich ściska, całuje!... Oni weseli, radzi, zadowoleni. Czują się bohaterami. Są dumni z całej tej historii.

Wchodzę z dużego, a zimnego przedpokoju-kurytarza do mieszkania,— córeczka moja rzuca się do mnie, tulę to maleństwo (nie żyje już teraz) i czuję, żem znowu wolny, że żyję, że to wszystko po dawnemu moje. Obudzili i syna, choć on z racji swego wieku niewiele rozumiał, tylko grymasił, że mu sen przerwano.

No, a teraz do stołu. Troszkę się oczyściłem, otrzepałem; możemy sobie coś zjeść! Choć to już noc.

Żołnierze siedzą z nami przy stole i jedzą aż trzeszczy, ja — nie gorzej. Mała Zośka patrzy na to i śmieje się, a żona i lzy jeszcze ma w oczach i też się śmieje.

Po kolacji dwóch zbawców poszło do koszar, a cięższy Giedmin został u mnie z rewolwerem — dla obrony na wszelki wypadek, i nocuje u mnie.

Nazajutrz, a jest to sobota 4-go marca — rejestracja. No i jestem już zupełnie i legalnie wolny. Gedmin idzie sobie do domu i ja też do domu.

Od tego dnia rozpoczyna się nowe życie.

Od żony dowiaduję się rozmaitych nowin. Naprzód, że jak mnie w środę 1-go zabrali, to ktoś puścił pogłoskę, że mnie zabili jeszcze na ulicy, próbując na mnie mego rewolweru. (A próbowali rzeczywiście, tylko nie na mnie). Więc poszła żona nazajutrz szukać mnie zabitego. Szukała w rowie, gdzie wszyscy szukali, w tym

stosie z Wirenem na wierzchu; szukała i w »mordze« (trupiarni) przy szpitalu morskim. Jakoż i nie znalazła. Lecz była już pewna, że nie żyje. Spadła na dom czarna godzina...

Pozamykawszy wszystkie drzwi, nie paląc od ulicy światła, siedziała trzy wieczory, w wewnętrznym korytarzu, płacząc i nie śpiąc. Zjawienie się moje było dla niej prawdziwym mojem zmartwychwstaniem.

Idę potem do szkoły... i tam też słyszeli o zabiciu, więc witają, jak przybysza z tamtego świata.

Rewolucyjne zmiany w Kronsztadzie.

(Organizacja nowego życia).

W ciągu tych trzech dni, które przesiedziałem w więzieniu, rewolucja stała się faktem dokonanym. Zaczynam się przypatrywać rewolucji, uświadamiać sobie, co to jest rewolucja. Oto już się zmienia kierunek myśli ogółu, zmienia się orientacja. Powoli zaczynam się orjentować, wyjaśnia mi się całokształt wypadków wogóle, jak również i miejscowych.

Zaczynam rozumieć rewolucję.

Historja wyjaśni niezawodnie, kto rewolucję robił, a kto tylko maczał w niej ręce. Nie jest to mojem zadaniem, ja mam zamiar opisać jedynie, jak ta rewolucja wyglądała w Kronsztadzie. Choć tu dość widoczne było właśnie maczanie czyichś obcych brudnych łap.

Chociaż do rewolucji rosyjskiej miałem sympatję, czując że z niej i dla nas wypłynie polepszenie losu, nie byłem jednak nią nadzwyczaj przejęty... zwłaszcza, że osoby działające nie pociągały.

W trzecim dniu rewolucji w Kronsztadzie rząd, jak mówiłem, delegował na stanowisko komisarza, czyli tymczasowego gubernatora po zabitym Wirenie — członka Dumy Piepielajew'a, który należał do partji »K.-D«, (konstytucyjno-demokratyczna, pospolicie zwani: »kadetami«). Z zawodu — nauczyciel historji. Sybirak. Człowiek całkiem przyzwoity. Miał on w swem ręku władzę wszystkich resortów nad całym Kronsztadem i fortecą. Jego zadaniem było wprowadzić wszędzie nową zwierzchność, bo starej nigdzie już nie było. Był on faktycznym panem fortecy, miasta, a nawet floty. Wszystko

zależało od niego, wszędzie miał ustalić nowy porządek i poczynić zmiany, jakieby uznał za potrzebne. Rozpoczął więc on globalną reorganizację władz Kronsztadu.

Jednocześnie, a nawet — bo tu i godziny grały rolę — o całe trzy dni wcześniej zaczęła się organizacja nowego porządku od dołu — w Sowiecie. Powstała nowa organizacja, władza, jakiej dawniej nie było — »sowiec matroskich, żołnierskich i robotniczych deputatów«. Powtarza się, aczkolwiek nie małpuje się to, co się dzieje w stolicy.

W ten sposób od samego początku ustala się dualizm władzy: rząd i sowieci. Tak samo jak w stolicy i w całej Rosji. Sowieci — są to parlamenty lokalne, które wyłaniają swój rząd w postaci komitetu wykonawczego.

Sam początek ruchu, jak się rzekło, był anonimowy, — przynajmniej tak się wydawało na oko. Że jednak były jakieś tajne czynniki poruszające, to zdaje się nie ulegać wątpliwości.

Jednak w ruchu w pierwszej chwili ani kierownictwa, ani inicjatywy nie było. Żołnierze wystąpili bez oficerów i bez przywódców, sami, naskutek agitacji jakichś przybyszów. Był to więc chaos bez oblicza politycznego, w którym działały tylko instynkty. Czyjaś mądrzejsza ręka skorzystała z tego chaosu dla celów własnych, bynajmniej nie rewolucyjnych. Trochę uszczknęła z mocy rosyjskiej, trochę nadwyreżyła siłę organizacji.

Pułki wystąpiły z koszar w nocy same; szukały nawet kierowników w oficerach, których dało się spotkać. Jednak oficerowie się zlekli i nie skorzystali z sytuacji. Żołnierze szukali przywódców dosłownie na ulicy.

Już jednak od rana na wielkim mityngu kilka sprytniejszych osób, zbliżonych do ugrupowań lewicowych, organizuje »Komitet dwizenja« (=komitet ruchu) zajmując dla tego celu kasyno oficerów marynarki wojennej, — największy i najpiękniejszy klub w Kronsztadzie (»Morskoje sobranje«).

W pierwszym dniu na czele tego komitetu stoi jakiś urzędnik, czy inżynier Krasowski. Tego nigdy nie widziałem. W drugim dniu — student Chanoch, który pozostawał na czele jakieś 8-10 dni. Po nim — drugi Krasowski (Josif Adamowicz), złodziej, który długo siedział w więzieniu za defraudację 3000 rubli, a potem na krótko przed rewolucją, został przez policję na podstawie jakiegoś kompromisu wypuszczony. Był urzędnikiem szpitala wojennego.

W tym czasie zostały dokonane wybory do Sowietów; nie jest więc to już prowizoryczny komitet ruchu, tylko Sowiet normalny.

Wybory do Sowietu są bardzo częste: co dwa miesiące, a nawet częściej. Wymagano bowiem, aby sowiet odpowiadał nastrojowi mas, dość zmiennemu w tej burzliwej epoce. Sowiet więc wciąż się zmienia. I skład jego ciągle jest inny.

— Po Krasowskim — szofer Gromow, typ bandyty. Po nim, od kwietnia — student Łamanow Anatolij. Wartości jego nie zdołałem zrozumieć.

Bajecznie wygląda gmach sowietu w pierwszym miesiącu. Ani ładu, ani porządku... Hotel, rynek, ulica! Przychodzi, wychodzi kto chce, bez żadnej potrzeby i spraw; całe masy ludzi włączają się po salach i schodach. Żołnierze, marynarze, cywile, kobiety, uczniowie i uczennice szkół... Obok ludzi przyzwoitych — wczorajsi szpicle, żandarmi, kryminaliści i łotrzykowie. A i w samym sowiecie i komitecie wykonawczym szumowin sporo.

Pstrokaiczna rewolucyjna bije w oczy i sprawia przykre wrażenie, płamiąc jasne uczucie radości od nowych dni.

Ślepa rewolucja otworzyła więzienia, wypuszczając razem z bardzo nielicznymi ofiarami politycznymi i zwykłych zbrodniarzy. Nie spostrzegła się odrazu, że szumowiny korzystają z okazji, by się zaczepić o rewolucję. Za szumowinami z więzień wślizgują się do rewolucji i te szumowiny, które grasowały na wolności. Wszyscy to widzieli, stwierdzała to i władza zarówno miejscowa, jak centralna.

Powoli jednak, w drugim już miesiącu, atmosfera się oczyszcza. Szumowiny usuwają. Walczą o to energicznie es-erzy. Do sowietu wchodzi ludzie ideowi i partyjni, więc już partje ponoszą odpowiedzialność za swych członków.

Oto są nazwiska partyjnych członków sowietu Kronsztadzkiego, jakie mi pamięć zachowała. Są to oczywiście leaderzy: mówcy, agitatorzy i władza sowiecka—es-erzy: Szugrin, Pokrowskij, Bruszwit; bolszewicy: Bregman, Gurwicz (»wienik«), Grinberg, Roszał, Iljin (»Raskolnikow«), Lebiediew, Remniow, Dieszewoj (dr. medycyny), Lubowicz, Eutin i anarchista Jarczuk.

W Sowiecie wyróżniają się cztery ugrupowania:

1. Najliczniejsze i najsilniejsze — es-erzy,
2. mniej liczne — mieńszewicy,
3. tej samej liczebności (początkowo)— bolszewicy,
4. bezpartyjni.

Inteligencji było najwięcej wśród bezpartyjnych. Było tam z 10 osób inteligentnych, z tego 3—4 z wyższym wykształceniem.

W końcu pierwszego miesiąca zreformowałem dawny etap na »pitatielno-ewakuacyjny punkt«. Dali nam niezłe pomieszczenie, no i ilość żołnierzy podnieśli. Jako naczelnik tego punktu zależałem bezpośrednio od komendanta fortecy. Ten mój punkt wydelegował mnie do sowietu, jako swego przedstawiciela (każda kompanja musiała wysłać do sowietu przedstawiciela. Mój »punkt« był jakby samodzielną kompanją). W Sowiecie wszedłem do grupy bezpartyjnych. W tym czasie ugrupowanie to skupiało całą burżuazję, która trafiła do Sowietu. W tym ugrupowaniu znaleźli się również i wszyscy koledzy moi, delegowani przez związek nauczycielski.

Rewolucyjna organizacja życia.

Obalenie caratu było obaleniem całego starego porządku. Wszystko teraz musiało być inne. A przede wszystkim to, co łatwo zmienić. Więc wszelka administracja. Zasada nominacji ustępuje teraz wszędzie zasadzie wyborczej. Wszystkie urzędy są teraz obsadzane nowymi ludźmi z wyborów. Wybory, naturalnie, cztero-przymiotnikowe. Co do gubernatorów, to premier Lwow zarządził, aby ich (na razie — tymczasowych, z tytułem komisarzy rządu tymczasowego) obierała sama ludność miejscowa, z pośród osób znanych na miejscu. Zarządzono również natychmiast nowe wybory rad miejskich, by zamienić dawne rady cenzusowe, złożone z posiadaczy nieruchomości. Następują również wybory kierowników różnych urzędów, a więc w szkołach, policji, na fabrykach, w warsztatach, sądzie etc. W wojsku zaś zrobiło się to najwcześniej i samorzutnie — w chwili wybuchu rewolucji. Żołnierze usunęli, o ile nie wymordowali, dawnych dowódców, a obrali nowych, nawet i z pośród podoficerów, promując ich na swych zebraniach do stopnia oficerskiego.

Miasto małe, izolowane: na ustalenie nowego porządku potrzeba było kilku dni. Załatwiono się z »wrogami« odrazu, więc potem nastał spokój wewnętrzno-społeczny i absolutna cisza, oraz zupełne bezpieczeństwo. I wtedy, kiedy się w stolicy wciąż burzyło i zaczęła się walka społeczna, — w Kronsztadzie było cicho. Wszystko się ograniczyło do robót przymusowych dla »burżujów« czy inteli-

gencji i do urzędowo przepisanych rekwizycji, które były wykonywane przyzwocie i bez gwałtów. Ale i to miało miejsce już w okresie rządów bolszewickich, a w czasie Kiereńszczyzny prosto było cicho. To, że tak powiem, strona zewnętrzna. Od wewnątrz społeczeństwo się organizuje w związki zawodowe, których przedtem nie było. A więc powstają związki robotnicze według specjalności: metalowców, przemysłu drzewnego, doków etc. Powstały związki zawodowe i wśród inteligencji, a między innymi — i związek nauczycielski. Jednak w niczem to dawnej istoty rzeczy nie zmieniło. Związki wprawdzie powstały, ale to i wszystko; bo żadną działalnością wykazać się nie mogły. Pozycja inteligencji naogół ostrożna, bojaźliwa, leniwa i nieprzedsiębiorcza.

Ironicznie mówiono o nowej partji »I. I.«. Miało to oznaczać »partja ispugannoj intieligencji«, — czyli wystraszonej inteligencji.

Organizacja szkoły doznaje zmian. Prócz tego, że teraz kierownictwo jest z obioru, zmienia się skład rady pedagogicznej. Mianowicie, wchodzi teraz do niej prócz nauczycieli i delegatów komitetu rodzicielskiego jeszcze przedstawiciele uczniów.

Przewrót bolszewicki doda już tylko jedną nową kategorię członków rady pedagogicznej — przedstawicieli woźnych i stróżów.

Tak skonstruowane rady wobec rozpadu starego na świat poglądu i wobec rozszerzania się demoralizacji na coraz głębsze warstwy i poważniejsze środowiska, stały się przyczyną gwałtownego upadku szkoły, uniemożliwiając personelowi nauczycielskiemu poważne prowadzenie szkoły. Władza z jego rąk wymyka się całkowicie.

Młodzież szkolna ulega wyraźnie demoralizującemu wpływowi rewolucji; idzie odrazu z tłumem gapić się i przyglądać mordom i kaźniom. Idzie na służbę do urzędów sowieckich, a w szkołach pracuje coraz gorzej.

Przyjazd Kiereńskiego.

Ku końcowi czwartego tygodnia rewolucji przyjeżdża do Kronstadt Kiereński, już uznany za wodza rewolucji. Jego przyjazd jest kulminacją »dobrej« rewolucji w Kronsztadzie, t. j. t. zw. burżuazyjnej. Bo wkrótce po nim przyjeżdżają przywódcy bolszewi-

ków i zaczynają psuć. Przyjazd Kiereńskiego jest poniekąd i początkiem mojej »karjery«, mówiąc górną. Z wielu względów przyjazd ten był dla Kronsztadu znacznym wydarzeniem. Po raz pierwszy bowiem zjawia się tu minister rewolucyjny, nadto—wódz demokracji. Warto więc ten przyjazd opisać.

Było to 28 marca. Od rana dowiadujemy się, że ma przyjechać Kiereński. Komunikacja z Oranienbaumem tylko po lodzie. Kiereński przyjechał z Oranienbaumu samochodem i stanął w domu Sowietów (dawnym klubie marynarki wojennej). Idę właśnie do sowietu po nowiny i widzę, że znaczny tłum zebrał się przed tym domem... i wszyscy mają głowy podniesione do góry. Podchodzę bliżej... widok wyjątkowy. Kiereński wysunął głowę przez lufcik na pierwszym piętrze i... ta głowa przemawia do tłumu.

Ubawił mnie trochę ten sposób przemawiania. A miał on i dalszy ciąg. Oto Kiereński się zmęczył, wogóle to człowiek o kobiecych nerwach; poszedł do pokoju gościnnego i położył się w ubraniu na łóżko. Nerwy... histerja! Leżał pięć minut, wstał znowu, wychylił głowę przez lufcik i znowu przemawiał. To był początek pobytu.

Program pobytu obejmował uroczyste posiedzenie sowietu i mi-tyng w maneżu.

W ten sposób wizyta Kiereńskiego była niejako oficjalną sankcją dla władzy sowietu, równoległej władzy rządu.

Niebawem zaczął się zbierać sowiet na uroczyste posiedzenie. Dla Kiereńskiego postawiono na estradzie obok przyzdyjmu olbrzymi piękny fotel.

Przyszły do sowietu, aby powitać Kiereńskiego, i różne delegacje od związków. I zaczęto mówić. Mówiono, mówiono, mówiono! Słowa potokami, wodospadami lały się na moją właśnie głowę. Bo dla braku stenografa uprosili mnie na sekretarza tego uroczystego galowego posiedzenia, dlatego że prędko piszę. Wreszcie zaczął mówić przedstawiciel nauczycieli, mój kolega, niejaki Iwan Orieszyn. Ten poprostu skończyć nie mógł. Przebrał miarę nawet Kiereńskiego, który sam mówi jak gramofon... bez końca. Kiereński go w pewnym punkcie przerywa, sam w dwu słowach kończy jego przemówienie, ściska za rękę,—i siada.

Wreszcie zaczął mówić sam.

Przyznać należy, że mówił w miarę, nie za długo, i mówił to co potrzeba. Notować było łatwo, bo mówi jak na obstalunek — wyraźnie, i — pauza. Znowu szereg zdań dobrze ułożonych, zrozumia-

łych, i — pauza! Głos mocny, dźwięczny, donośny. Jakby deklamował. Gadać umie! niema co. Ale jak dowiódł — umie tylko gadać. Z tej racji nawet i przewali go: kiedy się sam mianował wodzem naczelnym, — nazywano go »głównougowariwajuszczyj«.

Dzień ten podniosły, uroczysty... Były to jakby imieniny rewolucji.

Z sowietu, gdzie była tylko elita, pojechaliśmy samochodami do maneżu. Ja musiałem wsiąść do samochodu Kiereńskiego razem z Piepielajewym, bo rachowaliśmy, że Kiereński będzie po drodze przemawiał na placu przed soborem, więc miałem na kolanach przygotowaną tekę i papier.

W maneżu ciżba. Idziemy na mównicę. Kiereński przemawia. Ja notuję.

»Wielikoje sowierszyłość!« tak zaczął Kiereński swą przemowę... i przedstawia, jakie znaczenie ma obalenie caratu. Ile pokoleń prowadziło z nim walkę i ginęło w lochach, w kopalniach, na wygnaniu... a ile zostało straconych. Wzywał do zaufania i poparcia dla Rządu Tymczasowego; wreszcie powiedział, że los Kronsztadu nie jest mu obojętny i t. d.

Potem w klubie zjadł obiad i odjechał. Odjechał... i wszyscy przeżyli jednakowe ze mną wrażenie. Oto, że kiedy oczekiwano go, to właśnie na coś czekano, że musi coś zająć znacznego, ważkiego. A jak odjechał... pozostało jakieś rozczarowanie, jakiś zawód. Porównywali z fajerwerkiem. Że to tylko widowisko i nic więcej. Po nim nic... tylko trochę zapachu siarki.

Prawda, taka opinja jest zupełnie usprawiedliwiona, bo była to przecie doprawdy tylko wizyta imieninowa.

Jednak później, kiedy Kiereński stanął już na czele rządu, to sprawiał na wszystkich właśnie takie, a nie inne wrażenie.

Należy dodać, że Kiereński posiadał tylko wymowę, bo pozatem ten człowiek niczem nikomu nie imponował. Ani zdolnością do czynu, jak się okazało, ani wiedzą, której za dużo nie posiadał, ani rozgłosem imienia, popularnością, — bo był to drugorzędny adwokat; ani doświadczeniem, bo z racji wieku (35 lat) jeszcze go nie miał; ani siłą charakteru i woli, bo to był typowy histeryk; ani też oryginalnością swego oblicza duchowego, którego nie stworzył jeszcze, przeciwnie — naśladował różnych wielkich ludzi, jak Napoleon, Gambetta. To znaczy nie w genjuszu, co się nie daje, niestety, naśladować, tylko w manierach, ruchach, zachowaniu się etc. Wreszcie sam, jako mężczyzna, był wyjątkowo nie reprezentacyjny. Babia twarz, absolutnie bez zarostu, wyjątkowo brzydka, do której zupełnie nie

pasowały sterczące »na jeża« włosy, jak u sztubaka; małe, ropiące się oczki, ciągle zmrużone; po rogach ust ślina, czy piana; — kiedy przemawia, to blisko stojących opluwa śliną.

Przy takiej postaci... pewność siebie i tupet niesłychany.

Wrogowie Kiereńskiego wysuwali często, jako broń przeciwko niemu, jego żydowskie pochodzenie. No, i było to zupełnie w rosyjskim stylu. Jest dla nich tak charakterystyczne zwalać wszystko na żyda. Raczej wolno zadać pytanie: dlaczego ich rewolucja, ani kontr-rewolucja nie wysunęła człowieka większej miary, niż Kiereński, a którego rosyjskość nie ulegałaby wątpliwości.

Bo ta okoliczność wprost bije w oczy: ani caryzm, ani wojna, ani rewolucja, ani kontr-rewolucja nie wysunęły ludzi wielkich, opatrnościowych.

Jest to już jednak temat dotyczący filozofji dziejów rosyjskich, a ja przecie piszę tylko własne wspomnienia.

Koleje żelazne latem r. 1917.

(Petrograd-Czerepowiec). Samorzutna demobilizacja.

W połowie maja r. 1917 z racji tego, że rok szkolny skończył się wcześniej, odwoziłem rodzinę na letnisko do miasta Czerepowca, około Wołody, gdzie byli znajomi, a sam wróciłem do Kronsztadu.

Jazda ta pokazała mi nową stronę rewolucji. Mianowicie, jak się zmieniły koleje żelazne. A więc był to czas, kiedy armja na froncie¹⁾, dowiedziawszy się, że jest rewolucja i że w głębi kraju mogą zacząć dzielić ziemię, rzuciła się żywiołowo do domu. Można liczyć, że od maja r. 1917 do pokoju Brzeskiego w lutym 1918 r. wróciło samorzutnie ponad $\frac{1}{3}$ część armji frontowej, a więc około pięciu milionów żołnierzy. Później, w marcu r. 1918 przyjdzie demobilizacja oficjalna i druga fala powracających nakształt ławicy niszczącej, nakształt potopu. Wtedy powróci jakieś 5 - 8 milionów. Wogóle armja wciąż, bez przerwy sęczy się ku domowi, topnieje.

Otóż mówię o tej pierwszej fali, o samorzutnym powrocie wiosną 1917 r. Któżby się ośmielił w tej nawałnicy, w tym wirze ludzkim, pytać o bilet kolejowy, o dokumenty podróży. Wielu naiwnych,

¹⁾ Armja ta, według Denikina (»Oczerki russkoj smuty«) liczyła od 13 do 17 milionów. Ścisłej liczby nie miał nigdy i sztab, więc podawano w przybliżeniu, z odchyleniem do paru milionów (!).

którzy próbowali pytać, potratowano, pomordowano. Jechał do domu tyloletni obrońca, który śmierć miał za nic, który ani swego, ani cudzego życia wysoko nie cenił. Otóż wszystkie pociągi, jakie się tylko ruszały od strony frontu w głąb kraju (a w znacznej mierze i wszystkie inne), wiozły zbitą, stłoczoną, brudną, cuchnącą, zawszoną, dziką masę żołnierzy-frontowików. Wagony w ciągu miesiąca zostały zdemolowane. Boć tam mowy nie było o tem, by siadać po kolei, w porządku, i tylko tyłu, ile było miejsc przepisowych. Każdy chciał, każdy się pchał, — pchał i siebie i swe tłomoki. Szli przez drzwi, zapychając przedziały tak, że zamiast sześciu osób było dwadzieścia, zapychali potem i korytarze, tak że człowiek stał przy człowieku i nie było mowy o tem, aby przejść wzdłuż wagonu do ubikacji, czy też aby przeszła kontrola. Jak się tak zapchało wszędzie i już przez drzwi nie można było się wcisnąć do środka, to nowi zapelniali pomosty, schodki, wisząc na nich jak winogrona, włączili na dachy, i na dachach się kładli, albo siadali. Przejżdżając jednak pod mostami musieli się kłaść wszyscy, bo niejednego most zrzucił. Inni znowu pchali się do wagonu przez okna. O ile te były zamknięte, to rozbijali swemi skrzyniami szyby, ciskali przez rozbitą szybę rzeczy, przeważnie skrzynie - kłody, i leżeli za niemi do wnętrza sami, częstokroć dla bezpieczeństwa buciarzami naprzód. W ubikacjach lokowało się z 6-8 żołnierzy.

W nocy, jak się to pokładło, to w korytarzu leżały często jedna na drugiej aż dwie warstwy żywych ludzi. A kto chciał przejść, to walił po ludziach butami, jak po podłodze i rzadko kto z leżących się zbudził. Tak było.

To było coś potwornego.

Jak się z powietrza weszło do takiego pociągu, to oczy na łeb wylaziły: tak mocny był tam »duch«. A jeszcze w dodatku wszyscy palą śmierdzącą machorkę, żrą »siemiaczki«, wypluwają łuskę, a pluja na sprzęty. W takim piekle jeszcze jest przecie jedna rzecz należąca do treści, to — rozmowy, prowadzone w tym bajecznym »trzypiętrowym« stylu, który się nazywa po-rosyjsku »matierszczyna«, a którego pensjonarkom nie zaleca się słuchać.

W tym samym szarym, brudnym, zaplutym, śmierdzącym stylu były i dworce kolejowe, gdzie ta ciżba dniami i tygodniami biwakowała, czekając odpowiednich dla siebie pociągów.

Była to żywiołowa wędrówka ludów.

W kierunku przeciwnym, a więc z głębi kraju ku frontowi jazda była nieco znośniejsza i ruch nie tak przerażający. Nie było takiej ciżby i zniszczenie było mniejsze.

Tu zaś próżnobyś szukał wagonu, któryby miał drzwi i okna. Było to wszystko potłuczone, połamane, odrapane, jak po bitwie. Wnętrza były zdemolowane w inny sposób. Mianowicie: w wagonach miękkich I i II klasy poobdzierano skórę i plusze z siedzeń, no... bo się to w domu przyda. Sterczały więc z kanap sprężyny, włosie, słoma.

Nic dziwnego, że w krótkim czasie koleje wogóle wycofały klasowe osobowe wagony, zostawiając dla ruchu pasażerskiego wyłącznie wagony towarowe. W tych pozostał nowy styl podróży, już poprostu koszmarny.

Z racji tej wędrowki wojska cywile w tym okresie mało jeżdża, zwłaszcza kobiety. Rzecz prosta: wszyscy się bali. Jednak, jeżeli cywil jakiś się trafił, to i on jechał darmo, bo wszyscy jechali darmo. Kontrolni nie było już żadnej, sprzedaż biletów jakoś automatycznie zawieszono.

Miejsca w takim pociągu można było zdobyć jedynie przez żołnierzy.

Otóż, mój pisarz Kuricyn, który już z racji wieku był zwolniony i wracał do domu w okolice Czerepowca, okazał się dla mnie osobą opatrnościową. Ponieważ ludzi swoich nie biłem i nie łajłem, więc jeszcze przed rewolucją do mnie się przywiązał, a teraz chciał się odwdziaczyć. Zdobył dla nas (żona, dwoje dzieci, ja, służąca i sam szósty) cały przedział. I jak się do tego przedziału brać żołnierska pchała, to bronił, mówiąc, że swego »barina« dobrego wiezie, że to jego »ziemlak«. Obrona jego zdobyła nam natychmiast sympatję całego naszego wagonu. To też nie potrzebowaliśmy o nic troszczyć się, bo i ten i ów poszedł na stację w drodze i przyniósł co trzeba. Synek mój bardzo był z tego zadowolony i raz wraz pokazywał paluszkami na Kuricyna i rad, że go umie nazwać, mówił: »wot Kulicyn«, co tego poprostu rozczulało. Na pożegnanie, kiedy już wrócił do swej wsi, przysłał mi podarunek, jak na owe czasy bardzo nawet cenny: sztukę płótna samodziiałowego, dziękując w liście za dobre serce, że, powiada »mnie pri was było choroszo, tak puszcza i wam budiet choroszo«.

No, a tym, co nie znają narodu rosyjskiego, a ryczałtem mieszają z błotem i pogardzają nim, powiem, że ten Kuricyn wcale nie był wyjątkiem. Właśnie w czasie rewolucji, kiedy ich, Kuricynów, nic już nie zmuszało do uprzejmości, bardzo często doznawałem prostego dobrego i serdecznego stosunku od nich. A ten Kuricyn przed rewolucją był tylko jakieś dwa miesiące moim podkomendnym, więc znowuż tak żadnych dobrodziejstw z mej strony nie widział. Z mo-

jej strony był jedynie ludzki stosunek... no, może i to dla nich było czemś. Choć nie przypuszczam, by wszyscy inni byli tyranami. Mam wrażenie, że Kuricynów jest większość i to przytłaczająca.

„Niepodległość“ Kronsztadu

(zerwanie Kronsztadu z rządem, — 16. V. 1917).

Tylko bardzo krótko Piepielajew odpowiadał usposobieniu i nastrojowi Kronsztadu. On był przedstawicielem stronnictwa większej burżuazji (»K.-D«), a tymczasem w sowiecie kronsztadzkiem burżuazja była w znikomej mniejszości. Coraz więc mniej zaczynają do siebie pasować sowiec i komisarz rządu.

Zwłaszcza stawiają silny opór Piepielajewowi czynniki tajne, niewidoczne, — agentura niemiecka, którą Piepielajew chce wytepić; chce zaprowadzić kontr-wywiad, bo stary się rozsypał. Czynniki tajne, łącznie z bolszewikami wywołują drobne, później coraz większe scysje między Piepielajewym a sowieciem, które zaostwiają stosunki.

Wreszcie, w samym końcu kwietnia i początku maja zjawiają się w Kronsztadzie przedstawiciele bolszewickiego sztabu: Trocki (Bronsztajn) i z nim cała paczka. Ocenili oni należycie znaczenie Kronsztadu, jako uzbrojonej wyspy u wrót stolicy, siedziby rządu, — i zaczynają tu agitację. Agitacja prowadzona głównie przez samego Trockiego, dobrego mówcę mityngowego, robi swoje. Ruch bolszewicki, dotychczas znacznie słabszy, niż es-erowski, wzmagą się. Zaczynają działać i stają się tu głośni miejscowi bolszewicy: Ras-kolnikow (miczman Iljin), Lutowicz, Roszał, Dieszewoj, Bredman, Lebiediew i inni. W początku maja wzmożony ruch bolszewicki łącznie z czynnikami wspomnianymi gwałtownie atakuje Piepielajewa (13, 15, 16 maja) i 16-go maja sowiec uchwała Piepielajewowi votum nieufności, usuwa go i ogłasza uchwałę o zerwaniu Kronsztadu z rządem tymczasowym. Jedyna władza w Kronsztadzie — to sowiec. Stosunki z Rosją i stolicą mają iść teraz przez Sowiet petersburski. Czyn ten zrozumiany został przez rząd, jako odpadnięcie Kronsztadu od Rosji. Na parę tygodni przedtem to samo zrobił sowiec w Szlisselburgu (u źródeł Newy, nad Ładogą).

Ze swej strony Piepielajew zareagował, jak mógł. Tegoż 16 maja zgłosił dymisję na ręce ks. Lwowa (premjera), objaśniając motywy przez załączenie kopji swego pisma do Komitetu Wykonawczego Sowiec Kronsztadzkiego.

Oto ten list:

»Z chwilą nominacji komendanta fortecy oraz kapitana nad portem, pozostały przy mnie tylko sprawy zarządu cywilnego w Kronsztadzie. I ja uważałem, że z chwilą przekazania komuś i tego działu, moje zadanie, jako tymczasowego przedstawiciela rządu w Kronsztadzie dla uporządkowania wszystkich gałęzi zarządu, — zostanie wykonane.

W przewidywaniu swego odjazdu, jeszcze 10 kwietnia przedstawiłem Komitetowi wykonawczemu plan przyszłego cywilnego zarządu w Kronsztadzie. Ze wszystkimi memi propozycjami Komitet się zgodził i przyjął odnośną uchwałę, co potem zaakceptował i Sowiet. Propozycje te: 1) zbędność osobnego urzędu gubernatora wojennego, 2) niecelowość połączenia jej z urzędem głównego komendanta portu, 3) potrzeba ustanowienia funkcji pomocnika komendanta fortecy w sprawach cywilnych.

Na tej podstawie przedstawiłem rządowi projekt ustawy, mocą której cywilny zarząd miasta, oddaje się komendantowi fortecy, a dla bezpośredniego wykonywania tego zarządu otwiera się nowy urząd — pomocnika komendanta do spraw cywilnych.

Sama nominacja na otwierany urząd nastąpiłaby po uprzednim omówieniu kandydatury przez sowiet miejscowy.

Niespodziewanie, 13 maja Komitet Wykonawczy uchwalił: Jedyną władzą w Kronsztadzie jest Sowiet robotn. i żołn. deputatów, który we wszystkich sprawach wagi państwowej wchodzi w bezpośredni kontakt z Rządem Tymczasowym.

Placówki administracyjne w Kronsztadzie zajmują członkowie Komitetu Wykonawczego.

Chociaż uchwała ta została przyjęta z racji kwestji szczegółowej (obsadzenie urzędu naczelnika milicji) lecz myśli w niej wyłożone mają charakter na tyle ogólny, że kasują i poprzednie postanowienie. Przez to usuniętą została możliwość dla mnie przekazania spraw resortu zarządu cywilnego stałemu przedstawicielowi władzy rządowej.

Wobec powyższego, a także wobec tego, że od chwili uchwały 13 maja nie mogę się już uważać za odpowiedzialnego za Kronsztad, podałem ministrowi-prezydentowi oświadczenie, że się zrzekam obowiązków Komisarza.

Uważam za konieczne powiadomić o tem Kom. Wyk.

Komisarz Rz. Tymcz. członek Dumy Państw.
W. Piepielajew«.

Nastały w Kronsztadzie bajeczne dni!

Niepodległa republika, nie mająca nawet przy rządzie rosyjskim swego ambasadora! Tem nie mniej stanowiąca w całości fort i główną obronę stolicy Rosji... Zaczęły się rządy niezależnego od nikogo Sowietu.

Do tego dziwolała politycznego zaczynają zjeżdżać przedstawiciele obu stron: bolszewików i rządu w różnych, oczywiście, celach.

I tak, 19 maja przyjeżdża grupa internacjonalistów z Zimmerwaldu i Kientalu: Robert Grimm, któremu wkrótce potem udowodniono szpiegostwo na rzecz Niemiec (i wyrzucono go), Anżelika Bałabanowa i jeszcze czworo. Wszyscy żydzi.

Przyjęcie i odprawa ich były imponujące. Choć nikt, a w tej liczbie i ja, pojęcia nie miał, co to za ludzie. Znali się na tem jedynie menerzy bolszewicy. Przyjechali, rzekomo, sprawdzić, czy rzeczywiście w Kronsztadzie panuje anarchja, jak to piszą gazety stołeczne.

A że istotnie sceny anarchji ulicznej nie miały miejsca i panował spokój, więc im to oficjalnie na mityngu zakomunikowano.

Jedna rzecz rzucała się w oczy: dlaczego to zmobilizowano tak olbrzymie tłumy, jak nigdy dotychczas, i dlaczego te tłumy robią niesłychaną owację jakimś przybłędom, obcego pochodzenia, z narodu powszechnie w Rosji nielubianego, ludziom, których tu nikt nie zna, prócz kilku bolszewików... którzy nadto przemawiają do tłumy po francusku lub po niemiecku i których z tej racji tłum zupełnie nie rozumie!

Było to dla mnie zagadką.

Objąśniałem później to sobie tak, że tłum wogóle lubi widowiska, zwłaszcza jeżeli je dają mu już gotowe. Tak samo chodziliby za kozłem o pięciu nogach, lub innym dziwolażem.

Była to w każdym razie reklama w stylu dotychczas absolutnie w Rosji nieznanym.

Po mowie Grimma w manieżu na mityngu pytam jednego z prostych »towaryszów«, który go słuchał uważnie: jak mu się podobało przemówienie? Odpowiada: »Poniał' — nie poniał, a choroszo goworit, poprawno!« Że choć nic nie zrozumiał, lecz uważa, że ten dobrze mówił, słusznie!

A owacje, a krzyki, a hałasy, a wytrząsanie rąk, a podrzucanie w powietrze! Z tego podrzucania, jak zauważyłem, najwięcej zadowolona była Bałabanowa, niska, tłusta, wstrętna, kędzierzawa brunetka, porządnie nadgryziona zębem czasu.

W dwa dni po tych zagranicznych przybłędach przyjechał Łunaczarskij (prawdziwe nazwisko), rosyjski żyd. Emigrant, dyletant-socjolog, potrosze filozof religii i teoretyk-anarchista. Naogół człowiek dość inteligentny i jeżeli nie uczony, to w każdym razie otrząskany. Z nim przyjechało jeszcze paru anarchistów. Rosjan i w tej grupie również nie było.

Łunaczarski też mówił przed sowietem. Nieźle mówił... W Kronstadtzie od tych mów i wizyt, to aż gorąco!... Huczy, jak w ulu.

Całe dwa tygodnie trwała ta »niepodległość« (16 - 30.V). Około 20.V nowe wybory. Nowy Sowiet. Wybory były potrzebne, aby sprawdzić, czy masy popierają kroki Sowietu. Wybory odbywają się pod wpływem bolszewików, którzy chcą zdobyć większość. Jednak jeszcze ludność nie była ani steryzowana, ani wytracona z równowagi. Bolszewicy zdobyli niecałe 25% mandatów. I to—przy ich ambicjach i agitacji. Ale hałasują zato tak, jakgdyby ich było dwa razy więcej. W nowym Sowiecie układ sił następujący: Około 100 es-erów, około 80 bolszewików, około 90 mieńszewików i drobnych ugrupowań i około 80 z ugrupowania bezpartyjnego, do którego weszła wszystka inteligencja i maskująca się burżuazja. To były najpoważniejsze siły intelektualne, wśród nich spora garść ludzi z wyższym wykształceniem. Do tej właśnie grupy należałem i ja.

Wodzirejami w tym sowiecie od początku stali się es-erowie.

Nowy sowiet zaczął swą działalność na pierwszym zaraz posiedzeniu od kwestji kontaktu z rządem. Ze zdumiewającą jednak zgodą, wbrew mym oczekiwaniom i zdrowej logice—wszystkie grupy, z wyjątkiem naszej, bezpartyjnej, oświadczyły się przeciwko nawiązaniu kontaktu z rządem.

Jeden jedyny wniosek o kontakt z rządem, ułożony przezemnie (co za ironja losu!) i w imieniu klubu bezpartyjnego przedstawiony sowietowi, — został odrzucony.

Wniosek mój upadł, ale w kilka dni potem stał się powodem mojego wyniesienia na urząd gubernatora.

W parę dni po tem posiedzeniu, 23 maja, rząd tymczasowy wreszcie zareagował. Posyła do Kronsztadu dwóch ministrów: Skobelewa i Ceretlego dla osiągnięcia jakiegoś sukcesu, a przynajmniej kompromisu.

Całą noc obradował z ministrami Komitet wykonawczy. Grozili tam ministrowie blokadą i represjami: a więc pozbawieniem go-tówki i odcięciem żywności.

O tem posiedzeniu dowiedzieliśmy się zrana nazajutrz... i miasto zatrzwożyło się.

W dzień odbyło się posiedzenie sovietu, na którym byłem. Tu w nieco złagodzonej formie wysunęli ministrowie żądanie natychmiastowego nawiązania kontaktu z rządem. Żądanie to miało charakter ультимatywny.

Ministrowie osiągnęli sukces połowiczny. Mianowicie soviet uchwalił, że będzie dążył ku temu, aby demokracja stworzyła nową organizację władzy, dającą całą władzę w ręce sovietów (czyli, że dąży do bolszewicko-sowieckiego ustroju), lecz dopóki tego niema i dopóki inni uznają rząd tymczasowy, — Kronsztad również gotów jest ten rząd uznawać.

Jednak, ledwo ministrowie odjechali, ledwo tylko nazajutrz gazety ogłosiły tę uchwałę, natychmiast zebrał się mityng marynarzy (ze 3000), który uchwalił żądać od sovietu, by cofnął swą wczorajszą uchwałę i oświadczył kategorycznie, że rządu tymczasowego nie uznaje. Soviet przychylił się do życzenia mityngu i telegrafuje premierowi Lwowowi, że wczorajsza uchwała nie jest żadnym wnioskiem, że to był tylko szereg »odpowiedzi na pytania« ministrów. Soviet po staremu stoi na gruncie uchwały z dnia 16-go maja.

Tego już było zanadto nawet dla rządu tymczasowego. Rząd wpłynął tedy na soviet petersburski, który podówczas nie był jeszcze zbolszewiczały, aby wywarł presję na soviet kronsztadzki. Soviet petersburski poparł rząd: zażądał od Kronsztadu uległości dla rządu, wykonywania wszystkich rozkazów rządu, oraz przy tej okazji podniósł kwestję o bezprawnem trzymaniu w więzieniach kronsztadzkich oficerów aresztowanych w marcu, traktując to trzymanie, jako akt zemsty, poniżający rewolucję.

Rząd, mając w rękę te uchwały Sovietu petersburskiego, zdecydował powtórzyć je Sovietowi kronsztadzkiemu, dodając rozkaz do dowódcy floty wojennej Bałtyckiej, aby natychmiast wyprowadził z Kronsztadu wszystkie statki szkolne na ćwiczenia letnie. Jednak rząd nie wykonał swego ultimatum w całości. Wolał ostatecznie załatwić sprawę polubownie, kompromisowo.

Oto są punkty tego »kompromisowego ultimatum«, które po wysłuchaniu swych delegatów Skobieleva i Ceretellego (23-4 byli w Kronszt.) rząd Tymcz. wystosował do Kronsztadzkiego Sovietu.

1. Zaproponować Kronszt. Sovietowi rob. i żołn. deputatów wysunąć kandydata na urząd przedstawiciela Rz. Tymcz. w sprawach cywilnych w Kronsztadzie.

2. Przystąpić do wykonania wyborów w Kronsztadzie do Rady

miejskiej na podstawie postanowienia Rz. T. o dokonywaniu wyborów radnych Rad miejskich z d. 15.IV.1917.

3. Polecie ministrowi sprawiedliwości natychmiast utworzyć Komisję śledczą z 6 osób od resortu sprawiedliwości, adwokatury przysięgłej i Kom. Wykonawczego Petrogradzkiego Sowietu rob. i żołn. deputatów; zaproponować tej Komisji włączyć do swego składu przedstawicieli komisji śledczej Kronsztadzkiego sowietu rob. i żołn. deputatów, i przystąpić do zbadania spraw, dotyczących osób aresztowanych w Kronsztadzie, z tem, aby osoby, które ta komisja odda pod sąd, były odtransportowane do Petrogradu ze strażą z zażewzaniem z Kronsztadu przedstawicieli zainteresowanej części wojska przy rozpatrywaniu sprawy. Osoby zaś, co do których w biegu dochodzenia nie okaże się dostatecznej podstawy do oddania pod sąd, byłyby zwolnione z aresztu (z pod straży) z zawiadomieniem o tem Kom. Wykonawczego Sowietu rob. i żołn.-deputatów, oraz wszystkich jednostek garnizonu.

Kronsztadt miał prawie tydzień czasu na powzięcie ostatecznej decyzji, rozmawiając tymczasem i z rządem i z Sowietem petrogradzkim.

Decyzja ta zapadła na posiedzeniu Sowietu dnia 29 maja.

Tydzień ten był przełomowy.

Z jednej strony Sowiet zrozumiał, że szaleństwo jego długo trwać nie może, że rząd zdusi wreszcie ten bałagan, a wtenczas będzie całkiem inaczej, bo z nimi nie będą już wogóle gadali, więc lepiej coś zachować, niż stracić wszystko. Z drugiej strony — miasto zaczęło wywierać wpływ na Sowiet (gdzie przeważała masa żołnierska), nieco ostudzając zamiary separatystyczne.

Cały tydzień upłynął na naradach, konferencjach, na mówieniu i mówieniu.

Oddziaływała w tym czasie opinia rady miejskiej, miejscowej inteligencji i szerszych kół robotniczych. Wytworzyła się wyraźna atmosfera za natychmiastowem ustaleniem kontaktu z rządem.

Zaczęto szukać kandydata na komisarza rządu. Na mocy podanej uchwały rządu i na mocy uzusu w całej Rosji przyjętego — komisarz mógł być człowiekiem miejscowym, którego ludność obiera, a rząd tylko zatwierdza, ogłaszając jego nominację. Człowiek ten musiał odpowiadać wielu wymaganiom. Musiał być zdecydowanym demokratą, by nań przystał Sowiet, który ma wybierać, a również powinien być czystym od zarzutów sprzyjania separatyzmowi, aby zgodził się na niego rząd. Nadto, aby nie szukać go poza sowietem,

dobrze, by już był członkiem sovietu. Oto dlaczego po krótkiej chwili poszukiwania i namysłu wszyscy zatrzymali się na mojej osobie. Czyniła bowiem ona zadość wszystkim tym wymaganiom. Nie bez znaczenia również było i wyższe wykształcenie, co schlebiali sovietowi, że ma w swem gronie ludzi z wykształceniem. A co najważniejsze — przypomniano sobie mój wniosek z przed tygodnia. Uznano, że był on dowodem zdrowej myśli politycznej, a więc jego autor nadaje się na stanowisko łącznika z rządem, czy przedstawiciela rządu.

Nie bez znaczenia również była moja narodowość, albowiem mniejszości narodowe chętniejby na mnie głosowały. Dla stronnictw zaś byłem najmniej nieprzyjemny, jako bezpartyjny.

Zostaję gubernatorem.

Otóż na posiedzeniu 29 maja uznano i uchwalono, że kontakt z rządem należy wznowić natychmiast. W wyborach wobec okoliczności powyższych przeszła moja kandydatura. Wybory odbyły się w ten sposób, że wysunięta była tylko jedna moja kandydatura, na którą zawczasu się zgodzono. Konkurentów nie miałem. Wysunął moją kandydaturę klub bezpartyjny, popierali es-ery i mienszewiki. Tylko bolszewicy od głosowania uchylili się, udziału w niem nie brali. Milcząco i oni zgodzili się na mnie, gdyż przeciwni nie stawiali.

Jednak soviet nie chciał jeszcze całkowicie złożyć broni w walce z rządem i dla zaakcentowania swej autonomiczności — kasuje tytuł komisarza rządu tymczasowego, tworząc stanowisko hierarchicznie niższe, które jest już jedynie łącznikowem, nie suwerennem, jak komisarz. Niby to idą za wnioskiem Piepielajewa i rządu, lecz w nowej sytuacji przybiera to właśnie ten charakter. Miało to być stanowisko pomocnika komendanta fortecy dla spraw cywilnych (»pomoszcznik komiendanta krieposti po graždanskim dielam«).

Staął zatem kompromis. Kronsztadowi pozwolono samemu obrać komisarza (obieralność komisarzy, jak mówiłem, wprowadzona była przez Lwowa jako system w całej Rosji), tylko Kronsztadt obniżył to stanowisko hierarchicznie.

I w tej postaci było to już zwycięstwo rządu. Stanie się ono jeszcze wyraźniejsze po zameldowaniu się mojem u Lwowa, prezesa rady ministrów.

Po skończonem głosowaniu w Sowiecie, jak tylko został ogłoszony jego wynik, uważałem za obowiązującą mnie grzeczność zaprezentować się zgromadzeniu i parę słów powiedzieć.

A więc powiedziałem przedewszystkiem, że nie jestem socjalistą, że, prawda, za młodu sprzyjałem temu kierunkowi, teraz jednak mam swoją własną »platformę« polityczną. Powiadam, że stronnictwa bliskiego do mojej platformy w Rosji niema, jakkolwiek platforma ta powstała na gruncie etyki rosyjskiego filozofa Włodzimierza Sołowjewa. I należałoby moje stanowisko, o ile chodzi o program teoretyczny, nazwać chrześcijańskim socjalizmem. Jednak nie identyfikując ze stronnictwami o tej samej nazwie istniejącymi gdzieindziej.

Widziałem, że słuchają uważnie... lecz mam wrażenie, że słuchaliby tak samo, gdybym im mówił po-chińsku. Powiedzieć jednakże uważałem za swój obowiązek.

Po obiorze, wieczorem, musiałem pojechać do Petersburga i przedstawić się rządowi. Pojechałem w asystencji prezesa komitetu wykonawczego Łamanowa, który powinien był złożyć raport rządowi, że Sowiec kronsztadzki wykonał rozkazy rządu. Chociaż flota ani w tej chwili, ani później nie została wyprowadzona z Kronsztadu, na co rząd zmuszony był zamknąć jedno oko.

W oczekiwaniu audjencji u Lwowa w pałacu rady ministrów byliśmy otoczeni przez korespondentów pism Ententy i musiałem dać wywiad — o którym niżej.

Wreszcie zostaliśmy przyjęci przez Lwowa. Otóż, jak się on tylko dowiedział, że sowiec uchwalił nowe stanowisko zamiast dawnego komisarskiego, wręcz odmówił uznania tego faktu i rozkazał, że ma być tak jak było. Że mam więc być komisarzem rządu tymczasowego. Łamanow przyjął to do wiadomości i Sowiec kronsztadzki również.

A 20 maja ogłoszony został dekret rządu tymczasowego, który mnie mianował »Komisarom Wremiennawo Prawitelstwa po gorodu Kronsztadtu«.

W ten sposób zostałem rosyjskim gubernatorem.

Pierwszą czynnością moją było rozplakatowanie w mieście pierwszego rozkazu do ludności, zawierającego oznajmienie, że objąłem urząd. A nadto wzywam tam ludność do przejścia się pocuciem

odpowiedzialności, która obowiązuje każdego obywatela. Ostrzeżeniem przed agitacją czynników nieodpowiedzialnych etc...

Odezwa ta, zapowiadająca wierność zasadom praworządności, rokująca spokój i rządy zrównoważone, już się nie podobala sowie-towi, zwłaszcza wzmianka o agitacji czynników nieodpowiedzialnych. Lecz sowieć był świeżo pod wrażeniem porażki, więc przemilczał,... ale zakarbował to sobie.

Na mieście odezwa zrobiła dobre wrażenie.

Rząd tymczasowy. Wrażenie.

Rząd Tymczasowy... ile sympatyj, ile nadziei, ile poezji dookoła niego! Jacy mili, sympatyczni ludzie! Jacy prawdziwi demokraci!

Ale... niema tego rządu. Przeminał, jak bańka mydlana, połyskując i mieniając się tęczą.

Ten rząd był rzeczywiście tylko tymczasowym i na dłuższą metę utrzymać się nie miał siły.

Miał on, prawda, serce szlachetne. Lecz rewolucja wymaga nadto głowy mądrej, przewidującej i pięści żelaznej. Tego ten rząd nie posiadał.

Okazał nierozumienie sytuacji, nieznajomość własnego ludu i nie-przezorność.

Jest, oczywiście, rzeczą historii krytyka bezstronna. Ja notuję tylko własne wrażenia.

Widziałem kilku członków Rządu Tymczasowego i rozmawiałem z nimi. A więc poznałem Lwowa (premjera), Kiereńskiego, Lebie-diewa, Ceretellego, Skobielewa, Pierewierziewa, Oldenburga i Awksientjewa. Jako człowiek, najsympatyczniejsze wrażenie sprawiał ks. Lwow. I był może najbardziej ze wszystkich ministrów zaśle-piony wiarą w ukryte siły wyzwolonej demokracji i... najbardziej nieprzewidujący. Z całego rządu było to serce najszlachetniejsze. O Kiereńskim piszę na innym miejscu. Ceretelli z całego rządu wydawał mi się najtęższą głową. I gdyby był Rosjaninem, mam wrażenie, że z pewnością zająłby pierwsze miejsce w rządzie. Umysł bystry, decyzja szybka i mądra. Awksientjew — to rozlewno-mglisty inteligent rosyjski, bez silnego charakteru. O ile nadawałby się na mówcę przy nieskończonej rosyjskiej herbatce i papierosach w studenckim kółku, o tyle nie miał absolutnie żadnych kwalifikacyj na ministra, tembardziej — ministra spraw wewnętrznych i to pod-czas rewolucji.

Z Pierewierzewym widziałem się zbyt krótko i nic o nim powiedziećbym nie mógł. Zresztą resort sprawiedliwości jest zbyt fachowy; chociaż w tej chwili grał rolę większą niż zwykle, z racji procesów politycznych. Zdaje się jednak, że był to człowiek mocny.

Należy zaznaczyć jednak, że w ciągu swego ośmiomiesięcznego istnienia rząd tymczasowy trzy razy był gruntownie zmieniany, a więc były kolejno cztery rządy, z których każdy trwał po dwa miesiące mniej więcej. Cóż taki rząd mógł zrobić.

Mały samolubek Kiereński, którego osoba wogóle psuła wszystko i wszystkim zawadzała (według powszechnej opinii emigracji rosyjskiej), umiał kadzić motłochowi i dlatego trzymał się wciąż na powierzchni, usuwając innych, w kim tylko mógł przypuszczać współzawodnika.

Był moment, że Kiereński miał w rękę pięć tek ministerjalnych. Był znowu czas, że stał się wodzem naczelnym wszystkich sił zbrojnych!... »Głównowierchem«!

Ludzie żartowali, że był wodzem Mikołaj II, to czemu Kiereński nie ma być wodzem!

Prawda, że dla państwa wisielcze to żarty.

Moje stanowisko polityczne.

Stanowisko komisarza Kronsztadu, gubernatora, jakkolwiek nie było związane z żadną władzą rzeczywistą, gdyż nawet i policja została obecnie uzależniona od magistratu, a podlegała mi tylko pośrednio, — było jednak dość znacznem stanowiskiem reprezentacyjno-politycznem. Wymagane było ustosunkowanie się na kilka stron. A więc przede wszystkim w odniesieniu do mnie zachodziło pytanie: czy mnie, jako Polakowi, wypada je przyjąć? (stawiałem je sobie oczywiście przed wyborami). Dalej, jak się mam postawić wobec sovietu, samorządu miejskiego, Rządu Tymczasowego oraz wreszcie — czynników dalszych, ale zainteresowanych z racji strategicznego położenia Kronsztadu — aljantów, których korespondenci indagowali mnie skwapliwie w czasie mojej pierwszej wizyty u premiera.

Więc po kolei. Dlaczego przyjąłem stanowisko? Aby stać się czynnikiem ładu i porządku w poczynającej się anarchji. Zdawało mi się, że mam po temu dane. Prawda, ratować miałem nie nasze,

lecz cudze, jednak — anarchja zagrażała przecież wszystkim mieszkańcom, a w tej liczbie i mnie. Ogólnoludzkie więc stanowisko i ententofiliska orientacja moja były wystarczającym powodem, by przyjąć posadę. Naogół Polacy nie uchylali się od udziału w tej rewolucji. Prócz wielkiej ilości Polaków na małych placówkach było nas sporo i na znaczniejszych. Pamiętam na stanowisku takim jak moje, jeszcze kilku, a wśród nich p. Demidowicza-Demi-deckiego (jeden z pięciu, którzy wykradali Piłsudskiego z domu warjatów w Petersburgu); dalej było paru komisarzy armij, z nich przypominam sobie Wędziagolskiego. Lednicki piastował nawet urząd ministerjalny (poza gabinetem ministrów).

Co do mnie, to się zresztą zbytnio nie angażowałem, wycofałem się bardzo prędko. A wśród przyczyn wycofania się były również i wiadomości o ruchu w kraju. (O przyczynach dymisji — dalej). Niektórzy z Rosjan traktowali objęcie przeze mnie stanowiska komisarza, jako »karjerę«. Dawało to powód czasem do docinków, że to niby »marcowy rewolucjonista«, że zaszczyty należałyby się komu innemu. Tym odpowiadałem, że ani przed marcem nie byłem rewolucjonistą, ani nie stałem się nim w marcu. Jednak, że razem z innymi cieszę się z obalenia caratu. Uważam, że stanowiska należy obsadzać ludźmi odpowiednimi, traktując je nie jako zaszczyty, tylko obowiązek, pracę. Zresztą, powiadam, stanowisko z obioru. Obrali, więc chcieli.

Prawda, do pewnego stopnia słuszność oni mieli. Dotychczas bowiem byłem obcy polityce nie tylko rosyjskiej, lecz i naszej. Tej abstynencji od życia polityczno-społecznego nie uważałem jednak za dowód dostateczny, bym i teraz miał się uchylać.

Podziemia rewolucyjne, istotnie, mnie nie pociągały. Wolałem spokojniejszą naukę, niż jałowy zgiełk. No i poprostu nie lubiłem wysługiwania się, które i wśród konspiratorów, niestety, było we zwyczaju.

Nie znaczy to jednak, bym nie miał sympatyj politycznych. Pierwszą taką sympatją, acz platoniczną, była P. P. S. I nie dla samego może programu, lecz raczej dla większej ilości ludzi mądrych a chudych z tego stronnictwa w »kuchni« naszej studenckiej w Petersburgu (Zabałkański prospekt 20¹). Nigdy jednak nie miałem przekonania do materjalizmu dziejowego, który wymaga materjalizmu i w filozofji, t. j. na świat poglądu, który zwalczam.

1) Istniała ponad 27 lat. Czeeka na swego Homera.

Przeciwny biegun — »en-decja« obfitował w indywidua przeważnie głupie i zbyt ospałe, jakich nie lubię. Przy tej okazji przypomniały mi się dawne nasze żargonowo-studenckie nazwy tych partyjników. P. P. S. nazywano »papasami«, a »n-d« — »indykami«. Te przezwiska pasowały nawet trochę i fizycznie, częstokroć bowiem P. P. S-i mieli wygląd nieco dziki, a »n-d« — indykowaty.

To jednak dawne dzieje. W danej chwili sympatje moje były po stronie partji pracy (rosyjskiej, nie angielskiej).

W rewolucji rosyjskiej widziałem częściową realizację moich marzeń politycznych.

Jednak abstynencja polityczna miała swe złe skutki, gdyż obejmowałem stanowisko obecne, nie mając żadnego doświadczenia politycznego, jako laik-filister. Teoretycznie dobrze rozumiałem konieczność rewolucji, lecz w praktyce słabo orjentowałem się w różnicach partyjnych. Jednak, nie jest tu potrzebna Bóg wie jaka mądrość... i już w trakcie rewolucji mądrość tę posiadałem.

Stosunek mój do sowietu układał się sam przez się. Sowiet był realną siłą, ja zaś żadnej siły do swej dyspozycji nie posiadałem. Byłem człowiekiem przypadkowym, na którym stanął kompromis między sowietami a rządem, a więc — niedługowiecznym na urzędzie (t. j. dopóki potrzebny kompromis); człowiekiem, prawda, tolerowanym, lecz bez wielkiego zachwytu. Nadto człowiekiem, o którym wiedziano, że jest bardzo samodzielny i z własną inicjatywą, co również nie było pożądanem.

Łagodziło się nieco to pewne naprężenie wpływem osobistym, gdyż powszechnie w mieście darzono mnie sympatją oraz tem, że Kronsztadowi pozwolono było obrać swego komisarza.

Rzecz zrozumiała, że się nie czułem przedstawicielem sowietu. Nie miałem też zamiaru, ani możności zresztą, wtrącać się do jego działalności, która mi stawała się znaną tylko post-factum, a w chwili decyzji dla mnie, jak i dla innych, była niedostępna. Byłem przedstawicielem rządu, nadto wyniesionym przezeń na stanowisko wyższe, niż to, na jakie mnie obrano w Kronsztadzie.

Jednak w rządzie miałem oparcie tylko moralne. I tu na miejscu byłem na łasce siły fizycznej, która mnie podległą nie była, a którą dysponował sowiet.

Streszczam: stanowisko było trudne, o ilebym chciał coś robić, i bardzo łatwe, o ilebym nic nie chciał robić! Miałem pewną swobodę inicjatywy i czynu w sprawach administracyjno-gospodarczo-organizacyjnych. Tu jednak inicjatywa moja, o czem mówię dalej,

sowieciowi się nie podobała i stała się niebawem jedną z przyczyn usunięcia mnie przez sowieci.

Co do aljantów, to korespondenci gazet francuskich, angielskich, włoskich etc. bardzo się interesowali podczas mojej pierwszej wizyty, czy Kronsztadt nie zdradzi Ententy. Powiedziałem, że o ileby to odemnie zależało, to będę się starał utrzymać i wzmocnić więzy aljanckie. Okazało się, że aczkolwiek Kronsztadt nikogo nie zdradził, to jednak mogłem ręczyć wogóle jedynie za siebie, gdyż w praktyce, jak się okazało, żadnych wpływów na nikogo wywierać nie mogłem. Żadnego wpływu ani na sowieci, ani na wypadki nie miałem.

Podczas drugiej audjencji u premiera korespondenci gazet stołecznych wyciągnęli ode mnie wywiad. Boć Kronsztadt — »miasto areztantów« i bandytów, jak mówili, — to sensacja nielada! A tu — żywy człowiek stamtąd... nowy rządcą. Interesowali się wszystkim, co dotyczy życia w Kronsztadzie.

Nazajutrz wywiad ten podały wszystkie większe gazety Petersburga, Moskwy i prowincji. Wywiad sprawił dobre wrażenie. Niestety, publiczność odrobinę się łudziła, przesadzając moje możliwości.

W samym Kronsztadzie przyjęcie było jeszcze lepsze. A więc gazety bez żadnego musu podały bardzo przychylne artykuły. Prawda, ktoś jeden, zazdroszczący, późniejszy bolszewik, podał notatkę, że gdyby poszukać, to możeby się znalazły i dostojniejsze osoby... jednak zrobił to pod nieobecność redaktora, który go za to wyrzucił, a artykuł odwołał, przepraszając mnie. Objąsnilem mu, że niepotrzebnie to zrobił, że jestem zwolennikiem wolności prasy, i że tym artykułem nie czuję się bynajmniej dotknięty.

Winszowała mi inteligencja z różnych ugrupowań. Dawna moja zwierzchność, dyrektor gimnazjum, pośpieszyła mi złożyć wizytę gratulacyjną. Nawet przedstawiciele wojskowości, carscy oficerowie, którzy już obecnie żadnego głosu nie mieli, godzili się na mnie, jako na rewolucyjnego gubernatora, mówiąc, że są radzi z mego obioru, gdyż inteligent — to swój człowiek.

Od kolegów dawnych doznałem nawet niespodzianki. Oto dwu z nich przysłało mi donosy na dwu innych wspólnych naszych kolegów. Mam więc teraz i... trochę wstrętu do tych ludzi. Dawny dyrektor, który mnie do tego gimnazjum przyjął, mieszkający obecnie w Petrogradzie i emerytowany, prosi mnie w liście w formie

tak nieprzyjemnie pokornej... o zaopiekowanie się jego sprawami na miejscu. Albowiem poznał mnie, że jestem sprawiedliwy i wspa-
niałomyślny, jako... Polak!

No!... nie przypuszczałem!

Tego rodzaju objawy zlekceważyłem. I krótko w myślach swoich
posłałem wszystkich w kupie do cholery.

Materjalnie sytuacja moja była nader pomyślna. Miałem trzy po-
sady, trzy gaże i, gdybym chciał, mógłbym absolutnie nic nie robić
na tych wszystkich trzech razem wziętych posadach. Bo dla szkoły
były w tym czasie ferje letnie; na punkcie ewakuacyjnym kance-
larja była zorganizowana i całodzienna moja praca wymagała po-
łożenia 10-15 podpisów, no i trochę pogadanki z moimi ludźmi.
W kancelarji gubernatorskiej było mniej więcej to samo. Tylko że
bezczynności nie lubilem, i gdy nawet roboty nie było, to ją sam
sobie wymyślałem, co też, jak mówiłem, stało się jedną z przyczyn
konfliktu z sowietem.

Na początku swego urzędowania zorganizowałem nową kance-
larję, w której miałem i biuro prasowe.

Moje pierwsze kroki. Wizytacja więzień.

Jedną z pierwszych moich czynności na nowem stanowisku było
odwiedzenie więzień. Kazałem komendantowi miasta, temu co i daw-
niej — Ogarewowi, aby mi towarzyszył. Był to typ skończonego
drania. W r. 1905 »zarobił« 40 tysięcy rubli na wymianie jeńców
w Japonji. Później kupował rzeczy kradzione, a przeważnie obrazy
erotyczne z muzeów państwowych etc.

Ponieważ marynarze z jego urzędu byli stale w kontakcie z masą
żołnierską i marynarską, więc na parę godzin przed wybuchem re-
wolucji uprzedzili go. Ogolił się natychmiast (przedtem nosił brodę
i wasy) przebrał się za szeregowca marynarza i jako prosty mary-
narz w grupie swoich prawdziwych, z biura, wyszedł na miasto,
a później schronił się w kasynie morskiej, które się stało główną
kwaterą rewolucji. I tu, wysiadując, wyczekiwał spadku fali re-
wolucyjnej, poczem miał się upomnieć o swe dawne stanowisko.
I udało mu się, gdyż był w stylu tych szumowin karnego bataljonu
marynarzy, którzy odegrali w Kronsztadzie ważną rolę. Zresztą,
jako złodziej i łapownik bardzo się ludziom nie narażał.

Otóż wyciągnęłam go na przegląd więźni. Ociągał się. Czy się obawiał o swą skórę? Może myślał, że go każę wpakować do lochu?...

Straszne wrażenie sprawiły na mnie więzienia. Więźniów natłoczono 4-5 razy więcej niż było miejsca. Brutalne, okrutne traktowanie ich przez marynarzy z warty, nawet w mojej obecności, nie-dopuszczanie do składania mi skarg przez więzionych. Ciężkie wrażenie.

Tchnienie niedoli i niewoli. Czułam się sam podczas przeglądu nieomal więźniem, nie rewidentem. I ledwo mi starczyło siły i stanowczości doprowadzić przegląd do końca.

Zwiedziłam i to więzienie śledcze morskie, gdzie sam siedziałem, jako więzień, trzy dni.

Oglądam celę, w której siedzi dowódca »mojego« pułku... pułku, gdzie miałem tyle przykrości. Widzę, siedzi to chamisko, bo był poprostu i krótko mówiąc chamem, to jego najistotniejsza cecha, siedzi w najgorszej, najmniejszej celi... bez oznak swej szarzy, zaniedbany. I, oczywiście, bez dawnej swej arogancji. Spokorniał. Przechodząc, zatrzymałam się. Żołnierz z warty krzyknął mu, by wstał. Ten się podniósł i coś chciał powiedzieć, jednak nie miałem zamiaru zniżać się do rozmowy z nim, i poszedłem dalej. Wchodzę do tej większej sali, w której spędziłam trzy dni.

Oto sporo starych znajomych, t. j. tych, co i przy mnie tu jeszcze siedzieli. Z niektórymi się witam. »Moje« łóżko uważane jest za szczęśliwe, i dowiaduję się, że o nie była walka, i dostawało się ono kolejno już kilku. Obecnie »mieszka« na niem pułkownik Jurkszusow, były rządca szpitala morskiego, instytucji olbrzymiej gospodarzo. Ten Jurkszusow na swem stanowisku czasu nie marnował i doił ile się dało. Na to stanowisko już nie wrócił.

W tej sali czuć było, że ludzie siedzą już od dawna, bo się porządzali solidniej.

Tutaj wysłuchałam od kilku rozmaitych próśb, obiecując przekazać ich sprawy nowej komisji. Bardzo zadowoleni byli wszyscy z mej wizyty. Cieszyli się, że to właśnie ja wizytuję, rokując sobie z tej racji pomyślne skutki. Błogosławiony i serdecznie żegnany opuściłam to więzienie.

Wychodzę,... a tego Ogarewa już niema. Złakł się szelma!

Sąd nad oficerami (czerwiec).

Rewolucja bezplanowa, od dołu, w Kronsztadzie nie potrzebowała dużo czasu dla dokonania zemsty prywatnej. Tylko przez dwa pierwsze dni, t. j. 1-go i 2-go marca mordowano ludzi. Wymordowali kogo chcieli i nastął spokój. I wtedy, kiedy gdzieindziej szalał terror, w Kronsztadzie już było spokojnie. Aż do lata 1919 r. — do nowych zajęć w samym Kronsztadzie.

Kto kogo mordował? Przeważnie żołnierze mordowali swoich najsrozszych oficerów, no, i na rozkaz niemiecki wymordowano kontr-wywiad, sztabowców i trochę żandarmów, wogóle ludzi posiadających tajemnice wojenne.

Ludność cywilna ani mordowała, ani była mordowana w tym okresie. Nienawiść klasowa ani była tu ostra, ani wyrazu zewnętrznego nie znalazła. Tu nawet i po przewrocie bolszewickim ani mordów, ani terroru do miejscowej ludności nie stosowano.

Otóż, prócz mordowania w pierwszych dwu dniach rewolucji, bardzo dużo oficerów aresztowano. I ponieważ żołnierzom, którzy aresztów dokonywali, nie zależało zupełnie na wypuszczaniu oficerów, lub też pod wpływem uczucia zemsty zależało na trzymaniu w więzieniu, — to ci oficerowie, a było ich paręset, siedzieli w więzieniu już czwarty miesiąc. Armja zaś potrzebowała oficerów. Zwróciły na to uwagę misje wojenne aljantów i rząd.

Wobec tego, że dotychczas wypuszczali oficerów z więzienia wyłącznie żołnierze, rząd zdecydował się wreszcie zająć się sprawą tych oficerów i wysłał do Kronsztadu komisję dla zbadania spraw oficerów i o ile się sprawy jakie znajdują, to oskarżonych odstawić do Petersburga, gdzie należy sądzić z udziałem przedstawicieli żołnierzy, dawnych podwładnych tych oficerów, jeżeli się żadnych spraw nie okaże, to komisja miała oficerów zwalniać.

Komisja składała się z pp. Stankiewicza, Żdanowa (przewodniczący), Truppa i Zawarina. Do niej dodano prokuratora kronsztadzkiego — Olszanskiego.

I zaczęła ta komisja urzędować. Właściwie był to już sąd. Jedyne w swoim rodzaju! Sala aż do omdlenia zapchana przez żołnierzy. Uzbrojeni żołnierze wloką swe ofiary z więzień tu na sąd... i nie odstępują ich ani na krok. Sąd rozpatruje sprawę. Niema tu oczywiście mowy o spokojnem wykładaniu istoty sprawy. Niema tu często wogóle mowy... tylko wściekle spojrzenia, ryk, bicie kolbą w podłogę lub w kark oskarżonego.

Po wysłuchaniu sprawy sąd nie wychodzi na naradę, nie! Siedzi tu wciąż na sali... i naradza się i wyrok feruje publicznie i głośno!

Aby nie było »falszu« w sądzie. Aby demokracja wszystko słyszała, aby przed nią nie było tajemnic. Aby, broń Boże, wyrok nie był łagodny. Niejednokrotnie bowiem, kiedy sąd uwalniał oficera, to go żołnierze porywali i bijąc wlekli zpowrotem do lochu, nie licząc się zupełnie z sądem.

Odbywały się na sali sceny krew mrozące.

Aż wreszcie członkowie sądu, a nawet i sowietu, wpadli na pomysł parę razy przerwać na chwilę obrady i zaprosić mnie, abym był obecny w sądzie. Moje zjawienie się, jako przedstawiciela rządu i przez nich obranego, łagodziło atmosferę i, kto wie, może komuś i życie ocaliło.

Siedziałem z tyłu, za sędziami, na podniesieniu i obserwowałem.

Widząc jednak, że żołnierze prawie nikogo nie dają uwalniać, sąd zaczął wysyłać oficerów do Petersburga, rzekomo do wyższej instancji. W istocie zaś tam ich zwalniano.

Jakże tragicznie wyglądał sąd Kronsztadzki!

Iluż to oficerów i już niemłodych, widziałem płaczących w sądzie... z bólu fizycznego, od połamanych kości.

Wreszcie może się ktoś interesuje, jak się przedstawiały te »sprawy« oficerskie. Jakie to były sprawy? Oto: posłał żołnierza we własnej sprawie na miasto, kiedy ten chciał iść do swej lubej. Innego ukarał raz i drugi, może nie bardzo słusznie, a nie miał na tyle moralnej powagi, by mu żołnierz w duszy przebaczył. O ile był przy jakichś dostawach, to może brał łapówki... i przez żołnierza, a jemu nic nie dał. Na urlop w czas nie puścił... i t. d. W tym guście wszystko. Nie nadzwyczajnego, ani ciekawego.

Powitanie w radzie miejskiej.

Od dłuższego czasu byłem zapraszany do rady miejskiej przez jej prezydum i różnych jej członków.

Była ona po rewolucji na mocy dekretu nowego rządu nieco odświeżona. Więc prócz części dawnych członków, właścicieli nieruchomości, weszło sporo inteligencji: adwokaci, nauczyciele, medycy, biuraliści etc. Oblicze jej odpowiadało stylowi całej rewolucji burżuazyjnej — kiereńszczyźnie.

Chciałem wreszcie odwiedzić radę. Odwiedzin jednak nie zapowiadałem. Wybrałem któreś posiedzenie rady i zjawiłem się.

W chwili ukazania się mego we drzwiach, prezes rady przemawiał w jakiejś sprawie. Na chwilę urwał. W sali zapanowała zupełna cisza. Przeszedłem przez całą salę, dzwoniąc ostrogami, wszedłem na podjum i zająłem miejsce, które mi uprzejmie ustąpił prezydent miasta, Zapisnoj. Skończywszy parę zdań, prezes rady, rejent Pawłow, przerwał posiedzenie i, witając mnie w imieniu rady, wezwał ją całą do owacji na moją cześć, jako przedstawiciela rządu tymczasowego, rządu demokracji. Cała sala powstała, kiedy zaczął mówić, a teraz rozległy się huczne oklaski.

Dziękując, powiedziałem parę krótkich ale jędrnych zdań. Że oto »woleju rewolucjonnowo naroda...« obalony został caryzm, jest teraz swoboda i do przeszłości powrót jest niemożliwy i t. d. — grzecznościowe przemówienie w stylu chwili bieżącej.

Widziałem, że osoba moja budzi różne uczucia: a więc dla pracy, dla dawnych rajców - burżujów byłem wcieleniem tryumfującej rewolucji, przypieczętowaniem tego, że to co było, już było, lecz nie jest.

Godził ich trochę ze mną ten mój stan inteligencki, moja popularność w mieście, wreszcie ten mój mundur oficerski, oficera carskiej armji... może nawet brzęk moich ostróg mile ich słuch pieścił... Widzieli, prawda, we mnie przedstawiciela rewolucji, lecz rewolucji już opanowanej, zrównoważonej i inteligentnej. Na tem samem stanowisku mógłby się przecie znaleźć człowiek całkiem inny.

Przecież w tym tygodniu, który poprzedzał mój obiór, ta sama rada popierała właśnie mnie, nie kogo innego... prawda, nie tyle oni, co inne odłamy rady.

Centrum widziało we mnie swego. Widziało właśnie zrównoważonego obrońcę demokracji. Lewica, której zresztą było jeszcze bardzo niewielu przedstawicieli, patrzyła na mnie wyczekująco i obojętnie.

Plany organizacyjne.

W końcu pierwszego miesiąca mego urzędowania, nudząc się trochę od bezczynności, obmyśliłem plan nowej pracy, nowej organizacji.

W Kronsztadzie nie było prasy, która byłaby głosem rządu. A taka prasa była potrzebna ze względu na izolowany charakter

miasta. Potrzebna była dla akcentowania na miejscu stanowiska rządu, oraz dla wyjaśniania w stolicy wypadków Kronsztadzkich.

Prasa stołeczna zajmowała się życiem Kronsztadu rzadko, wyłącznie w okresach jakichś awantur na większą skalę i nie była dobrze informowana. Chciałem więc założyć pismo urzędowe.

Powtóre, przyszło mi do głowy przenieść na grunt Kronsztadzki bardzo dobrą instytucję społeczną, którą poznałem w Finlandji: mianowicie domy pracy, czyli domy poprawcze. Dajmy na to, jakiś pijak lub niepoń puszcza swój zarobek na stronie, a rodzina jego przymiera głodem. Otóż żona skarży go w urzędzie i męża pakują na pewien czas do domu pracy. On tam pracuje, lecz zarobek jego oddają żonie, nie jemu. Oto tak, mniej więcej. Instytucja pożyteczna, zwłaszcza dla społeczności rosyjskiej, (choć dziś mi się już nie wydaje dostatecznie poważną).

Miałem i jeszcze parę projektów.

Jednak sowiet nie dał mi zrealizować żadnego. Te projekty były jakby uderzeniem kija w mrowisko.

Jedyny rezultat, że nawymyślali mi w sowiecie, że chcę dla robotników stworzyć katorgę w czasie swobody i że chcę robić propagandę rządowi, który wcale tu popularny nie jest. Te moje projekty stały się później jedną z przyczyn mojej dymisji.

W tym pierwszym miesiącu, zdaje mi się w drugiej połowie, Komitet Skobielewski przysłał operatorów filmowych dla sfilmowania rewolucyjnie-historycznych miejscowości Kronsztadu oraz działaczy miejscowych.

Otóż w bezdennej naiwności prowadzę operatorów do najbardziej historycznego miejsca — »owraga«, gdzie w pierwszym dniu rewolucji mordowano. Jednak moja asysta, aniołowie-stróże, t. j. członkowie sowietu, zapobiegli filmowaniu i udaremniłi mój zamiar przysłużenia się historii.

Pierwsza próba przewrotu bolszewickiego

3 - 5 lipca 1917 r.

Pomimo rewolucji żył jednak Kronsztadt życiem odosobnionem, życiem samotnej wyspy. Łączności z Petersburgiem ogół ludności nie odczuwał, chociaż gazety stołeczne były codziennie. Wciąż się czuło izolowany charakter wyspy: nie wyjedzie się za miasto, kiedy

się zechce, zwłaszcza w nocy; a można to zrobić wtedy tylko, kiedy są statki, które kursują 4-6 razy dziennie.

Tylko sowiet i sztab fortecy miały w rękę rzeczywiste środki łączności: telefon bezpośredni i telegraf (»přiamoj przewod«), z czego korzystały. Były więc mocniej związane ze stolicą. Były więc bardziej w kursie dojrzewających lub zachodzących już wypadków, bo reszta ludności — zwykli śmiertelnicy — dowiadawali się o wszystkim dopiero z gazet i zazwyczaj — już post factum. Moje położenie pod tym względem niczem się nie różniło od położenia »zwykłych śmiertelników«. Otrzymywałem wprawdzie telegramy od rządu, które starym zwyczajem rozsyłano gubernatorom; tylko, niestety, otrzymywałem w takim już terminie, kiedy ich treść o parę godzin wcześniej stawała mi się znaną z gazet stołecznych, które wyprzedzały telegramy w swym biegu z Petersburga.

Prawda, jako komisarz obrany przez sowiet, miałem prawo być obecnym i w sowiecie i nawet w komitecie wykonawczym, jednak na ważniejsze posiedzenia, a tembardziej tajne, mnie nie zapraszano.

Tem się objaśnia, że tak jak i wszyscy, o zbliżających się wypadkach nic nie wiedziałem. Bo zresztą była to tajemnica nawet nie sowietu, tylko bolszewików. Więc i większa część sowietu również nic nie wiedziała.

Prawda, jeszcze w chwili mego obioru było w sowiecie bolszewików ledwo $\frac{1}{4}$ część ogólnej ilości członków i nie grali oni tam wielkiej roli, jednak w ciągu tego miesiąca układ sił się zmienił. W samym mieście wzmogła się agitacja bolszewicka, przyjeżdżają wciąż nowi emisariusze, — więc frakcja bolszewików w sowiecie czuje mocniejszy grunt pod nogami, opierając się na masach i operując mityngami.

Pojawiają się w sowiecie jacyś anarchiści, nowa grupa. Pamiętam ich dwu przywódców (obaj żydzi), jeden używał nazwiska Jarczuk, drugi — Sołncew, prawdziwe ich nazwiska nie są mi znane. Ten ostatni, Sołncew, był już obłąkany, miał syfilis mózgu. Mowy jego były straszliwie ohydne, choć bez żadnego sensu. Jarczuk — jakiś kryminalny typ, chodził z prostytutką jako z damą. Pozwalano im jednak występować. Można sobie wyobrazić jakie wrażenie sprawiały ich mowy na słuchaczy! na prymitywne umysły. Mord, krew, gardło, nóż, kiszki..., oto treść tych »mów«.

Wszystko podniecało tłumy. Ku chwili wypadków 3-5 lipca i w sowiecie i w mieście wpływy czynników skrajnych i nieodpowiedzialnych znacznie się wzmogły.

Pojawiają się w mieście i gwałty indywidualne, których przedtem nie było, rewizje samowolne, napady. Pojawiły się jakieś nowe zbójcekie bezczelne twarze, które nie tylko o zmierzchu, lecz i w dzień białe nie sprawiały przyjemnego wrażenia. Zdarzają się wypadki roznamiętnienia poszczególnych oddziałów wojska, roznamiętnienia tak dalece posuniętego, że sowieci traci lub rzekomo traci wpływ na te oddziały... aż one dopuszczają się samosądów. Były wypadki zatrzymania jakichś osobników przez żołnierzy i... zamordowanie ich, — przyczem wysłańca sowieciu tłum już nie słucha. Grunt już był przygotowany, podminowany.

Otóż, 3 lipca zrana jakieś wieści niepokojące dotarły do nas z Petersburga. Nic pewnego jednak nikt prócz sowieciu nie wie. A sowieci zbiera się wieczorem na nadzwyczajne posiedzenie. Mogę pójść. Mogę i nie pójść.

Od rana znać jakiś ruch, jakąś agitację. W dzień jacyś przyjezdni zbierają mityng na »Jakornej płoszczadi«, — nawołując do obalenia rządu i do opanowania władzy. Dużo jakichś nowych nieznanomych twarzy (a tam przecie wszyscy wszystkich znali), jakieś nic dobrego nie obiecujące spojrzenia, inne jakieś zachowanie się marynarzy... słowem, szereg drobnych symptomatów, które składają się na nastrój, jak przed burzą, a który się odczuwa zupełnie wyraźnie, tak że się omylić nie można.

Dochodzą do mnie niewyraźne pogłoski o zamiarach aresztowań...

Moje położenie, jako komisarz rządu; jestem jego przedstawicielem, więc wrogiem ruchu, który się poczynia. Z drugiej strony, jako wysunięty przez sowieci, mogę nie być uważany za wroga. To znaczy, kalkuluję, co mnie może oczekiwać od zewnątrz, albowiem własnej inicjatywy tu mieć nie mogę. Nie mam, oczywiście, zamiaru wtrącać się w to, co się dzieje, lecz guza oberwać mogę, nawet i nie wtrącając się, ponieważ w razie powodzenia ruchu w stolicy, przewrót w Kronsztadzie byłby dokonany natychmiastowo i zaaresztowanie mnie, jako symbolu Rządu Tymczasowego, byłoby nieuniknione.

Jestem sam. Duże, sześciopokojowe puste mieszkanie. Niema nawet służącej, która jest przy mojej rodzinie na letnisku w odległości doby jazdy od Petersburga.

W mieszkaniu ponuro. Wolę być na mieście... cyrkulując, przynosząc się z miejsca na miejsce. Wreszcie ku wieczorowi decyduje, że jednak najbezpieczniej będzie w samym sowieciu. Przy ludziach

trudniej coś złego zrobić. A wreszcie mam tam trochę znajomych z inteligencji, to zawsze raźniej.

Idę do sowietu na posiedzenie.

Dopiero tu się dowiaduję o wypadkach. A więc, że w Petersburgu bolszewicy zdecydowali obalić Rząd tymczasowy i ująć w swe ręce władzę. Że jednak próba ta nie dała odrazu piorunujących rezultatów, proszą więc o pomoc Sowiet Kronsztadzki.

Zaczęły się debaty, które trwały przez cały wieczór i całą noc, ledwo się przed świtem skończyły. A to dlatego, że jednak był i opór, i to dość znaczny. Bolszewicy wymogli wreszcie od sowietu uchwałę wysłania pomocy do Petersburga. Pomoc ta miała wszystkimi statkami podążyć wczesnym rankiem z Kronsztadu do Petersburga.

Długie te debaty mnie zmęczyły. Wałęsałem się całą noc po nieskończonych kularach tego kasyna, aby nie zasnąć. A spać się chciało. Sala posiedzeń, mieszcząca jakieś 500 osób rozgorączkowanych, przepeconych, palących, plujących na podłogę... odpycha. Powietrze niemożliwe. Do domu jednak nie idę. Tu raźniej. Choć i tu widzę, że kręcą się koło mnie jakieś nowe nieznanne mi aroganckie indywidua.

Wytrzymuję... chodzę, piję w bufecie herbatę i czarną kawę, byle nie zasnąć.

Nad ranem idę do łazienki (bo to przecież dawny klub oficerów marynarki), myję się.

Na razie sen odpędziłem, ale zmęczenie czuję. Dochodzi godzina 7 czy 8-ma rano.

No, myślę sobie, teraz to już mogę chyba iść, bo dzień biały.

Wychodzę... i akurat w tej chwili zajeżdża pod ganek kasyna samochód z grupą 5-6 marynarzy, z karabinami, rewolwerami. Jeden z nich, którego spotykałem w sowiecie, z pewnem zdumieniem, jakby zaskoczony tem spotkaniem, pyta: »A, towarzyszc Parczewskij, wy jeszcze nie arestowany?«

Mówię, że zdaje się, że nie — i prędko odchodzę.

Oni zaś idą do sowietu.

No, myślę sobie, tym razem udało się!

Cały dzień spędziłem poza domem.

Wieczorem nadchodzą nowiny. Ale jakie! Układam je w porządku chronologicznym.

Te posiłki, które Sowieci krónsztadzki wysłał zrana do Petersburga (a było tego kilka tysięcy artylerzystów i marynarzy, zdaje się coś koło 5 tysięcy, czy nawet więcej), wylądowały w różnych miejscach i nie stanowiły jednego zwartego oddziału.

Otóż, wobec tego, że i ruch w Petrogradzie był bezplanowy i tych wojsk kronsztadzkich również, bo się nie mogli wszyscy połączyć z powstańcami, to całe to powstanie zostało stłumione.

Nie przyszło to zresztą łatwo rządowi, gdyż ledwo zebrał 16,000 kozaków i junkrów (kursantów, czyli podchorążych) dla swej obrony. Kiereńskiego nie było (był na froncie), inni ministrowie poróżniali się... był rozgardjasz.

Jednak zwyciężył rząd.

Przy tej okazji kronsztadzkie posiłki, tę część, która szukała walki, pobito i to dość dotkliwie.

Wracają więc na swe statki i do Kronsztadu.

Powrót ich był żałosny, jak to zwykle wojska pobitego. A więc ten i ów bez czapki, a bez karabinu, a w podartem ubraniu, a okrwawiony... a byli i ranni poważniej. Wracali już o zmierzchu. W miarę ich powrotu, w mieście następuje odprężenie. Momentalnie wpływy odzyskuje partja »es-er«. Następuje cisza, inna jednak, niż wczoraj. Cisza — przed mającą spaść zemstą, czy karą. Wyczuwam nieśmiało oglądanie się na moją osobę, spojrzenie już inne niż wczoraj... w oczach już prośba i lęk. Obce nieprzyjemne twarze już znikły.

Wrócił jeszcze jeden oddział, na czele którego stał praporszczyk artylerji Ediet. Ten jegomość sprytnie się urządził. Wylądował ze swym oddziałem bardzo daleko od terenu walki i... maszerował z nim w okolicach jeszcze odleglejszych, nigdzie oczywiście wrogów nie spotykając. Aż się żołnierze pomęczyli i zechcieli wreszcie wracać. O nim mój gospodarz, kapitan Budkiewicz (zabity w r. 1919) powiedział: »pistolet-mużczyzna«. Był to istotnie typ, jaki zaczęła w znacznej ilości produkować rewolucja.

Więc tymczasem »zdobywcy« wrócili.

Na czele posiłków kronsztadzkich stali wyłącznie bolszewicy, byli to: praporszczyk Remniow, typ z pod ciemnej gwiazdy, Roszał, żydek lat 20, wypędek z gimnazjum, wolny słuchacz instytutu psychoneurologicznego (ironiczna nazwa: »historyczno-humorystyczny«, gdyż zakład ten nie cieszył się opinią wiedzy poważnej), zabity później na froncie rumuńskim — według Milukowa i Denikina —

płatny szpieg niemiecki; Raskolnikow (miczman Iljin), człowiek kulturalny i jak mogłem wnosić z krótkiej znajomości — ideowy. Niestety, zdaje się, chory umysłowo, podobno już się leczył w odpowiednim zakładzie. Również ideowy i inteligentny doktor medycyny Dieszewoj. Innych, mniejszych, nie pamiętam.

Jakkolwiek drżeli teraz ci bolszewicy o swą skórę, jakkolwiek widoczne było, że się z pewną trwogą na mnie oglądali, oczekując możliwych represyj, nic złego jednak wyrządzić im nie mogłem, dla tej prostej przyczyny, że z własnej inicjatywy wogóle nic robić nie mogłem, a gdybym otrzymał rozkaz zgóry, to musiałby on być poparty realną siłą, któraby moich rozkazów słuchała, gdyż w samym Kronsztadzie takowej nie miałem.

Wiedząc o tem doskonale, rząd mi takiego rozkazu nie wydał. Natomiast zarządził środki skuteczniejsze od zewnątrz. Widząc, że w samej stolicy dla zwalczenia ruchawki 3-5 lipca musiał wyteńczyć wszystkie siły, aby skleić jakieś 16,000 kursantów łącznie z kozakami, że na zdemoralizowany garnizon¹⁾ (petrogradzki) liczyć nie można, ściągnął z frontu znaczniejsze posiłki pod dowództwem sztabs-kapitanów Mazurenko i Artamonowa (syna dawnego komendanta Kronsztadu). Byli to dwaj młodzieńcy po lat 25 - 26. Typowi karjerowicze rewolucyjni. Część tych posiłków pod dowództwem Artamonowa była przeznaczona na doprowadzenie Kronsztadu do posłuszeństwa i porządku. Zanim jednak wojska te nadeszły, upłynął tydzień, w ciągu którego została zarządzona blokada wojenna Kronsztadu, pod której naciskiem rząd miał zmusić Kronsztadt do wykonania jego żądań.

A więc zatrzymano dowóz żywności, przerwano komunikację z lądem i dopływ pieniędzy. Miasto odczuło prawdziwy stan oblężenia.

Przy tym nacisku rząd przedewszystkiem zażądał wydania wyżej wymienionych przywódców bolszewickich: Remniowa, Roszala, Raskolnikowa etc.

Sowiet to żądanie wykonał.

Skutki blokady zaczęto jednak odczuwać dotkliwie. Więc magistrat i sowiet zwrócili się do mnie i do komendanta fortecy, prosząc byśmy pojechali do Petersburga i uprosili rząd przerwać blokadę.

¹⁾ Ten blisko 100,000 garnizon był największą plagą rządu, Bo pierwszą uchwałą sowietu, z niego wyłonionego, było, że nie wolno go ruszyć z Petrogradu. Nie wolno nigdzie wysłać. Jest on »obrońcą rewolucji«. Był więc świetnym terenem dla destrukcyjnej agitacji bolszewików.

Pojechaliśmy.

Przybyliśmy do sztabu naczelnika okręgu wojsk, obok pałacu Zimowego (dawny sztab korpusu gwardji). Obaj mówiliśmy z głównodowodzącym okręgu gen. Połowcewym, eleganckim młodym generałem świty, o ile pamiętam, oraz z jego szefem sztabu, pułkownikiem Bagratuni.

W oczekiwaniu na rozmowę miałem ciekawe spotkanie, mianowicie z byłym moim naczelnikiem ze Sweaborgu, komendantem, generałem dywizji Paszczenką. Był w owej chwili bez przydziału, ledwo udało mu się cało wyjść ze Sweaborgu. Gdzie dawna pompa, dawny majestat! Ze mną, swym byłym adjutantem... na równej stopie, a nawet uprzedzający, bo mówi z przedstawicielem demokracji i nowej władzy.

Tak to zmienny jest los.

Idę na rozmowę z Połowcewym. W rezultacie naszych rozmów komendant Kronsztadu gen. Gerasimow złożył dymisję, zgodziwszy się pełnić urząd tylko do czasu zamianowania nowego komendanta.

Zawakowała więc w Kronsztadzie niezła posada — komendanta fortecy. (Forteca I-ej klasy, więc komendantem może być generał broni).

W parę dni potem mianowano komendantem komandora Tyrkowa.

Blokadę obiecano zdjąć w krótkim czasie, rachując z pewnością na skuteczność wyprawy Artamonowa.

Tu mała przerwa. Wyjechałem na parę dni do rodziny. Wracam i dowiaduję się, że w Kronsztadzie jest już nowy komisarz, ale przy wojsku, znany (nie mnie jednak) działacz es-erowski, były sekretarz Burcewa — Jewgienij Jewgienjewicz Kołosow, który dopiero co wrócił z emigracji. Człowiek rozumny i inteligentny, ma głowę na karku, szybko się orientuje. Od niego dowiaduję się i o nowym komendancie Tyrkowie. Dowiaduję się zresztą takich rzeczy, które zmuszają nas naradzić się wspólnie co do osoby Tyrkowa. Jest to jakiś niewiadomo skąd wykopany stary grat. Zamłodu za jakąś nie-subordynację był wydalony z marynarki, przebywał na emigracji, a stąd prawo do awansów rewolucyjnych. Niestety, był wytracony z równowagi umysłowej, tak że tolerować go na tak odpowiedzialnym stanowisku nie było można. Urzędował tylko 4 dni. Usunęliśmy go wspólnie z Kołosowem.

Oto początek jego działalności: po 3-5 lipca rozeszły się pogłoski, że moralni sprawcy ruchu: Lenin i Trocki ukryli się w Kron-

sztadzie na pancerniku »Swoboda«. Otóż wpada ten Tyrkow pierwszej nocy osobiście z adjutantem na ten pancernik, zarządza alarm i szuka w szeregach marynarzy ukrywającego się, rzekomo, Lenina. Nie znalazł. Tedy wywołuje, by się zgłosiło dwu marynarzy, celnych strzelców, trafiających do punktu (»popadajuszczych w toczku«), aby z nim poszli szukać dalej.

Egzaltacja i podniecenie w najzwyczajszej rozmowie, stopień najwyższy przy każdym określeniu, wybuchy ni stąd ni z owąd... wyraźny początek obłąkania.

Postać tę przypominał również późniejszy głównodowodzący okręgu petersburskiego były rewolucjonista, porucznik Kuźmin, który przeciwnie tylko wciąż milczał i na stanowisku, wymagającym ruchu i czynu, wyglądał na czyjś cień lub na jakiś sprzęt zapomniany przez ludzi¹⁾.

Obecność nowego komisarza (Kolosowa) stała się powodem sprzecznych informacji gazetowych, a stąd — zupełnej mgły w opinii stolicy o sytuacji w Kronsztadzie, gdyż w Kronsztadzie okazało się naraz aż trzech komisarzy. Bo naczelnik policji nazywał się teraz komisarzem, a jego urząd — komisarjatem. Komisarz Kolosow nazywał się komisarzem wojsk, i ja — komisarz Rządu Tymczasowego. I nas wszystkich płątano. Często niewiadomo było, o kim właściwie mowa. To jest właśnie okres najbalałutniejszych wersji o Kronsztadzie. Musiałem wreszcie dać rzeczowe i oficjalne informacje i sprostowanie w gazecie »Riecz« (Nr. 170; gazeta burżuazyjna k-d.). Informowanie to stało się początkiem mojego końca na stanowisku komisarza.

14-go zrana zawitały do Kronsztadu dwa statki z oddziałem Artamonowa, z kulomiotami i amunicją.

Artamonow miał rozkaz rządu zgnieść sowiekt kronsztadzki i zlikwidować bolszewizm w wojskach. Jego oddział miał działać zgodnie z fortami »Krasnaja Gorka« i »Inoc«, które mu były poddane od tej chwili. Miał wymóc na sowiecie zupełną uległość, wprowadzając ze statków swe wojska do miasta i zarządzając jednocześnie demonstracje z fortów.

Cele rządu przytem nie były wyraźne. Czy chodziło mu o rozpedzenie i aresztowanie sowietu kronsztadzkiego, czy też tylko

¹⁾ W r. 1905 był »prezydentem« efemerycznej »republiki Irkuckiej«

o zmanifestowanie siły i o pewną groźbę, czy też o działanie »w zależności od sytuacji«. — Bowiem z rozmów z Artamonowym mogłem oczekiwać właśnie pierwszej możliwości, samo zaś zachowanie się Artamonowa nadzwyczaj było podobne do przywiezienia bańki mydlanej, zamiast »karatielnawo otriada«.

Mam wrażenie, że Artamonow rozkazu nie wykonał. Wyglądało nawet na to, że zdradził rząd czy to dla otwierającej się kariery, gdyż właśnie przy nim usuwamy Tyrkowa, czy też ulegając wpływowi sowietu.

Zaczął od tego, że się zjawił na posiedzenie sowietu (na którym nie byłem, bo właśnie ku wieczorowi dopiero wróciłem do Kronstadu) i tam wyczuł, że walki lepiej nie zaczynać. Dość, że wojska swe do wieczora przetrzymał na statkach, demonstracji fortów nie zarządził, a po naradzie z Kołosowym i ze mną co do osoby Tyrkowa... zdecydował na noc wrócić do Petrogradu.

Pojechaliśmy wszyscy razem jego statkiem, sytuacja bowiem wymagała wspólnej audjencji u Kiereńskiego.

Póki jednak Artamonow bawił w mieście, bolszewicy nie próżnowali i posłali na statki z desantem paczkę agitatorów, którzy wzięli się do »uświadamiania« żołnierzy Artamonowa i razem z nami na tych statkach pojechali do Petersburga dla dalszego oddziaływania na żołnierzy.

Śliczny, jak pamiętam, był wieczór. Zatoka senna, pogodnie i ciepło... księżyc... cisza.

I żołnierze, ci frontowi, jeszcze nie bandyci, śpiewają na zachętę, czy prośbę Artamonowa. Jakoś oddychamy nieco inną atmosferą, niż w Kronstadzie.

Ten Artamonow sympatyczny młody chłopak, pomimo młodego wieku żonaty, inteligentny, nawet... poeta, wierszyki pisze. No i spryciarz piewszej klasy. We snach, a trochę i na jawie marzy o laurach Napoleona.

Około północy zajechaliśmy do Petersburga.

Zanim na piechotę doszliśmy do gmachu Rady ministrów (»Ma-riiński dworec«, przed pomnikiem Mikołaja I) było już mocno po północy.

W Radzie ministrów jednak wielkie ożywienie, wielki ruch. Jeszcze trwają narady, Kiereński udziela się na wszystkie strony. Musimy mówić z samym Kiereńskim. Obiecuje, że przyjmie, lecz musimy czekać. Czekamy. Pół godziny, godzinę, półtorej...

Wreszcie już po drugiej w nocy adjutant wzywa nas.

Wchodzimy do gabinetu przyjęć. Miękkie, olbrzymie skórzane fotele, olbrzymi dywan.

Jesteśmy przed obliczem »samego« Kiereńskiego. Znam już dobrze tę postać.

Krótki suchy uścisk dłoni, gest zapraszający siadać, i sam buchnął w widocznym zmęczeniu do głębokiego fotelu. »Proszę, niech panowie mówią!« Przymknęły się małe, ropiące się oczki, w kącikach ust zebrana ślina, czy piana, twarz bez zarostu, brzydka, nieimpunująca, wygląd zmęczonego aktora, który grał Napoleona, a teraz się rozbiera, wkłada kapotę i przedzierzga w starą babę.

Sytuacja Kronsztadu, przedstawiana kolejno przez Kołosowa i Artamonowa, którzy poznać jej jeszcze nie mogli, dla mnie była przejrzystą zupełnie, i ja się orjentowałem dokładnie. Była to sytuacja taka, że gdyby mi dano dwa bataljony przedwojenne, tobym przywrócił spokój w ciągu jednego dnia. I spokój również przedwojenny.

Jednak takiej stanowczości poglądów ani Kołosow, ani Artamonow w swych relacjach przed Kiereńskim nie okazali.

Im chodziło na razie o usunięcie Tyrkowa. Na dalszą zaś metę chcieli utrzymać porządek środkami oddziaływania demokratycznego.

Środki te może były dyktowane również i smutnym przekonaniem, że w Rosji nie tylko dwóch, lecz i jednego zdrowego bataljonu znaleźć nie można.

Nie chciałem być »plus catholique, que le pape«, i swoich koncepcyj nie wysuwałem. Jedynie uzupełniałem swych kolegów tam, gdzie im brakło materiału. Zresztą, komu miałem mówić? Kiereńskiemu?, co do którego nie miałem pewności, czy mu zależało na radykalnem zlikwidowaniu Kronsztadu.

Wizyta nasza u Kiereńskiego trwała około godziny, czy półgodziny. Dała tylko jeden widoczny rezultat: Tyrkow został wycofany po paru dniach, a Artamonow mianowany na jego miejsce, jako człowiek »umiejący rozmawiać z demokracją«, której się nie naraził.

To stanowisko (a raczej zachowanie się) Kiereńskiego mnie mocno zdziwiło. Kronsztadt miał kolosalne znaczenie. Mając uległy sobie Kronsztadt, można było trzymać nim w uległości i Petrograd. Toż flota wojenna, wpływawszy do Newy, stawała się panią stolicy, co się zresztą i sprawdziło w październiku. (Prawda, że »Aurora« nie z Kronsztadu przyszła, a stała dawniej już na Newie. Kto miał

w ręku flotę, mógł sobie drwić ze wszystkiego, z sowietami włącznie.

Wyczułem u Kiereńskiego nie tyle niemoc, ile niechęć do stanowczych kroków. Kto wie, może już wtenczas Kiereński przewidywał, że marynarze kronsztadzcy będą mu potrzebni do walki z Kornilowem.

Wrażenie może podzielał i Kołosow.

Wyszliśmy. Zbliżał się już świt. Artamonow poszedł do krewnych, ja razem z Kołosowem — do niego, jakieś kilka kilometrów piechotą.

W parę dni potem Kiereński miał przysłać swego zastępcę do spraw marynarki, Lebidiewa, dla ostatecznego demokratycznego oddziaływania na Kronsztadt, aby utrzymać go w wierności dla rządu.

Przyjazd i uratowanie Lebidiewa

w. - ministra marynarki.

Faktyczny minister marynarki Lebidiew (nominalnym był Kiereński, który był premierem oraz ministrem spraw wojskowych i marynarki. W obu tych ministerstwach miał zastępców: w spraw wojsk. — Sawinkowa, w marynarce — Lebidiewa) przyjechał do Kronsztadu 16, czy 17 lipca, dobrze nie pamiętam.

Przysłał go rząd tymczasowy dla ostatecznego zbadania sprawy personalnej Tyrkowa, dla zbadania sytuacji kronsztadzkiej wogóle i dla oddziaływania osobistym autorytetem na masy, głównie — na marynarzy.

Aby uspokoił wreszcie rozruch i ferment.

Lebidiew była to ciekawa osobistość. Nieprzeciętna, jak na zwyczaj Rosyjskie. Oto, będąc emigrantem, wstępuje do armji francuskiej. Tam dosługuje się rangi porucznika i wraca do Rosji w uniformie porucznika armji francuskiej. Paraduje w tym uniformie, będąc już rosyjskim wice-ministrem marynarki. Należał do es-erów.

W oczekiwaniu jego przyjazdu najwyższe władze Kronsztadu, a więc: ja, komendant Tyrkow i komisarz Kołosow, oraz kapitan portu, jako gospodarz portu, — wyruszają na jego spotkanie. Wyjechaliśmy motorówkami trochę na morze, żeby spotkać jacht ministra i za nim w »kilwater« wejść znowu do portu.

W mojej motorówce był ze mną Kołosow, Tyrkow miał swoją, kapitan portu—również swoją. Miarę egzaltacji tego Tyrkowa można było i tu obserwować. Kiedy jacht ministra miał mijać motorówkę Tyrkowa, a odległość była taka, że pojedyncze osoby trudno jeszcze było rozpoznać, — Tyrkow wstaje w swej motorówce, wyciąga się, jak rekrut przed generałem, i salutuje!

Nie mogliśmy z Kołosowem ukryć wesołego nastroju z tej racji.

Jacht zawinął do portu. Wchodzimy... Przechodzimy na jacht ministra. Prezentujemy się Lebidiewowi. Po krótkiej ogólnej rozmowie następuje tajna narada Lebidiewa z Kołosowem i Tyrkowem. Sprawy tylko ich dotyczące; ściślej — dotyczące zwolnienia Tyrkowa ze stanowiska. Ja tymczasem gawędzę z komendantem jachtu, moim znajomym, komandorem Łarionowem, i z kapitanem portu.

Po skończonej naradzie mamy się udać do maneżu na mityng marynarzy. Maneż bliżutko, lecz udajemy się tam samochodami, które się nam niebawem bardzo przydadzą.

W maneżu zebrano około 10.000 marynarzy, trochę artylerzystów, jest i mała grupa cywilów.

W jednym końcu maneżu, nieco bliżej do środka, urządzono trybunę, w rodzaju szubienicy, i do niej utworzono drogę — szpaler w żywym morzu ludzkim, śród ciżby.

Na przedzie postępuje minister, za nim tuż nasza trójka: Tyrkow, ja i Kołosow. Chociaż Tyrkow zaraz gdzieś znikł, o ile pamiętam, — na trybunie z nami go nie było.

Przy wejściu raport dyżurnego oficera i idziemy do trybuny. Weszliśmy po schodkach.

Stańło nas tam trzy osoby. Widok bajeczny! Morze głów, morze ludzkie ściśnięte na małej przestrzeni pod naszymi stopami. My wznosimy się nad powierzchnią tego morza, jak rozbitkowie na fali... na tej trybunie, na wysokości nieco wyższej niż wzrost człowieka, — jakbyśmy stali na głowach tego tłumu.

Lebidiew zaczął mówić. Mówił o zamiarach i stanowisku rządu, o obowiązkach obywateli, w szczególności żołnierzy, i t. d. Mówił ze 20 minut.

Po nim krótko mówił Kołosow. Przeważnie o tem, że »wsia ziemia — trudawomu narodu!«

Nie wszystko podobało się tłumowi w mowie Lebidiewa. Proszą, aby mówił jeszcze i jeszcze wyjaśniał.

Mówi więc znowu. Skończył i chce iść. Szpaler jednak zamknięty

i drogi niema. Jest wzburzone morze ludzkie, pałające oczy, hałas. Tuż za trybuną naszą ktoś wlaźł wyżej, — jakiś agitator bolszewicki, — i zasypuje wprost Lebediewa złośliwymi, uszczypliwymi pytaniami. Lebediew znów mówi.

Widzę jednak, że mu coraz trudniej, że coraz mniej ma do powiedzenia. Spotniał, ociera czoło... jesteśmy w manżu już zgórą godzinę.

Kołosow ogląda się niespokojnie.

Za trybuną coraz beczelniejsze ujadanie, krzyki, pogrożki...

Spojrzałem na to morze ludzkie pod mojami stopami, i nagle przeszła mnie, jak błyskawica, myśl, że jeszcze chwila, a my stąd nie wyjdziemy. Stanie się coś straszego.

Jako samo przez się, nie namyślając się, zdobyłem się na wielki okrzyk. Tak wielki, że na chwilę pokrył zgiełk i hałas całego manżu, tych 10.000 ludzi. Krzyknąłem co siły w piersiach: »Towarzysze!« — i podniosłem do góry rękę.

Na krótką chwilę zamilkło... Nastąpiła raptem cisza. Musiałem z niej skorzystać, powiedzieć tylko kilka słów, ale tak żeby słyszeli każde i żeby te kilka słów odniosły skutek natychmiastowy. Rozumiałem to dobrze, choć robiłem w tej chwili wszystko jakoś automatycznie.

Więc cisza.

Widzą, że to ich komisarz chce mówić! Są pewno ciekawi, bo ten komisarz wogóle nigdy dotychczas nie przemawiał.

— Towarzysze! powiadam, wstyd mi za was, waszemu komisarzowi, że tak przyjmujecie gościa i naczelnika waszego, który przyjechał w ważnych sprawach, a wy mu nie dajecie mówić. Powiadam, że komu jeszcze mało, to usłyszy ministra jeszcze raz na mityngu na »Jakornoj płoszczadi«, no i w sowiecie. A teraz dajcie odpocząć zmęczonemu gościowi, który zresztą musi śpieszyć właśnie na mityng... Zrobić szpaler!

Masa usłuchała.

Utworzyła się droga dość szeroka do samych drzwi. Radzę Lebediewowi iść prędko, co też on czyni. Idziemy jednak nie za prędko, by to nie wyglądało na ucieczkę. Nie doszliśmy jeszcze do drzwi, jak słyszę ztyłu huczek. To agitatorzy około trybuny znów działają na tłum, .. aby nie wypuścić nas z manżu. Przyśpieszamy kroku, bo widzę, że już się zwiera za nami tłum. I ledwośmy weszli we drzwi, jak już ztyłu wycie, i ciżba sunie ku nam.

Lecz jesteśmy już w samochodach!

No, tym razem udało się! »Pearce - Arrow« rozwija szybkość!.. Z piersi wrywa się westchnienie ulgi.

W sowiecie będziemy bezpieczniejsi, bo sowiet z urzędu musi nas bronić przed anarchją, chociażby przez jego członków zaaranżowaną.

»Niezły jednak ma pan głos!« powiada Kołosow, siedząc już w aucie.

— No, i przydał się, — odpowiadam.

Nieco później tego Lebidiewa w Helsingforsie w podobnych warunkach o mały włos nie zabito; ciskano weń na mityngu kamieniami, i został raniony.

Przypominam sobie, że kiedy w jakiś tydzień potem byłem na audjencji u Lwowa z referatem w sprawach bieżących, to Lwow o bolszewikach odezwał się: »czy nie czas już o nich zapomnieć!« — tak dalece i krótkowzrocznie ich lekceważył. Stosunek taki mnie zdziwił.

Projekt sprowadzenia rodziny carskiej do Kronsztadu.

Na krótko przed rozpoczęciem mego urzędowania, mianowicie 24 maja, sowiet petrogradzki, może w porozumieniu z kronsztadzki, uchwalił przeniesienie rodziny carskiej z Carskiego Siola do Kronsztadu.

Uchwała ta, aczkolwiek przyjęta przez sowiet, zrealizowana nie została.

Gdyby jednak to przeniesienie nastąpiło, moje położenie do prawdy byłoby głupie. Oczywiście, musiałbym się rozstać ze swą posadą natychmiast.

Moja dymisja.

Położenie moje ku końcowi drugiego miesiąca urzędowania stało się dość ciężkie. Lawirowanie, jak i bezczynność, — nie jest w moim charakterze. A właśnie musiałem albo nic nie robić, albo lawirować. Robiłem więc, dopoki mogłem to, co mi się podobało, aż się coraz bardziej narażałem sowietowi.

A więc, już od samego początku nie podobało się sowietowi, że nie będę jego przedstawicielem przy rządzie, lecz odwrotnie — przedstawicielem rządu w Kronsztadzie. Odezwa moja do ludności przy objęciu urzędu była drugą nieprzyjemnością dla sowietu, ponieważ w niej ostrzegalem ludność przed nieodpowiedzialną agitacją; nawoływałem natomiast do tego, aby każdy obywatel poczuł moralny mus odpowiedzialności za swe czyny. Odezwę tę jednak sowiet puścił płazem, zbyt bowiem świeże było wrażenie upokorzenia przed rządem. Prawda, nie wtrącałem się do spraw sowietu, dlatego byłem tolerowany; jednak moją działalność sowiet krępował. A więc nie dopuścił do założenia domów poprawczych oraz pisma rządowego. Te moje plany były nowym powodem tarć i nieufności.

Najbardziej jednak nie podobało się sowietowi moje sprostowanie w gazecie »Riecz« Nr. 170, które podałem, aby rozproszyć tę mgławicę, jaka się wytworzyła w opinji ogółu o Kronsztadzie, z racji istnienia naraz trzech rozmaitych komisarzy i z racji braku wogóle wiadomości prawdziwych o życiu Kronsztadu. Sprostowanie, wprawdzie, nie było czemś nadzwyczajnem; dałem je z urzędu. Jednak wyraźnie w niem zaakcentowane moje stanowisko nieprzychylne sowietowi, rozjątrzyło sowiet.

Chcieliby już mnie się pozbyć, jako zbyt samodzielnego. Korzystają teraz z każdej okazji dla ataków w sowiecie pod moim adresem. Oto np. drobiazg. Pewnego dnia mam jechać do Petrogradu, do ministra, ze zwykłym meldunkiem z mego urzędu. Nie przybywa na czas samochód. Zjawia się w 5 minut po odejściu statku. Byłem wściekły. Szofera złażalem. Ten się poskarżył swemu związkowi zawodowemu, związek — sowietowi. — Dalej, kazałem zarezerwować w teatrze i salach widowiskowych dla siebie dawne gubernatorskie miejsce, — no i w tym guście jeszcze parę drobiazgów.

Sowiet czekał, aż się tego zebrało więcej, boby pojedynczy drobiazg nie zwrócił niczyjej uwagi, nawet w takim sowiecie. I potem naraz wysunął przeciwko mnie sumaryczny zarzut, że ja nie mam demokratycznego usposobienia, że się wzoruję na carskich gubernatorach, że nie mogę być przywódcą mas robotniczych etc... I — wobec tego uchwała mi votum nieufności.

Muszę więc podać się do dymisji. Jadę do Petrogradu, melduję ministrowi, wtedy już Awksientjewowi. Ale rząd mnie nie puszcza. Powiada, że nie mam prawa ustępować na votum nieufności sowietu, gdyż mianowany jestem przez rząd, nie przez sowiet.

Dymisja jednak jest i po mojej myśli. Mam już tego dość. Proszę więc ministra o urlop, z tem, by w czasie mego urlopu załatwiono sprawę obioru mego następcy.

I, nie wracając do Kronsztadu, jadę do Czerepowca, do rodziny.

Oto i ta podróż pokazała mi, z jakiego rozgłosu korzysta już Kronsztadt w całej Rosji.

Jechałem tym razem dla rozmaitości na Rybińsk koleją, a od Rybińska do Czerepowca — rzeką Szeksną. Zajmuję kabinę na statku z jakimś miłym rosyjskim inteligentem... gawędzimy sobie, popijamy wspólną herbatkę... oddycham swobodnie, nic mi nie przypomina o tym upiornym Kronsztadzie.

W pewnej chwili na jakiejś przystani wchodzi kontrola. Mały odziałek z bardzo sympatycznym praporszczykiem, Gruzinem, na czele.

Dokumenty!

Wyciągam swój z podpisem ministra, dowód, że jestem gubernatorem Kronsztadu. Gruzin zdębiał od niespodzianki. To pan ten... z Kronsztadu!?... Salutuje i z wielkim szacunkiem zwraca dokument.

No, przecież na głowie nie mam napisane, kim jestem, a wygląd najzwyczajniejszy, a naramienniki takiegoż praporszczyka.

I sąsiad mój natychmiast się zmienił. Już rozmowa przybiera inny ton, — pół-obawy, pół-respektu. Następnego dnia zrana w kabinie jadalnej nieprzyjemnie było pić herbatę i jeść śniadanie, bo wszyscy się gapili na mnie, jakbym był ciełębem o dwu głowach, i rozmowa milkła, prowadzono ją półgłosem.

Była to jednak ostatnia moja podróż »dygnitarska«. Wróciłem zwykłym śmiertelnikiem. I byłem doprawdy rad z tego.

Los mi i tu sprzyjał. Wycofałem się w samą porę. Bo im dalej, tem zdawało się w Kronsztadzie coraz goręcej.

Votum nieufności otrzymałem 27 lipca, formalnie byłem na urzędzie do 8-go sierpnia. Ogółem urzędowania mego było dni 70, co jak na owe czasy był okres długi.

»Korniłowskije dni«.

We dwa tygodnie po mojej dymisji zaczęły się w Rosji »Korniłowskije dni«, czyli powstanie przeciwko sowietom i Kiereńskiemu, zorganizowane przez stawkę »gławkowiercha«, czyli kwaterę główną.

Sprawa ta jest ciemna.

Historyk rewolucji rosyjskiej, Milukow, przedstawia ją jako prowokację ze strony Kiereńskiego. Kiereński od początku samego, od chwili wysunięcia Kornilowa na »gławkwiercha« nie mógł znaleźć z nim wspólnego języka. Na »moskowskom gosudarstwienom sowieszczanji« w połowie sierpnia omal że już nie doszło do scysji. W każdym razie już wtedy z obu stron przedsiębrane były środki osobistej ostrożności. Wróciwszy do Mohylowa, Kornilow już dość jawnie organizuje zrzućenie Kiereńskiego, który się opiera reformom Kornilowa, mającym uzdrowić rozpadającą się armję. Kornilow chce zlikwidować i sowiety i Kiereńskiego, a stworzyć rządy wojennej dyktatury. Otóż Kiereński, dowiedziawszy się o realnych przygotowaniach w stawce Kornilowa jego sztabu i związku oficerów, zdecydował go sprowokować na wystąpienie źle zorganizowane, aby móc zdusić ten ruch w zarodku. Dla celów wywiadowczych użył byłego ober-prokuratora Świętego Synodu — Lwowa. Płacze się w tej akcji naraz po obu stronach Sawinkow.

Kiereński w swej książce, wydanej już za bolszewików, zaprzecza tej roli, którą mu zarzucają przedstawiciele oficerstwa oraz Milukow i Denikin.

Dość, że wystąpienie Kornilowa stało się faktem. Zajęło ono kilka dni: 26-29 sierpnia 1917 roku.

Siły, jakie wysunął Kornilow przeciw Kiereńskiemu i sowietom były to: »dzika« kaukazka dywizja kawalerji, kozacy i najbardziej prawicowe oficerstwo. Zebrane w jeden oddział otrzymały nazwę »III-ij konnyj korpus«. Na czele tych sił stanął generał Krymow.

Dzieje tego wystąpienia są już opisane przez Milukowa, Denikina, Kiereńskiego i innych. Nie będę o nich mówił. Powiem tylko o roli Kronsztadu wobec tego wystąpienia.

Otóż dla sparaliżowania ruchu wojsk Kornilowa, Kiereński, mając za mało wojsk bezwzględnie mu oddanych, wobec dwuznacznego zachowania się kozaków petersburskich (trzy pułki), zwrócił się o pomoc do Kronsztadu. Kronsztadu nie trzeba było prosić dwa razy. Wystąpił chętnie, była to bowiem okazja do nowego ugruntowania władzy sowietów, jak również i bolszewików.

Miała ta walka nadto i aureolę ideową. Trzeba było bowiem bronić rewolucji przed carską armją i jej generałami. Należało się obawiać w całości powrotu do dawnych przedrewolucyjnych czasów.

Niestety, i sama osoba Kornilowa, a jeszcze bardziej — jego oto-

czenie — budziły w tym kierunku słuszne obawy. Kornilow, mały dowódca, nie wyżej, niż nad dywizją, pochodzenia kałmuckiego, tępy, ograniczony, absolutnie nie rozumiejący wypadków, nadto o charakterze chwiejnym, łatwo ulegający obcym wpływom... nie nadawał się ani na przywódcę politycznego, ani na wodza armji. Jego zachowanie się w te słynne dni sierpniowe i później — potwierdza to w zupełności.

Jednego tylko chciał wyraźnie — nawrotu do porządku przedrewolucyjnego. Był więc symbolem przemocy i obskurantyzmu carskich czasów. Na jego korzyść przemawia jednak to, że był to człowiek uczciwy, czego już nie można powiedzieć o jego otoczeniu. Nie znając się na polityce, otoczył się rozmaitymi ludźmi rzekomo od polityki, ludźmi nikomu jednak nieznanymi, ludźmi z pod ciemnej gwiazdy, awanturnikami, karjerowiczami etc. (por. hist. Milukowa).

Był tu obfity materiał dla zohydzenia ruchu Kornilowa przed demokracją: kornilowszczyzna chce utopić we krwi ludu pracującego wszystkie zdobycze rewolucji; chce znowu wynieść na tron Mikołaja, a nad Rosją postawić generała-stupajkę z batem w rękę.

Jak wiadomo, Kornilow nie stanął sam na czele wojsk wysłanych na zdobycie Petrogradu, i nie doszedł ten konny korpus do Petrogradu. Istotą prowokacji było to, że od Kornilowa zdobywa Lwow przyrzeczenie skoncentrowania III konnego korpusu w pewnym terminie pod Petrogradem dla tłumienia oczekiwanego, rzekomo, powstania bolszewików. A w chwili, kiedy ten korpus istotnie stanął w okolicach Petrogradu, Kiereński robi z Kornilowa »zdrajcę rewolucji«, który chce walczyć z rządem tymczasowym i demokracją.

Korpus ten w okolicach Gieczyny i Antropszyna został przez koleje żelazne (»Wikżel«) zatrzymany, następnie — rozagitowany, zgwałcony i rozproszony. Jego dowódca, generał Krymow, postawiony przed Kiereńskim, według jednej wersji — po audjencji odebrał sobie życie z rozpacz, że mu Kiereński ręki nie podał(!). Jest to wersja samego Kiereńskiego i jego obrońców. Podług drugiej — bardziej wiarogodnej — dał w twarz Kiereńskiemu podczas rozmowy i został postrzelony przez jego adjutanta. Możliwa jednak i trzecia wersja: że sam odebrał sobie życie, doznawszy wstrząsającego zawodu, widząc zniweczenie jego planu.

Potem, w szpitalu, dokąd go przewieziono, dokonał żywota.

Przyczem żołdactwo i niższy personel szpitalny pastwili się nad nim, zrywając z żywego jeszcze opatrunek, bijąc, lżąc, plując.

Tak marnie spaskudzone powstanie daje możność Kiereńskiemu natychmiast oczyścić »stawkę« czyli kwaterę główną (w Mohyłowiu n/Dnieprem) od elementów reakcyjnych.

W Kronsztadzie cały ruch nie wywołał wielkiego echa. Była to z jednej strony rzecz daleka, z drugiej — zbyt krótkotrwała. Prawda, że sam sowiet drżał, drżały i wojska, albowiem wiadomo było, że z korpusu Krymowa po opanowaniu Petrogradu miała być wydzielona cała brygada z artylerją dla zlikwidowania Kronsztadu. I to z pewnością nie byłyby żarty w stylu Artamonowa. Sowiet, mianowicie, miał być aresztowany, a cała załoga przeniesiona na ląd stały i zamieniona na nową.

To też ta okoliczność dodawała energii i odwagi marynarzom kronsztadzkiemu pod Gaczną w agitacji i rozbijaniu wojsk Krymowa. Ta rola marynarzy, dając im nowe laury, usposobiła ich po powrocie do Kronsztadu naogół pokojowo. Jedynie aresztowano paru oficerów, którzy akurat w te dni byli na urlopiach poza Kronsztadem. Tych zmuszano legitymować się, musieli się tłumaczyć.

Dalszy wzrost bolszewizmu w Rosji i przewrót bolszewicki 25 paźdz. (st. st.) 1917 r.

Likwidacja kornilowszczyzny podniosła znaczenie marynarzy oraz wzmogła agitację partji z przeciwnego bieguny — bolszewików.

Bolszewicy szerzą energiczną agitację w Petersburgu i Kronsztadzie. Kronsztadzcy bolszewicy czują już taką siłę, że się absolutnie nie kryją ze swemi zamierzeniami. Z miną przyszłych triumfatorów, a więc z pewnem poczuciem siły i dumą mówią otwarcie o zbliżającym się przewrocie, nawet o podziale tek. Mówią to już na jakie 3-4 tygodnie przed przewrotem. Wszyscy im wierzą. Bo oni się zdecydowali. Oni mają odwagę. A słabość rządu tymczasowego jest zbyt widoczna. Właściwie nawet w Kronsztadzie życie już jest kierowane przez bolszewików, tylko że bez ustroju komunistycznego. Bo rządy są wyłącznie w ręku sowietu, a w sowiecie po nowych wyborach bolszewicy stali się panami sytuacji. Więc to, co w Petrogradzie nastąpiło dopiero w październiku, w Kronsztadzie

mieliśmy już od sierpnia. Właściwie — od mojej dymisji, a bardziej jeszcze — od zwycięstwa nad Kornilowem.

Krótko mówiąc, kiedy w Petrogradzie 25 października (st. st.) został dokonany przewrót bolszewicki, my tego w Kronsztadzie nie odczuliśmy. U nas wszystko zostało po — staremu. Spokój nie był zakłócony, bo nie było z kim walczyć. Był ciąg dalszy niepostrzeżenie i nieznacznie wylętego tu porządku sowiecko-bolszewickiego. Gwałty i terror, jakie zaczęły się w całej Rosji, w Kronsztadzie początkowo nie miały miejsca. Prawda, utworzona została i tu »Cze-ka«, ale o niej jakoś nie było słyhać. Spraw miejscowych było bardzo mało, a więc zdaje się, że zajmowała się sprawami stolicy.

Przynajmniej wiadomo, że Petrograd przekazywał Kronsztadowi całe partje oficerów-jeńców z wojny domowej — na stracenie. I tu załatwiano się z nimi w ten sposób, że pakowali jeńców na barkę, wywozili na morze i topili barkę. Kto nie chciał tonąć, tych dostrzegali.

Terroru społecznego nie było w tym sensie, jak w Petrogradzie. Dopiero kiedy powstał własny ruch kontr-rewolucyjny w r. 1919, powstanie »Krasnoj Gorki«, — to zaczął się terror przy likwidacji. Jednak likwidacja trwała krótko, »wrogów« wyłowiono, i znowu nastał spokój.

Zaczęły się teraz (październik 1917) spokojnie przeprowadzane reformy ustroju społeczno-państwowego według gotowych przepisów komunistycznych. W Kronsztadzie wszystko wprowadzano nieco później, niż w Petrogradzie. Stolica tworzy wzory, a dopiero potem Kronsztadt je naśladuje.

Nie było przytem wielkiego entuzjazmu ze strony komunistów, ani też paniki w obozie przeciwnym, czyli wśród społeczeństwa.

W samym przewrocie październikowym marynarze kronsztadzcy wzięli wybitny udział. Moc ich wyjechało na ten czas do Petrogradu na kilku statkach wojennych. Najbardziej się przyczynili w zdobywaniu pałacu zimowego, ostatniej siedziby rządu tymczasowego; oraz w zwycięstwie nad rządem wogóle, operując flotą na Newie.

Na naczelne stanowiska w nowym rządzie wysunęli się i bolszewicy kronsztadzcy. A więc: mierzman Iljin (»Raskolnikow«) został członkiem kolegjum komisarjatu morskiego. Teraz bowiem zamiast ministra było kolegjum z trzech osób. Ten Raskolnikow później został wysłany do Afganistanu (w 1919 czy 1920 r.) jako agent dy-

plomatyczny. Skutkiem tej misji była wojna afgańsko - angielska, zakończona traktatem w Rawalpindi, i do pewnego stopnia — i sama zmiana na tronie afgańskim. Żona Iljina, Łarisa Rejsner, napisała o Afganistanie broszurkę, która obecnie jest wydana po polsku.

Z tym »Raskolnikowem« i z paru innymi mądrzejszymi bolszewikami rozmawiałem kilka razy. Dowodziłem, że bolszewizm ma wprawdzie tylko jedną wadę, ale dotyczy ona samego sedna ich teorii, mianowicie — fałszu w tem sednie. Że, mianowicie, »człowiek nie zainteresowany osobiście w rezultatach swej pracy, nie będzie wogóle pracował«.

Dyskusje nasze były czysto teoretyczne.

Nie prześladowano mnie za nie, bo Rosjanie lubią takie dyskusje.

Prócz Raskolnikowa wysunął się prosty marynarz (»sodierżatielek«) Dybienko, — został tem samem w komisaryjacie wojny, czem Raskolnikow — w marynarce; oraz telegrafista Lubowicz (został zastępcą komisarza poczt i telegrafów).

Zaczęły się więc oficjalne rządy bolszewików w Kronsztadzie. Oporu żadnego nie spotykały, więc początkowo wielkiej różnicy z poprzednimi rządami nie odczuwaliśmy.

Były tylko planowe rekwizycyje dla potrzeb czerwonej gwardji, walczącej na frontach wewnętrznych. (Ogólnego upaństwowienia czyli socjalizacji na początku nie było).

Ale oto nikną produkty żywnościowe. Tu dopiero czujemy, że to całkiem co innego, niż to, co było: niema co jeść! Żadnych rynków prywatnych, ani sklepów niema. Sklepy znacjonalizowano, czyli że stały się one państwowemi. Dają wszystko darmo, lecz bardzo mało. Aby coś dostać nad to — trzeba jechać na ład. Wszystko teraz należy do państwa. Niema własności prywatnej, prócz rzeczy osobistego użytku. Więc nacjonalizacja generalna. Znacjonalizowano, nie odrazu zresztą, wszystkie magazyny, drukarnie, wytwórnie, banki, składy etc. Te nacjonalizacje też dużo czasu nie zajęły. Co ważniejsze jednak — znacjonalizowano domy. Dawny właściciel już nie jest właścicielem. Dobrze jeszcze, jeżeli go zostawili w jego dawnem mieszkaniu. Rządzi teraz domem »domowy komitet biedoty«, czyli »domkobied«. Mieszkańców suterren przenoszą teraz do mieszkań na piętrach, mieszkań pustych po burżuazji i oficerach, którzy przed przewrotem lub w czasie przewrotu uciekli. A w sowiecie powstał »żiliszczny otdiel«, który przydziela wolne lokale.

Rola sowietu teraz jest nieco inna.

Dawniej sowiec nie miał władzy wykonawczej. Wykonawczą władzę

7

miał gubernator i magistrat, a sowiet tylko, operując masą żołnierską, zmuszał tę władzę terrorem do posłuchu. Był jakby proletarjacką kontrolą nad władzą burżuazji, sam jednakże rządów nad miastem nie wykonywał. Teraz staje się jednocześnie i parlamentem i rządem, wyłonionym z parlamentu. Niema już gubernatora, niema rady miejskiej i magistratu, ich funkcje przejął sowiet. Sowiet więc ma teraz »otdieli« dla sprawowania rządów. A więc aprowizacja — należy do »prodowolstwiennowo otdieła«, oświata — (szkoły wszystkie) do »otdieła narodnowo obrazowanja« i t. d. (Wogóle wszystkie resorty, jak mały rząd).

Szkoły teraz zreformowano. »Otdiel narodnowo obrazowanja«, — takie sobie lokalne ministerstwo oświaty, ma na czele szeregowca, marynarza, ślusarza lub coś w tym guście. W szkołach wprowadzono do rad pedagogicznych, jako kontrolę proletarjacką, przedstawicieli od woźnych i stróżów. Zasiadają oni teraz razem z nami i zabierają głos w sprawach, dotyczących życia szkoły.

Inteligencja przyjęła nowe rządy biernie.

Sowiet kronsztadzki nie przejawiał żadnej własnej twórczości komunistycznej. Był tylko ślepym wykonawcą nakazów zgóry i, co mu wskazano, robił w przepisany terminie. Robił i takie rzeczy, które nie były wywoływane życiem miejscowem. Naprzykład, po zabójstwie Urickiego w Petrogradzie i po zamachu na Lenina w Moskwie, rząd sowiecki nakazał po całej Rosji »uszczemlenie burżuazji« (przyciśnięcie), aby cała burżuazja poczuła gniew i zemstę nowej władzy, by poczuła, kto jest dziś jej panem. I to panem absolutnym, panem życia i śmierci. Wprowadzone zostały wszędzie dla burżuazji i inteligencji roboty karno-przymusowe, t. zwana »trudowaja powinnost'«. A więc wartowanie na ulicach i przy składach, ładowanie i wyładowywanie barek z drzewem, oczyszczanie ulic i t. d. Wprowadzili to od maja (14-go) 1918 r. i w Kronsztadzie.

A więc oto jak wyglądały, naprzykład, moje zajęcia obywatelskie w tym czasie, w chwilach wolnych od zajęć moich zawodowych. Kilkakrotny w ciągu tego lata nocny dyżur na mieście, w charakterze milicjanta; kilkakrotne ładowanie i wyładowywanie olbrzymich pocisków dla dwunastocalówek — przy pomocy kolejki i małych wagoników. Ładowaliśmy i drzewo i żerdzie i inne rzeczy. Na leguminę zaś miałem cztery mobilizacje do wojska, a to: od związków zawodowych, od szkół, wedle wieku, i coś tam jeszcze. Wykreśliłem się jednak od wszystkich. Albowiem przed nimi, w marcu

r. 1918 po pokoju Brzeskim przyszła demobilizacja ogólna z wielkiej wojny. Natychmiast wróciłem do życia cywilnego, a te mobilizacje przyszły nieco później, nie od razu. Początkowo dla pomocy dalszym frontom, następnie — kiedy już zaczęły się w pobliżu ruchy wojenne białych.

Wykręcałem się jak tylko mogłem. Dopomógł mi w tem paszport polski, który wyrobiłem w komisji Lednickiego.

Reszta czasu wolnego szła na wożenie sobą o parę kilometrów drzewa opałowego lub żerdzi, na pilowanie tego całymi dniami, na stanie w kolejce czasem po 2, a czasem i 4-5 godzin po 1-2 funty mąki, kapusty, czy jednego śledzia i t. d. i t. d.

Wysadzenie fortu »Ino«.

Finlandja od początku rewolucji dążyła do zupełnego zerwania łączności z Rosją i do całkowitej niepodległości i suwerenności. Rząd tymczasowy trzymał ją jednak, nie chcąc się wyrzec posiadania ważnej strategicznie prowincji.

Udało się uzyskać całkowitą niepodległość dopiero od bolszewików. Umowa, zawarta pomiędzy bolszewikami a czerwonym zresztą już rządem fińskim, przywracała dawną granicę (z okresu przed Piotrem Wielkim) rzekę »Siostrę«, gwarantując jednak Rosji posiadanie fortu »Ino«.

Bardzo krótko jednak trwała czerwona Finlandja. General Mannerheim zorganizował na zachodzie wojsko »białe«, a wspierany przez desant niemiecki (2 dywizje) wyrzucił czerwone wojska do Bolszewji, i jako ostatni etap swej akcji — wciela fort »Ino« do Finlandji, nie uznając, oczywiście, umowy czerwonych z bolszewikami. 24.IV 1918 r. wojska jego były już w okolicy fortu.

Bolszewicy nie mogli i nie chcieli zaczynać wojny z Finlandją. Wobec tego dnia 25.IV stanął układ między bolszewikami a białą armją fińską, mocą którego bolszewicy oddawali fort »Ino« finlandczykom. W ten sposób część właściwej fortecy Kronsztadu przechodzi w ręce obcego narodu i państwa. (Fort »Ino« leży na zachód od rzeki Siostry, w odległości około 25 km.).

Jednak zostawić fort uzbrojony w ręku Finlandji, było nie do pomyslenia. Lecz na rozbrojenie nie było czasu. Trzeba więc wy-

sadzić! Ale trzeba to zrobić tak, aby się o tem zawczasu finlandczycy nie domyślili, zarówno jak i własna załoga rosyjska.

Kiedy już wojska rosyjskie opuściły »Ino« i były daleko, Artamonow (komendant fortecy kronsztadzkiej, sztabs - kapitan) z jachtu swego, w dość znacznej odległości od brzegu, wysadził fort w powietrze. Ładny i patrijotyczny gest.

Od tej chwili Kronsztadt traci swe przedwojenne znaczenie fortecy I klasy. Staje się twierdzą jednoboką.

Chyba że uzbroi »Czerwoną Górkę« w działa 16" (przedtem te 2 fortecy miały 13½" - wą artylerję), które niosą na 60 kilometrów. Chociaż i w tym wypadku Kronsztadt jest wystawiony na wszelkie niespodzianki od północy. Co już miało miejsce w lecie r. 1919.

Moda »à la matros«.

Nie mogę tu nie potrącić jednego zjawiska chakterystycznego. Mianowicie — objawów powstania nowej mody. Tak jest: mody!!

Otóż marynarze już od marca r. 1917, a badziej po zwycięstwie nad Kornilowem, a potem i nad rządem tymczasowym (gdyż decydującym momentem walki było wprowadzenie floty na Nowę) stają się bardzo popularni. To znaczy, nie oficerowie marynarki, tylko szeregowcy - marynarze.

Stają się nadto realną siłą, pretorjanami nowego rządu. Masa robotnicza, chłopska i żołnierska patrzy na nich, jak na bohaterów, którzy zgnietli przemoc burżuazji. Więc marynarze stają się modni, i to — wszędzie. Przedewszystkiem mają powodzenie u kobiet... i nawet u inteligentnych, zwłaszcza u pańienek z gimnazjów; są małpowani w stroju przez żołnierzy wojsk lądowych.

Oto zaczynają żołnierze piechoty, artylerji, saperów odkrywać szyję, jak marynarze, odpinając dwa górne guziki »rubaszki« (»gimnastioraka«, czyli koszula - kurtka) i zapychając kołnierz i część górną rubaszki do wewnątrz, obnażając w ten sposób trójkątem szyję. Wyglądało to wprawdzie, jak siodło na krowie, nadając ludziom i tak zezwierzęconym jeszcze bardziej bandycki czy katowsko - rzeźnicki wygląd.

Można byłoby porównać to z usiłowaniem namalowania uśmiechu na twarzy trupa.

Inni znowu nosili obok takiej rubaszki jeszcze i spodnie marynarskie, szerokie u dołu.

Moda! Moda!.. która jest jeszcze większym tyranem, niż tyrani w ludzkiej skórze.

Moda wyraziła się jeszcze w jednym słówku złodziejskim, które przyszło właśnie z Kronsztadu, z karnego bataljonu morskiego (»disciplinarny bataljon«), gdzie odsiadawali karę złodzieje, zbóje, rzemieślnicy, których wyłapywano spośród marynarzy. Otóż w grach hazardowych w karty te szumowiny posługują się wykrzyknikami »dajosz-bieriosz!« I to »dajosz-bieriosz!« poleciało z marynarzami po całej Rosji... w czasie wojny domowej. I było, trzeba przyznać, środkiem terroryzującym przeciwnika... bo zdradzało obecność marynarzy, a marynarze bili się bajecznie. Potem już ten okrzyk przeszedł i do innych, stając się raczej hasłem, niż okrzykiem bojowym.

Kiedy gazety bolszewickie przed ofensywą rzucają hasło; »dajosz Samaru!«, »dajosz Carycyn!« — wojska chwytają to hasło, i ono staje się jakąś okrutną zapowiedzią i pogroźką i zarazem podniętą bolszewików. Próbowali nawet krzyczeć »dajosz Warszawu!« Tylko, że się już uprzednio wykrzyczeli, to w tem miejscu zabrakło im tchu. No i Polacy jakoś nie zlekli się bandyckiego okrzyku.

Habilitacja, śmierć córki, próba wyjazdu do kraju.

Już od chwili przeniesienia mnie w r. 1916 do Kronsztadu wznowiłem pracę habilitacyjną. Zacząłem znowu obkuwać się do egzaminu, od którego się habilitacja zaczyna. I aczkolwiek od r. 1918 zaczął się głód dość dotkliwy, zwłaszcza w Kronsztadzie, gdzie nie było ani rynków, ani sklepów prywatnych, tylko znacjonalizowane, gdzie wszystko było na kartki, jednak mało to mnie odrywało od pracy. Wreszcie demobilizacja ogólna w marcu r. 1918 dała mi większą swobodę i umożliwiła pracę systematyczną.

Tak więc już w lipcu stanąłem do tych egzaminów i 13-go złożyłem pierwszy z nich.

Wracam do Kronsztadu w wesołym usposobieniu, przywożę z Petrogradu trochę różnaitości i smacznych rzeczy... Ale w domu

dowiaduję się, że służąca ma jakieś podejrzane objawy, i... że w mieście cholera. W nocy tę służącą zabiera pogotowie do szpitala.

Na rano te same objawy u córeczki. A jest to święto i następny dzień też święto. Na całe miasto jeden doktor, reszta porozjeżdżali się na lotniska na ładzie. Organizm dziecka, wycieńczony półrocznym głodem, nie miał już sił odpornych. W oczach mi dziecko gasło. W pewnej chwili widziałem, jak powoli pociemniała, jakby krew gdzieś do wnętrza odbiegła lub się zepsuła. Byliśmy z żoną sami, bo synka odrazu odesłaliśmy do znajomych. Nie znaleźliśmy się na żadnych zabiegach. Jak umieliśmy, walczyliśmy dziewięć godzin.

Nie było rady jednak; powiadam żonie: »wiesz do szpitala (którego właśnie się bali, gorzej niż tej cholery) może uratują«. Zostałem sam.

W nocy... stuk we drzwi. Boję się podejść!... Gospodarz, który ma telefon, przychodzi mi oznajmić to, czego w strachu śmiertelnym już oczekiwałem.

Któż zrozumie tę boleść! Chyba ten tylko, kto sam stracił ukochane dziecko.

O czymże mogłem myśleć po stracie dziecka! Zdrętwiałem, zobojętniałem na wszystko; plany wszelkie poszły w ką, i... głód poczułem, który przedtem zagłuszałem pracą pochłaniającą.

Po dezynfekcji, którą musiałem zrobić własnoręcznie, bo się wszyscy rozbiegli, byłem dłuższy czas sam w mieszkaniu. I wtedy właśnie sam zapadłem na dysenterję (cholerynę), która mnie do reszty osłabiła. Zrobiłem się płaski i cienki, tak że żadne ubranie nie trzymało się na mnie; wyglądałem jak manekin dla swych ubrań.

Wkrótce potem spadła nowa plaga: lokalna mobilizacja. Niema wyjścia; albo znów do wojska, teraz już bolszewickiego, i bić się z kontrrewolucją, albo udowodnić, że nie jestem obywatelem rosyjskim, no — i wyjechać stąd.

Wyrobiłem sobie w sierpniu paszport polski w komisji Lednickiego i rozpocząłem starania o pozwolenie na wyjazd do kraju. Poszło na te zabiegi około miesiąca. Miałem więc wreszcie możliwość wycofania się z życia rosyjskiego.

Jednocześnie dowiaduję się, że związek nauczycieli Polaków w Petersburgu (raczej nauczycielek) organizuje eszelony. Ponieważ esze-

lonem i weselej i bezpieczniej jechać, wpisuję się więc do takiego eszelonu.

Nie zupełnie jednak ufałem sprężystości organizacji nauczycielskiej, więc mając już wszystkie potrzebne do wyjazdu papiery, nabywam bilet kolejowy do Homla, gdzie już była okupacja niemiecka. Granica wtedy nie była zamknięta; a był to okres bardzo krótki, niestety.

I, istotnie, zrobiłem dobrze, i gdybym w dalszym ciągu sam nie popsuł, t. j. zbyt inoym nie ufał, to już w r. 1918 byłbym w Warszawie.

Ta organizacja nauczycielska, w której w ciągu kilku wizyt widziałem tylko jednego mężczyznę, ten związek dużo o sobie i swych planach reklamował; można więc było oczekiwać, że zorganizowanie wyjazdu będzie dobre. Czynności organizacyjne, jak się zresztą okazało, były nieskomplikowane: cały kram polegał na tem, że związek układał listę pragnących wyjechać. Prezydium związku doręczało ją Lednickiemu, a ten miał ją dalej przesłać do Warszawy władzom niemieckim dla uzyskania pozwolenia. W praktyce i to się nie udawało. Była jakaś ciągła zwłoka, mitręga, przepisywanie; tak że każdy poszczególny nauczyciel, o ile chciał, mógł wyjechać zwykłym pociągiem o wiele prędzej, łatwiej i wygodniej. Co też ten i ów robił.

Niezaradność kobieca rzucała się w oczy. Pani Kasperowicz, factotum tego związku, której na dobrych chęciach oczywiście nie zbywało, nie mogła pewno sama nadażyć wszędzie, — więc sprawa dreptała na miejscu, budząc w publiczności podrażnienie, a u obojętnych wywołując wrażenie humoreski.

Otóż ten fatalny ciągły brak zmysłu organizacyjnego, który wstrętne bije w oczy wszędzie w Rosji (Niemcy, kiedy coś się robi niezaradnie, mówią: »zupełnie, jak w Rosji!«), wpływa widocznie na nas jak zaraza. Tam, gdzie trzeba prędkiej, celowej czynności, jest trwonienie czasu; gdzie potrzeba kilku roztropnych i energicznych mężczyzn, jest... jedna kobieta!

No, wpisałem się gdzie trzeba, wypełniłem moc ankiet, — i wreszcie upewniono mnie, że jadę tym eszelonem, który odchodzi 3.IX 1918 r. Wszystko dobrze! Więc wyruszam w swoim czasie z bagażami z Kronsztadu do Petersburga i pakuję się na dworzec. Tam w niemożliwej ciasnocie, w tłoku ludzi i bagaży, zamknięci w dużej hali, oczekujemy na rewizję. Trwa to oczywiście tylko... 10 godzin! Śród odprowadzających kolegów widzę jedną koleżankę, która

jeszcze nie jedzie, ale chce jechać wkrótce, ... no i z radości, że sam już jadę, oddaję jej swój bilet na Homel. Myślę: niech nie ginie, niech przecie ktoś z niego skorzysta.

Nareszcie wyduszony, wymaglowany, bez sił, bez tchu, wypchnięty zostaję na peron. I tu nas sprawdzają według listy przedstawiciele komisji Lednickiego. I cóż się okazuje! Bagatela: na listę nie jestem wpisany!! przez omyłkę!

Zdumienie. Wściekłość!!... Bałagan!! A biletu własnego już nie mam. Radzą jechać tak; tam coś się zrobi. No, więc pojedę niewpisany. Jakoś się przecie zrobi.

Zajmujemy grupami »tiefłuszki«. Przypadek zrządził, że trafiłem do takiej, gdzie było osiem koleżanek, więc ja — dziewiąty. Wagon absolutnie pusty, nadto bez okien (towarowy), więc jak się zasunie drzwi, to zupełnie ciemno. Nietylko leżeć, ale i siedzieć niema na czym. Trzeba albo stać całą drogę, albo siedzieć na własnych tłomokach, czyli poniszczyć rzeczy. Jakoś siadłem. Ale położenie!... z wagonu wyjść w biegu nie można, a tu — 8 pań!

Nareszcie pociąg rusza.

Gdzieś tam ktoś krzyczy, wiwaty... a tu zaczyna mżyć, potem — coraz gęściej. Okazuje się dalej, że nasz wagon ma dziurawy dach, i deszcz leje na nas i na graty. Noc, zimno, przewiewa, leje, ... ani położyć się, ani sięść, ani się rozebrać... i — 8 pań!

Nie śpiąc, marznąc, siedząc na walizce, spędzam noc. Wleczone się wolniej, niżbym szedł piechotą. Po dwunastu godzinach stanęliśmy o jakiś kilometr od czegoś. Idę na zwiady. Co to? Wyobraźcie sobie... Gieczyna!! 42 kilometry od Petersburga!

To było ostatnią kroplą!

Wysiadam! Dosyć i tego, co już mam! A jeszcze może mnie czeka gdzieś na granicy nowa przyjemność z racji niewpisania na listę!..

Idealna organizacja!

Zabieram walizki i zwykłym pociągiem wracam do Petersburga i dalej — do Kronsztadu.

Zdziwienie, ale i radość żony! Wróciłeś!... No, niema złego, coby dla kogoś na dobre nie wyszło! Bo jakbym pojechał, to żona zostałaby sama niewiedomo na jak długo.

Wszystkie te przejścia i koleje nietylko wstrzymały mój rozpoczęty egzamin, ale jeszcze porządnie mnie namęczyły (Sama jazda z Kronsztadu do Petrogradu zabiera 3 godziny z trzykrotnem prze-

siadaniem, a teraz, w czasie rewolucji, to i do sześciu godzin)... i w znacznym stopniu oddziaływały na system nerwowy. Ogarnęła mnie apatja.

Na dobitkę ogłoszony został w tym czasie dekret o skasowaniu stopni naukowych i habilitacji do nich prowadzącej.

Nie zważając na to, po krótkim wypoczynku, otrząsnawszy się z depresji, znowu zacząłem się obkuwać, i w listopadzie składam jeszcze jeden egzamin, teraz już na »prywatny« rachunek, bo oficjalnie egzamin jest skasowany, dyplomu więc nie otrzymam, chyba jakieś prywatne zaświadczenie profesorów.

Ogółem trzeba było złożyć wszystkie egzaminy w przeciągu 6 miesięcy. Nie stanąłem już jednak do następnych, bo tu się wzmogły klęski żywiołowe.

Od listopada właśnie żyjemy o głodzie. Niema chwili, żebym nie chciał jeść. Wieczorami siedzimy w ciemnościach, bo niema nafty (a elektryczności w mieszkaniu wogóle nie było).

Tak więc wieczorami pracować nie mogę. Mamy na całe mieszkanie jedną kuchenną lampkę, przy której trzeba robić wszystko, a więc i w kuchni i w jadalni i z dziećmi etc... a w mieszkaniu 6 pokoiów. Ponieważ nafty dają tyle, że staje tylko na dwa wieczory, więc pozostałe pięć obchodzimy się jedną świecą na cały dom. O ile jeszcze tę świecę uda mi się uprzednio zdobyć. Niema również drzewa na opał, więc jest szalenie zimno. Izolujemy, zamykamy większe pokoje, — tam już lodownia. Skupiamy się w dwu najmniejszych i ogrzewamy je własnem ciepłem. Najgorsze jednak — głód! Głód bez żadnej przemożności. Głód, od którego ludzie dostają opuchlizny całej twarzy, od którego brzękną stawy i puchną i krwawią dziąsła i... od którego wreszcie ludzie mrą, jak muchy. Czasem mogę wyjechać na łódź, lub do Petersburga i coś przywieźć, odmrażając ręce, i zupełnie osłabiony od dźwigania. Ale tego, co przywieźć wystarcza na bardzo krótko.

Nec Hercules contra plures!

Tak załamały się wszystkie moje próby zmiany nieznośnego życia, rozwiały się marzenia. Przynajmniej na bliską metę.

Trzeba było skupić się w sobie, aby tylko wytrwać i doczekać się jakiejś zmiany ku lepszemu.

Powrót floty wojennej z Helsingforsu do Kronsztadu.

W okresie świąt Bożego Narodzenia (w przybliżeniu) r. 1918 zachodzą w Kronsztadzie doniosłe wypadki.

Flota bałtycka podczas wojny była skoncentrowana w zatoce Fińskiej. Miała trzy bazy: Kronsztadt, Helsingfors i Tallin (Rewel). Cała zatoka była zamknięta od zachodu t. zw. »Porkaland'ską minną banką«, czyli polem torpedowem, — nieco na zachód od linii Helsingfors-Tallin. Flota w zatoce Fińskiej zimowała, odpoczywała i reperowała się.

Do walki z Niemcami pod Rygę wychodziła od czasu do czasu lekka część floty: krążowniki, torpedowce, łodzie podwodne — dla ochrony t. zw. pozycji Moonsundskiej (archipelag: Dago, Ösel, Moon i Worms), i współdziałania z armją lądową. Robiła tu przeważnie eskapady i potem częściowo wracała do zatoki Fińskiej.

Podział floty między portami był następujący: ciężkie dywizje dreadnought'ów, część krążowników i torpedowców i kilka łodzi podwodnych stały w Helsingforsie. Flota torpedowa i część krążowników — w Tallinie. W Kronsztadzie w czasie wojny okrętów bojowych wogóle nie było. Posyłano je tam tylko dla remontu do doków, które były tylko w Kronsztadzie.

Z początkiem rewolucji flota uległa demoralizacji w różnym stopniu w zależności od oddalenia od pozycji bojowych. A więc najbardziej w Kronsztadzie, mniej w Helsingforsie (dreadnoughty nie brały udziału w operacjach: morskich bitew nie było) i najmniej — w Tallinie, bo też torpedowce były najbardziej zajęte służbą, była to najbardziej czynna część floty.

Po pokoju Brzeskim i okupacji Finlandji przez Niemców zachodziła obawa, że okręty wojenne rosyjskie staną się łupem niemieckim, lub że się ogłoszą za jednostki niepodległe i będą szukały szczęścia na własną rękę.

Otóż tak się nie stało jedynie dzięki ówczesnemu dowódcy bałtyckiej floty wojennej — komandorowi Szczasnemu.

Nieznane mi są okoliczności, w jakich zdołał Szczasnyj zmusić do posłuszeństwa swą flotę; może poprostu chęć powrotu marynarzy do domu odegrała rolę decydującą. Dość, że jakiegoś chmurnego, ponurego dnia zimowego (listopad czy grudzień 1918), poprzedzana łamaczem lodu, zawitała do Kronsztadu cała flota bojowa bałtycka, którą prowadził Szczasnyj. Zawitała do uszczuplonych już teraz granic morskich, bo granica była tuż pod Kronsztadem.

Wrażenie powrotu floty było znaczne.

Powracająca flota miała jednak zabarwienie polityczne niepewne. O ile marynarze na wielu statkach byli zbolszewizowani, o tyle oficerowie byli wrogo usposobieni dla władzy bolszewickiej. Bolszewicy więc za wszelką cenę musieli tę flotę opanować, aby się jej nie obawiać i aby ją mieć jako swoją siłę. A więc tego zbyt samodzielnego Szczasnego, którego się mogli w przyszłości obawiać, aresztowano. Wytoczono mu pod jakimś błahym pozorem proces— i stracono. Z nim razem jeszcze paru dzielniejszych oficerów.

Tak uczciła Rosja swego bohatera, który ocalił całą flotę z rąk nieprzyjaciela i przyprowadził do kraju.

Od tego czasu flota stoi w Kronsztadzie, w Petrogradzie i na Ładodze. Niema dokąd i niema pogo się ruszać; stoi więc przy brzegu, rdzewieje i ginie.

Tylko dwa dreadnoughty: »Petropawłowski« i »Sewastopol«, oraz nowe torpedowce typu »Nowik« są podtrzymywane i są do użytku. Stoją w Kronsztadzie.

Od tego też czasu cała ta flota odgrywa rolę we wszystkich ruchach Kronsztadu.

Polacy w Kronsztadzie.

Słów parę o Polakach w Kronsztadzie w okresie wojny i rewolucji. Nie wiele wprawdzie mam do powiedzenia. Przed wojną, jak już mówiłem, było tam z inteligencji zaledwie kilka osób. Łączności żadnej pomiędzy nimi nie było. Nadto, byli to ludzie w znacznej mierze zruszczeni. Jediną widomą łącznością były wizyty miejscowego zakrystjana przed wilją z opłatkami, który zbierał na kościół.

Śród garnizonu, głównie artylerji, Polaków było sporo, coś do 2000. Oczywiście jednak żadnej śród nich organizacji narodowej przed wojną być nie mogło.

Wojna mało co zmieniła. Natomiast z przyjściem rewolucji zachodzą zmiany. I oto śród garnizonu powstaje organizacja P. P. S. z klubem »Promień«. Przyciąga ona pojedyncze jednostki i z pośród oficerów Polaków. Przypominam sobie, że było ich dwu: radjotelegrafista porucznik Sawicki (dziś jest w Polsce) i jakiś jeszcze inny, nawiska nie pamiętam.

Z wojną przybyło paru inteligentów i pół-inteligentów, a więc: aptekarz warszawianin p. Załuska przydzielony do wojska; bankowiec p. Prosper Szmurło, dziś dość znany spirytysta warszawski, i paru innych, przeważnie drobnych urzędników. Powstał w tym czasie jakiś komitet dobroczynny, ale ani jego działalność, ani działacze nie są mi znani. Zdaje mi się, że działał bardzo krótko i powstał już za bolszewików. Roli w każdym razie żadnej tam nie odegrał.

Ani te organizacje jednak, ani poszczególne osoby nie stworzyły żadnego ośrodka życia polskiego w Kronsztadzie. Bowiem wszyscy Polacy pragnęli jedynie już teraz powrotu do kraju i w tym kierunku czynili wszelkie wysiłki. Pod tym względem najwięcej zrobił p. Załuska, który dzięki swym stosunkom niemieckim zorganizował i wywiózł z Kronsztadu do kraju eszelon ze 100 zgórą Polaków szeregowców (byli tam zdaje się i jacyś jeńcy cywilni). Eszelon ten wyjechał 11.VI 1918 r. Po nim zaczęła się sporadyczna ucieczka Polaków już w pojedynkę.

Dzięki temu aptekarzowi p. Załusce był wysłany adres do Rady Regencyjnej od polonji kronsztadzkiej, a również udaremniiony protest tejże kolonji z racji uwięzienia Józefa Piłsudskiego w Magdeburgu.

Wyjazd szczęśliwych działa na pozostałych, wzmaga tęsknotę.

Po nieudanej mojej próbie wyjazdu zorganizowałem naukę polskiego i historii Polski wśród pozostałych. Miałem coś około 12 chętnych. Prócz żołnierzy, którzy mówili po polsku, zaczęli się zgłaszać różni ludzie o polskich nazwiskach, lecz tacy, co to albo nigdy po polsku nie mówili, lub zapomnieli.

I w nich również obudziła się krew polska.

Do uczni moich należały również dwie siostry zabitego później (w r. 1919) kapitana Budkiewicza. (Ojciec ich, Polak, żonaty z Rosjanką, rodzina — rosyjska). Niektórzy myśleli, że te wykłady moje ułatwią repatriację do kraju. Musiałem ich rozczarowywać.

Niestety, te wykłady, gratisowe oczywiście, nie zebrały znaczniejszej paczki ludzi... bo to się wszystko wciąż rozpełzało. Dziś wyjechał jeden, za tydzień — drugi i t. d. Zbierało się to raczej dla spędzenia paru chwil w atmosferze polskości. I to już było dobre.

Ostatnia wilja w Kronsztadzie.

Lato więc i jesień r. 1918 wypompały z Kronsztadu i tę trochę inteligencji, która tam była. Zostali żołnierze, robotnicy, trochę niższego personelu z biur i warsztatów i kilku oficerów marynarki.

Czując się jako rozbitkowie, wszyscy na wylocie, zdecydowali spędzić razem zbliżającą się wilję (r. 1918), wilję, jak mniemali wszyscy, ostatnią na obczyźnie. Mnie zaprosili na prezesa. Niewesoła ta wilja wyglądała. Nie wszyscy się ze sobą znali, bo i różnice społeczne między biesiadnikami były znaczne. I rola moja nie była ani łatwa, ani wdzięczna, gdyż znalazłem się w tem towarzystwie po raz pierwszy.

Jeden tylko temat mógł wszystkich złączyć... bliski wyjazd i odrodzenie kraju. Od tego też i zacząłem.

Mówiłem, że jedziemy wszyscy do domu ojczystego, do kraju, który przetrwał półtorawiekową niewolę... Mówiłem o tym narodzie, który jak dobry żeglarz, choć w małej łodzi płynąc, nie utonął... Mówiłem o tej iglicy magnesowej z »księgi narodu polskiego«, o tych trzech okrętach z pijaną załogą, która iglicę zatraciła i o tej małej łodzi z iglicą...

No i jakoś się sklepiło. Były jeszcze i inne przemówienia, mniej więcej chaotyczne, domowe, no i cieplej się nam zrobiło. Bo i gdzież się nie porozumie ze sobą garść Polaków na obczyźnie... z tęsknotą w sercu do swego kraju... cokolwiekby ich dzieliło.

Skończyła się skromna uczta. Rozchodzą się biesiadnicy... Jeden z gospodarzy podchodzi do mnie i powiada:

»Pani przyesi, nieprzyjemny wypadek! dźwie cziapki skradli: baraszkową i karakułową!« —

To było zakończenie.

Niezła iglica! pomyślałem.

Podróż argonautów po złote runo, czyli wycieczka aprowizacyjna z Kronsztadu.

Petrograd posiadał rynki, gdzie można było coś kupić za pieniądze, gdzie kwitł pół-wolny handel, tolerowany przez bolszewików. Można więc było zaopatrzyć się w to i owo za drogie pieniądze.

Kronsztadt rynków takich nie posiadał. Tu panowała czysta doktryna... i tylko system kartkowy. Żadnych kompromisów. Nawet

pudełka zapalek ponad kartkę dostać nie było gdzie. Zaopatrywano się tylko w chleb, o ile kto miał wielkie stosunki... w piekarniach. Ustaliłem takie stosunki (oczywiście za pieniądze) i miałem raz na tydzień dwukilowy bochenek. Ale to już dopiero w r. 1919, kiedy zmądrzałem i rozejrzałem się w sytuacji. Po wszystko inne trzeba było jeździć na łąd. Jedno tylko nam ułatwiono w Kronsztadzie: dano związkom, a więc i naszemu, teren ogrodniczy, który sami uprawialiśmy i który nam na jesieni dawał trochę kapusty, ziemniaków etc. Niedużo jednak... tak na jakieś dwa miesiące.

Związane to było z dyżurami dziennymi i nocnymi na jakiś miesiąc przed zbieraniem plonów. Bo chociaż własność prywatna jest obecnie zniesiona, to jednak amatorów jej w czasie głodu jest więcej, niż dawniej. Teren nasz leżał o 3 kilometry za miastem.

Jak ślicznie czasem wyglądało niebo w takie nocne dyżury! Bardzo lubiłem patrzeć na gwiazdy. Usiłowałem ustanawiać kontakt telepatyczny ze wszechświatem. Bez skutku niestety. Chociaż czułem w sobie jakieś uczucie kosmiczne; czułem się obywatelem nie tylko tej ziemi, lecz całego tego iskrzącego się wszechświata.

Ładne również było wynurzanie się fortów kronsztadzkich z mgły porannej.

No tak, ale tą odrobiną chleba, kapusty, ziemniaków żyć nie można. Potrzeba tłuszczów, cukru, mleka dla dziecka, mięsa etc. Po wszystko trzeba jechać! No i jeździło się do Petrogradu. Ale na Petrograd szło dużo pieniędzy, więc nie często można było sobie na to pozwolić, jakkolwiek kupowało się mięso już prawie wyłącznie końskie. (Tak zwane »i - ho ho!«) I jadło się w śmiertelnym strachu, gdyż tu i ówdzie była nosacizna! Gazety podały pewnego razu wstrząsający epizod. Oto do pewnej szkoły przywieźli szkapę, która padła na nosaciznę, czy też zabita była z racji tej choroby. Dzieci wszystkie zachorowały na nosaciznę. Zamknięto je więc w podwórzu, do okna wsunęli kulomiot i... wystrzelano wszystkie dzieci!... by zarazy nie puścić dalej. Jedliśmy więc »i - ho ho«, mając wciąż przed oczyma tę scenę. Ale trudno: wołowina kosztowała prawie trzy razy drożej.

Wobec drożyzny w Petrogradzie i ambarasowności komunikacji szukaliśmy produktów bliżej, na brzegu oranienbaumskim, i już nie za pieniądze, tylko na wymianę. Wogóle, prócz stolic, wszędzie w Rosji ustalił się handel wymienny, który prędko nauczył wszystkich geografji ekonomicznej. Rozpoczęła ten handel wieś, która

przestała brać pieniądze za produkty, gdyż w mieście za nie już nie można było dostać z tego, czego wieś potrzebowała. A produkty aprowizacyjne do miast szły właśnie ze wsi.

Wszyscy w krótkim czasie dowiedzieli się, gdzie co jest i czego gdzie potrzebują.

Otóż jechało się, lub częściej szło się piechotą po lodzie (w ziemi) do Oranienbaumu i dalej — do wiosek, jakie 10-12 kilometrów. Niosło się ze sobą wyłącznie papierosy, machorkę, rzadziej sól, gdyż tej w okolicach mało potrzebowano. I szukało się mleka, bo nic więcej u chłopów pobliskich nie można było dostać; chleba sami mieli mało. Chociaż przy dobrych tranzakcjach dawali kartofle, a nawet i chleb. Z tych okolicznych wiosek baby przed rewolucją same przynosiły do Kronsztadu mleko. Teraz stosunek się zmienił, ponieważ ludność miejska bardziej potrzebowała. Poco więc chłop miał się fatygować, kiedy pan sam szedł do niego i jeszcze mu niósł. A ten chłop przebierał: tego nie chcę, tego nie potrzebuję, a niech pan następnym razem przywiezie to a to. I to mleko dał, albo i nie dał. Jak mu się gatunek papierosów nie podobał, to i nie dał.

Jak się szło w tamtą stronę, to chociaż na zatoce zawsze jest wiatr i jest zimno, jednak człowiek, idąc prędko, nie bardzo chłód odczuwał, zwłaszcza gdy droga była dobra: nie było śnieżycy lub odwilży. Chociaż dwie olbrzymie butle od spirytusu dyndały rytmicznie, zawieszane w workach płóciennych przez plecy, i to dyndanie przeszkadzało iść szybko i męczyło. Z powrotem było jednak gorzej, bo niosło się teraz mleko, a więc dodało się jakie 8-10 kilo wagi. Dyndanie butli i ich ciężar strasznie męczyło; nie można było iść prędko, aby się mleko nie zbijało; nogi nieco zmęczone odczuwały teraz każde $\frac{1}{2}$ kilometra i poprostu wrastały w ziemię; nadto i czas zawsze miał się już ku wieczorowi, więc i drogę trudniej odróżniać.

Oczywiście, że takiej wycieczki nie można było robić częściej, jak raz na tydzień lub na dwa tygodnie. Bo też i siły przy niedojadaniu wyczerpywały się. A i wogóle nie każdy się decydował na spacer 30-kilometrowy jednego dnia. Bo zresztą taka wycieczka nic prócz mleka nie dawała. Wreszcie, jak ktoś zaprowadził w Kronstadtzie kozy, to tych wycieczek zaniechałem.

Zdarzyła się natomiast wiosną r. 1919 inna okazja — zaopatrzenia

się w ziemniaki, rybę wędzoną i soloną, chleb etc. w miejscowości nieco dalszej. Mianowicie — w zatoce Łuskiej.

Niestety, wobec trudności komunikacji, okazja taka zdarzyła mi się raz tylko jeden. Komunikacji pasażerskiej z tą okolicą wogóle nie było.

Zato wycieczka ta była i obfita w rezultaty i czarująca pod względem turystycznym. Jestem urodzonym włóczęgą, i dla mnie ta wycieczka nawet i w tych ciężkich warunkach i czasach była miłą rozmaitością. Był koniec maja r. 1919. Dowiaduję się któregoś dnia, że z Kronsztadu ma wyruszyć duży morski holownik z 2 lichtalami (duża zakryta barka) po drzewo do zatoki Łuskiej, do ujścia rzeki Ługi. Jest tam nieduża przystań, do niej właśnie przybijemy. Kapitan holownika jest znajomym jednej z nauczycielek ludowych, która właśnie daje mi znać o wyruszeniu. Natychmiast organizuję ekspedycję. Skład nieduży: ta nauczycielka, ja i jeden nauczyciel ludowy, były seminarzysta duchowny, człowiek młodszy.

Raniutko, o świcie, jesteśmy już na holowniku, w przewidywaniu dobrych łowów w tej odległej i bogatej okolicy, położonej daleko od kolei żelaznej, a więc jeszcze nie zupełnie wyczerpanej; i w przewidywaniu rozkoszy podróży. Na statku tylko załoga. Kapitan uprzejmie oddał nam do dyspozycji swą kajutę, zostawiając dla siebie tylko alkowę.

Pogoda jak na zamówienie! Omijamy »Tołbuchin majak« (latarnia morska). Zaczyna się lekka fala. Panienska nasza długo nie wytrzymała i po półgodzinie mocnej ze sobą walki z pokładu »jedzie do Rygi« i chowa się zaraz do kajuty.

Zostajemy na pokładzie we dwóch. Ja przeczornie ułokowałem się w środkowej części, około komina, gdzie najmniej kołysze. Seminarzysta tego nie zrobił.

Ale się przechwała. Powiada: »ot, co to znaczy mężczyzna!.. car prirody! Tamta nie wytrzymała, a mnie nie.« Jednak w kwadrans jakiś sam »jedzie« za panną. Od tej chwili, zwłaszcza jak zesliśmy na ląd, zagadywałem go: »Nu, czto, car prirody, kak wy siebia czuwstwujuetie?« Ja zaś tym razem szczęśliwie uniknąłem »jazdy do Łotwy«.

Po 3-4 godzinach jazdy widzimy wreszcie na lewo zatokę Łuską, która, jak gładkie lustro, odcina się cała od wzburzonej zatoki Fińskiej. Jest otoczona górzystymi brzegami i głęboko wklęsła.

Skręcamy na lewo i po chwili jesteśmy na gładziutkiej powierzchni i płyniemy jakąś godzinę już bez kołysania.

Tego dnia zwiedzamy tylko pobliskie okolice, chodząc przeważnie po wybrzeżu. Znaleźliśmy trochę ziemniaków i mały transport saki lekko wędzonej (w rodzaju drobnych sielaw). Pakujemy i saki i ziemniaki na statek. I sami lokujemy się do snu. Zatoka ku nocy — coś bajecznego! Łagodne wzgórza, otaczające ją, przybierają jakiś sinawy kolor, niebo odbija się w lustrzanej tafli wody... na wybrzeżu w kilku odległych punktach ogniki... dookoła, prócz nas, niema żywego ducha. Jesteśmy sami przed obliczem pięknej zasypiającej natury.

Łatwo przy odrobinie wyobraźni wpaść w złudzenie, że jesteśmy gdzieś daleko, daleko... na bezludnej wyspie.

Na rano umówiona była odleglejsza wędrowka po rzeczy smaczniejsze, a więc — masło, słoninę, lub kury. Trzeba było udać się do kolonii pół-fińskiej o 11 — 12 kilometrów odległej.

Droga szła początkowo w górę, niezbyt zresztą wysoką, dalej krzyżowały się jakieś drogi, potem wpadliśmy w olbrzymi las sosnowy, bór. Las tu i ówdzie był wyrąbany, częściowo — spalony. Droga w tych miejscach była twarda i iść było lepiej.

Po drodze omijamy śpiące jakieś, martwe jezioro, jakby zgubione w lesie. Na tem jeziorze znajdował się jakiś tajemniczy budynek... Druty telegraficzne, jakieś słupy z trupią czaszką, ostrzegawcze. Okazuje się, że jest to próbna stacja artylerji i torped.

Wreszcie trafiamy do dość zaniedbanej, lecz zamożnej jeszcze wsi. A że to w okolicach już bliskich były ruchy wojenne, a chłopci tutejsi już należeli do oddziałów »białych« i tu i ówdzie już ucierpieli, — więc są ostrożni i nieufni. Dowiedziawszy się jednak, że nie jesteśmy bolszewikami, podejmowali nas gościnnie. A więc po skończonej tranzakcji — rzecz oddawna niesłychana — częstują nas takim sobie przedwojennym obiadem! To — kmiotkowie!! A my, inteligencja, wpychamy, aż trzeszczy!

Zdobyłem u nich nawet trochę pieniędzy, t. j. bilonu srebrnego i miedziaków, czego w miastach już oddawna nie było widać.

Dużo od nich jednak nie zdobyliśmy, gdyż przez te okolice, jak się dowiadujemy, przeszły kilkakrotne rekwizycje. Wszakże coś niecoś niesiemy do domu.

Wracamy.

Śpieszy mi się jeszcze spotkać się z rybakami na wybrzeżu, jest szansa dostać jeszcze ryby, nawiasem mówiąc, bardzo smacznej. Panna nasza jednak już utyka, »car prirody« — również. Choć zaczynając drogę, opowiadał, jak to na wojnie zrobił 500 kilometrów piechotą.

Ja nie znoszę wolnego marszu, więc wciąż jestem daleko na przedzie, a potem do nich wracam. I tak sobie cyrkuluję. Widzę, że w miarę zbliżania się do brzegu moi towarzysze ledwo zipią. Aż już kiedyś byli blisko, nie mogę powstrzymać się od żartu, dość zresztą złośliwego; pytam tego »cara prirody« — »no, ileż pan tam w wojsku zrobił kilometrów?« Nie podejrzewając podstępu, z dumą odpowiada; »500!« — »No, mówię, więc teraz ma pan 520!«.

Wróciliśmy weseli, ładujemy, posilamy się. Ogółem cztery dni spędziliśmy w tem miejscu. Ostatniego dnia zrana idziemy na górkę do lasu. Zbieramy prześliczny różnokolorowy mech, zwilżony rosą... rozkoszujemy się pięknym widokiem, no i zupełnem odludziem...

Wracając, idziemy obok wąskotorówki artylerzystów, która łagodnym spadkiem schodzi na przystań. Stoi para małych platformek. Ja pakuje się na jedną, »car prirody« — na drugą i... jazda! Odbijamy się od ziemi i jedziemy. Wesolo! No i jeszcze raz! Za drugim razem było gorzej. Była tam jakaś brudna deska z gwoździami; źle leżała. Platforma na zatrzymaniu gwałtownie się wstrząsnęła, a ta deska z gwoździem — w sam raz mi na nogę; no i ten gwóźdź wlaź mi w nogę.

Wyłażę... ledwo wyłażę! Po chwili krew, dużo krwi. Podskakuje na jednej nodze... boli! Opieram się o towarzysza. A do statku z ówierć kilometra. Krwi upłynęło sporo. Jednak dowlokłem się. Pytam o wodę. Jest, ale tylko wrzątek. Załoga pije herbatę. Zadzieram spodnie, choć to przy pannie (wymówką jest to, że tylko na jednej — ranionej nodze), odwijam przyklejone krwią kalessony... rana, aż strach spojrzeć! czarna, duża. Jednak każda chwila droga, bo może być zakażenie. Biorę szklankę wrzątku, wylewam na samą ranę. Boli wściekle, aż oczy na wierzch wyłażą! Leję drugą i trzecią szklankę. Oczyściłem ranę. Znalazło się trochę jakichś gałganków dla opatrunku. Wreszcie jakoś tam opatrzone wspólnymi siłami. Kładę nogę wysoko, sam w pół się kładę, i jest mi już nie tak źle. Staram się nie myśleć o nodze, aby nie czuć ostrego bólu. W ciągu tych 4 godzin drogi powrotnej uspokoiła się rana. Nogi zresztą nie ruszałem. Dopiero jak przybyliśmy do przystani w Kronsztadzie, a trzeba było wysiadać, to poczułem. Nie mogę dotknąć ziemi tą nogą. Więc tak w pół »na barana« z tym towarzyszem pełnę na strome schody przystani; a tam dorożka, no i jak porcelanę wiozą mnie do domu.

Spuszczam moją zdobycz z wycieczki na łaskę tego towarzysza. Jakoś wkrótce i ją mi pakuje do mieszkania »car prirody«.

Parę dni wyleżałem jednak w domu, ale nic się nodze nie stało.

II-gi KRONSZTADT

13 — 15 czerwca 1919 r. jako ogniwo »białego« ruchu na Petrograd.

Od 14 maja zaczynają się operacje przeciwko Kronsztadowi i Petrogradowi. Są to operacje, które nieco później umożliwią marsz Judenicza na Petrograd. Operacje te wykonywają estońskie wojska Lajdonera, posuwające się dla zajęcia własnego terytorjum. Łączy się z estończykami »korpus północny« gen. Rodzianki i Judenicza, oraz partja Bułak - Bałachowicza (ta ostatnia najdalej; operuje gdzieś koło Pskowa).

Od tego dnia Kronsztadt wchodzi w sferę frontu.

Działa »Krasnaja Gorka«, wspierając ogniem swej artylerji wojska lądowe. Słyszymy odległą kanonadę.

Znaczniejsze operacje miały miejsce 18, 24 i 25 maja. Kronsztadt na własną rękę zarządza mobilizację. W ciągu paru tygodni następują jedna po drugiej aż cztery mobilizacje. Każdy związek zawodowy musiał wysłać określoną ilość »ochotników«. Brano tych, co się nadawali fizycznie, losując, jeżeli zdatnych było więcej niż potrzeba. Szczęśliwie wykręciłem się od wszystkich mobilizacyj. Od tych, które odbywały się w mojej obecności, obroniłem się paszportem Lednickiego; od tej zaś, która się trafiła w czasie mojego chwilowego wyjazdu do Petrogradu, przez to, że nie zostałem wylosowany. To też kawałek powodzenia!

Zaczynają sporadycznie już w maju, później — coraz częściej, codzień nawiedzać miasto aeroplany »białych« z fińskiego brzegu. Krążą na wysokości ponad dwa kilometry, — ledwo widać — i rzucają bomby. Prawda, od tych bomb szkody były znowu nie tak znaczne. Zenitówki morskie z dreadnoughtów biją do nich, lecz absolutnie bez skutku. Obsługa techniczna w tym okresie już mocno gorsza. Ciągłe zmiany wśród marynarzy, starsze roczniki idą do domu, a młodych źle uczą, i sami się nie chcą ćwiczyć. Nawet w łodziach wiosłowali tak, że obrzydliwość było patrzeć.

Czasem widać, jak taki ptaszek lata, a dookoła niego obłoczki szrapnelowe, lecz trafić weń nie mogą.

Miasto, narażone na działania wojenne, wspólnie z Sowietem zarządza ewakuację. Do tego komitetu zostałem delegowany przez związek nauczycieli, jako dawny naczelnik punktu ewakuacyjnego i autor planu cywilnej ewakuacji Kronsztadu.

To było właśnie najpotrzebniejszą dla mnie rzeczą należenie do komitetu ewakuacji, gdyż dawało mi możliwość samemu w każdej chwili i bez żadnych już formalności i pozwoleń wyjeżdżać z Kronsztadu.

W miarę napływania złych wieści z bliskiego frontu obostrzają w mieście stosunek do ludności cywilnej. W nocy z 24 na 25 maja zarządzono rewizję po całym mieście. Była i u mnie. Potem zaczęły się rewizje i na ulicach, znienacka.

25 maja, po rewizji akurat, przyjeżdża do Kronsztadu »sam« Zinowjew (Apfelbaum), ówczesny prezes »Siewiernoj Komuny«, — coś w rodzaju bolszewickiego generał-gubernatora petersburskiego okręgu. Petrograd już wtedy nie był stolicą, stolica została przeniesiona do Moskwy. Z pewnością rewizję tę zarządzono właśnie z powodu jego przyjazdu, a raczej bezpieczeństwa.

Przyjechał na mityng. Mityng, jak zwykle wszystkie mityngi letnie, odbywa się pod gołym niebem, obok soboru morskiego, na »jakornej płaszczadi«. Jest to sam środek miasta.

Zinowjew na mityngu próbuje wlewać otuchę, zachęca do walki. Mowi jednak rozwlekłe, szepleni, wrażenie sprawia mierne. Zły mówca. Zebrana na rozkaz publiczność i ci, co przyszli z ciekawości, zachowują się ospale, obojętnie.

Około 1-go czerwca z fortu »Ino« padły 3 pociski około laboratorium środków wybuchowych, czyli w najczulsze miejsce Kronsztadu. Mówiono przynajmniej, że z »Ino«, choć pewności nie mam.

Przy dobrym trafianiu skutek mógł by być przerażający. Albowiem w okolicach tego laboratorium było zebrano — podaję to podług słów fachowców — 24.000 pudów trytolu, kwasu pikrynowego i trinitrotolnolu (materiał wybuchowy dla torped pływających Whitehead'a). Fachowcy twierdzili, że jednoczesny wybuch tych materiałów spowodowałby zniszczenie całego miasta i zalanie całej wyspy wodą. Czyli w skutkach byłby taki, jak trzęsienie ziemi.

Wiedzieliśmy o tem i byliśmy w ciągłym strachu. Strach ten

zwiększył się jeszcze od chwili powstania »Krasnoj Gorki« przeciwko Kronsztadowi.

Co do ilości materiałów wybuchowych na samej wyspie Kotlin, też nie mam pewności, bowiem składy takich materiałów były i na brzegu Oranienbaumskim. Gdzie było, ile i gdzie więcej, nie wiem. W każdym razie ilości te wyrażały się w tysiącach i dziesiątkach tysięcy pudów.

W tym okresie na fortach zaczyna się antibolszewicka, czyli, jak ogólnie mówiono, kontr-rewolucyjna agitacja. W Kronsztadzie zorganizował się jakiś ośrodek akcji antibolszewickiej z oficerów i niewielkiej grupy inteligencji. Gruntem dla działania tego komitetu było niezadowolenie ludności z mobilizacji oraz ogólne, ukrywane oczywiście, radosne oczekiwanie zbliżania się wojsk »białych«, no i chęć powitania ich i połączenia się z nimi.

Jednak z przebiegu walki można sądzić, że albo zewnętrzne wypadki nieco przyspieszyły wybuch, i akcja przygotowawcza nie była zakończona, alko nieskoordynowany z ogólną akcją wybuch na forcie »Paweł I« zwrócił przedewszystkiem uwagę bolszewików i dał im jakieś nici spisku do rąk.

Dosyć, że akcja, mająca szanse powodzenia, spelzła na niczem i została przez bolszewików w całości sparaliżowana i zlikwidowana.

Przygrywką do akcji był wybuch fortu »Paweł I« w nocy z 10 na 11-go czerwca. Był to jeden ze starych fortów, jeszcze murowanych i wysokich, nie zaś jak nowe — ziemnych i płaskich. Wynurzał się z wody jak ciemna ponura skała. W pobliżu był inny fort tegoż typu, gdzie mieszkała dżuma. Było tam bowiem laboratorium dla hodowania bakterij dżumy i badań nad tą chorobą.

Wybuch odłupał jakąś ćwierć całego masywu. Sprawcy ponieśli śmierć na miejscu. Nie pamiętam, czy wykryto tu czyn rozmysłny, czy też stwierdzono poprostu nieszczęśliwy wypadek. Bo i to było również możliwe wobec braku fachowców i wobec abnegackiego traktowania rzeczy niebezpiecznych przez żołnierzy.

Efekt wybuchu: w mieście, wśród nocy, bo to godzina trzecia, słyszemy grzmoty... sześć — do siedmiu grzmotów, i jakby trzęsienie ziemi. I, co zatem, — łoskot rozbitych szyb w tych ulicach, które były pionowe do kierunku fali detonacji.

Natychmiast cały dom się obudził. Mobilizujemy się. Żonę z dzieckiem wyprawiam do znajomych, do rodziny pastora, o 3 kilometry dalej, do przystani, gdzie spędza resztę nocy. Sam wracam i cze-

kam do rana, bowiem dom nasz drewniany, więc mam różne obawy.

Następnego dnia transportuję rodzinę do Petrogradu z tem, by już Kronsztadt zlikwidować i na stałe przenieść się do Petersburga (nie mogę się odzwyczaić od starej nazwy).

Sam wracam.

Upłynęło 3 dni. Wczesnym rankiem 13-go czerwca, o godzinie jakiejś 7—8-ej, słyszymy odległą kanonadę, co zresztą nikogo nie dziwi i nie zwraca specjalnie niczyjej uwagi. Kanonada się zbliża. Po mieście snują się domysły, pogłoski, dość zresztą obojętne.

O godzinie drugiej p. p. zauważyliśmy nadzwyczajny ruch eszelonów wojennych z miasta do portu, wysyłanych na brzeg oranienbaumski.

Nagle, śród jasnego pogodnego dnia, o kwadrans przed trzecią — grzmot!... ale tak piekielny, że idąc właśnie wtedy z parku Pietrowskiego do domu, przystanąłem w niezwykłym zdumieniu.

Pytam przechodzące eszelony, — co to wszystko oznacza: i ten grzmot i ten ruch? Twarze ponure, złe. Powiadają: »skoro uznajecie« (t. j. wkrótce się dowiecie). Oglądam się, patrzę, ... a w odległości jakiegoś pół-kilometra dymy, hałasy, zamęt.

To spadł na ulicę Pietrowską w pobliżu domu gubernatorskiego pierwszy pocisk dwunastocalówki. Nie chodziłem już tam patrzeć.

Idę prędzej do domu, aby się potem z kimś doświadczoneym poradzić o sytuacji, czegoś się dowiedzieć.

Wkrótce dowiaduję się, że fort »Krasnaja Gorka« przeszedł na stronę »białych« i, skierowawszy swe kolosalne działa na Kronsztadt, zaczął z nim rozmowę telegraficzną.

Po chwili — nowa informacja, że załoga »Krasnoj Gorki« i fortu »Obruczew« (najsilniejszy w grupie północnej) powstała przeciwko Kronsztadowi i władzy Sowietów i drogą radjową zaleca Kronsztadowi poddanie się.

Sowieci Kronsztadzki, otrzymawszy tę propozycję od rana, o czem miasto jeszcze nie wiedziało, nie uląkł się i zarządził ze swej strony środki obronne. A więc wykorzystał parę godzin, które mu »Krasnaja Gorka« dała dla wykonania ultimatum, na transportowanie wojska na front przeciwko »Krasnoj Gorce«, a w porcie wojennym zmobilizował dreadnought »Pietropawłowski« i prócz tego baterję »Rif« na zachodnim cyplu wyspy. Bateria ta nie dorównywała wprawdzie »Krasnoj Gorce«, miała jednak dziesięciocalową artylerję »Kane«.

Ten pierwszy strzał, o którym była mowa, miał oznaczać, że czas podany w ultimatum, upłynął. Wkrótce potem Kronsztadt odpowiedział. Słyszymy naraz buchnięcie i tuż zaraz jakieś piekielne wycie, jakby całe powietrze z całego Kronsztadu wsysano do jakiejś wąskiej rury. Jest to dźwięk z niczem nieporównany. Potem gdzieś daleko — echo wybuchu. To odpowiedział »Pietropawłowski«.

Wkrótce się zorientowałem, kto kiedy strzela: kiedy Kronsztadt, a kiedy »Krasnaja Gorka«. Otóż kiedy było słycać naprzód to wycie, a wybuch potem, — to od nas strzelano. Kiedy zaś wybuch był odrazu, bez wycia, — to »Krasnaja Gorka«; bo wycie nie nadaża, oczywiście, za pociskiem.

Jeden ze starych pancerników »Andrej Pierwozwannyj« stoi daleko na morzu, w okolicach »Rifu«, bliżej do »Gorki« i też do niej strzela; artylerja jego jest w rodzaju »Rifu«. Wkrótce zaczyna strzelać do »Gorki« i »Rifu«.

Zaczyna się dość prawidłowa kanonada z obu stron i dość silna. Siły z obu stron prawie równe, może z niewielką przewagą na korzyść Kronsztadu. Artylerja »Krasnoj Gorki« jest jednotypowa dwunastocalowa ¹⁾, tak jak na dreadnoughcie i, zdaje mi się, armat tyle, co na dreadnoughcie. Tylko że jest utwierdzona na lądzie i grunt ma pod sobą stały, więc łatwiej celować, a więc trafiać może lepiej; natomiast dreadnought na wodzie kołysze się. Dlatego też bolszewicy nie wyprowadzili dreadnoughtu na morze, aby się nie chwiały, tylko trzymali go w samym porcie, gdzie fali niema. Nadto Kronsztadt miał jeszcze »Rif« t. j. 4 czy 6 (nie pamiętam dobrze) armat morskich dziesięciocalowych »Kane«, których zasięg ogarniał »Gorkę«; a nadto 2, czy 4 (też nie pamiętam) armaty 10 calowe »Andreja«. Obsługa jednak i na dreadnoughcie i na »Andreju« była już nowa i nieszczególna.

Kanonada trwa od 3-ej pp. do pół do szóstej — bez przerwy, t. j. 2½ godziny. To jest doprawdy kawalek emocji! —

Zwłaszcza, kiedy się zważy, że samo miasto jest przecie nieobronne, że pociski pękają na ulicach i w domach, a schować się absolutnie niema gdzie, uciec — również, bo dwunastocalówki »Krasnoj Gorki« sięgają na 3 kilometry za Kronsztadem.

Strzał od strzału co 2-3-4 minuty.

Od pół do szóstej do szóstej kanonada słabsza. O 6-ej ustaje. I przerwa trwa 45 minut.

Pociski padały i w mieście. Jeden — około naszego kościółka,

¹⁾ Zdaje się że nawet 13½", lecz nie jestem tego pewien.

dwa trafiły w podwórze szpitala morskiego, jeden w piekarnię morską, dwa padły na ulicy Cytadelskiej, o jakie sto kroków od mego mieszkania, tylko za domami; jeden na ulicy Sobornej.

To te, o których więcej mówiono, które narobiły więcej zniszczenia. Ogółem spadło na miasto 15 pocisków 12-o calowych. Są zabici (mówią o 4-ch) i ranni. — Są już i uciekinierzy ze zniszczonych lokali, którzy się zbierają i biwakują w gimnazjum realnem, gdzie też i ja od czasu do czasu przebywam, bo tam mury mocniejsze i są piwnice.

W przerwach, kiedy nie strzelają, chodzę oglądać zniszczenia. Coś potwornego!... Coś z Apokalipsy. Oto w pobliżu nas, w promieniu 500 kroków spadły dwa pociski. Jeden trafił w róg domu narożnego u wylotu wąskiej ulicy i wyrwał dwa piętra, w nich dwa mieszkania. Szczęściem były w tej chwili puste, i nikt z ludzi nie zginął; ależ same mieszkania!... Strach przypomnieć! Cała chudoba w drobnym gruzie rozleciała się na wszystkie strony.

Drugą pocisk trafił akurat w środek bruku niedużej uliczki. Otóż wyrwał w jezdni lejek takiej wielkości, że równiuteńko od domu do domu. Podchodzimy... niczem krater małego wulkanu. Można byłoby do tego lejka wpakować conajmniej pluton żołnierzy. A na całej tej uliczce, jak długa, ... jak śnieg na chodnikach — drobno potłuczone szkło, i dość gruba jego warstwa. Ani jednej całej szyby na całej ulicy, która ma $\frac{1}{2}$ kilometra długości.

Ludność w panice ucieka z domów na bulwar, lub na przystań Petersburską, aby w domach nie przydusiło rumowisko. Na ten bulwar Jekateryński i ja się skierowuję. Prosta bowiem kalkulacja mówiła, że tam musi być najbezpieczniej. W domach w całym mieście, oczywiście, jest źle, bo mur jest niczem dla dwunastocalówki. Gdzież może być bezpiecznie? Oczywiście tam, dokąd nie trafiają. Czy może być takie miejsce? A oczywiście. Bo kto strzela? — »Biali«. Czy »biali« będą umyślnie strzelać do soboru, który jest w całym mieście największym objektem i zdaleka błyszczą swą złotoną kopułą. Nie, nie będą. A jeżeli go będą omijali, więc ominą i wszystko to, co on sobą zasłania. A więc najbezpieczniej jest ulokować się na bulwarze na tyłach soboru.

Tak się i okazało.

I kiedy już się tam poczułem bezpiecznie, to powiedziałem i innym, którzy w panice do tej prostej myśli sami nie doszli. Zaczęło tam się zbierać z całego miasta ludzi coraz więcej.

I wkrótce do naszej paczki burżujów podsypali paru szpicli sowieckich. Natychmiast zaczynamy głośno łajać »białych«, że strzelają do bezbronnego miasta.

Ta okoliczność, istotnie, była przykrą. Objaśniła się jednak bardzo prosto. Bo »Krasnaja Gorka« strzelała do dreadnoughta »Pietropawłowski«, który stał w porcie, w południowej części miasta, więc pociski musiały trafiać i na miasto. Widocznem jednak było, że »biali« samo miasto oszczędzają.

Bolszewicy zaś może rozmyślnie nie wyprowadzali dreadnoughtu z portu, czy to w obawie, że dreadnought na morzu będzie gorzej strzelał i łatwiej zginie, (a w porcie go nie widać za innymi statkami i wszystko go broni), — czy to z chęci wywołania w mieście oburzenia na »białych« za bombardowanie, aby wygrać atut moralny i stworzyć przychylny dla siebie nastrój. —

Po 45-cio minutowej przerwie »Krasnaja Gorka« przez kwadrans bije w miasto. Potem przerwa pół-godziny.

Potem znowu 5 — 6 pocisków i znowu przerwa pół-godziny.

Znowu kilka strzałów i przerwa 20 — 25 minut. Wreszcie około pół do dziesiątej wieczorem kilka ostatnich strzałów, i zacięło.

Mija półgodziny, godzina, dwie... cicho. Puszczono pogłoskę ze źródła oficjalnego, że okręty rozbiły baterję »Gorki« i zapaliły na niej budynki (widzimy istotnie łuny nad »Gorką«), a wojsko ją otoczyło. I że sprawa zlikwidowana. Po chwili inna pogłoska, że na 4 godziny dana jest z »Gorki« przerwa z nową propozycją Kronsztaadowi poddania się, co sygnalizować mieli z »Gorki« ogniami.

Jakoż o wpół do trzeciej, kiedy już szedłem spać, kanonada wznowiła się i trwała z półgodziny. Znowu kilka pocisków spadło na wyspę. O pół do piątej jednak zasnąłem. Wstałem o pół do dziewiątej. Cicho. Pogoda śliczna. Niebo jasne. Powiadają, że sprawa zlikwidowana. »Gorka« milczy. Posłane, podobno, ultimatum już z Kronsztaadu na »Krasną Gorkę« z żądaniem poddania się w terminie do g. 11 rano.

Dowiaduję się tymczasem, że z eszelonami zabierają i cywilów, jadących urzędowo; zdecydowałem spróbować wyrwać się z Kronsztaadu. Ponieważ statki pasażerskie nie kursują, można jedynie skorzystać z okazji. O 12-ej ma odejść do Oranienbaumu od przystani Petrogradzkiej statek z wojskiem, Korzystam z dokumentu komitetu ewakuacji i pakuję się na statek.

Jeszcze statek nie odbił od przystani, jest mianowicie g. 11 m. 50, słyszymy pierwszy strzał z »Pietropawłowska«; ale dreadnought stoi

już nie w porcie, lecz wyprowadzony na morze, o jakieś 3 kilometry od portu. Wyprowadzono go może w zamiarze rozbijania »Gorki« z bliska. Upłynęło 2—3 minuty, słyszymy wybuch pocisków na mieście w rejonie portu. Spadło na miasto znowu 3—4 pociski. Kanonada trwa z przerwami 40 minut. Akurat tyle, co trwa nasza droga do Oranienbaumu. Całą drogę mamy obawy, by z »Gorki« nas nie zatopiono. I tak jestem rad, kiedy widzę, że głębokie miejsce jużemy przepłynęli, a mieliśmy od statku teraz tak blisko, że w razie potrzeby dopłynę.

Wreszcie dopłynęliśmy do Oranienbaumu. I aczkolwiek dowiadujemy się, że poprzedniego dnia »Gorka« biła i w stację Oranienbaum, aby nie dopuścić wojsk lądowych, to jednak od dłuższego czasu jest cisza, i my z tej racji oddechamy wolniej.

»Czerwona Gorka« wyrzuciła na miasto ogółem 100 pocisków 12-to calowych.

W Oranienbaumie czekam 3 godziny na pociąg okazyjny, rozkład bowiem normalny nie działa.

Tego dnia pod wieczór i w nocy (z soboty na niedzielę) »Krasnaja Gorka« bardzo energicznie bombarduje miasto. Bombardowanie trwa do 12-ej godziny w południe w niedzielę.

Wreszcie w nocy na poniedziałek »Gorka« została zlikwidowana. Zburzono tam pociskami wodociąg, elektrownię i inne techniczne budynki.

»Gorkę« zdobyto.

W dwa dni po zlikwidowaniu »Gorki«, w środę 18-go, Anglicy, jak mówiono, z łodzi podwodnej zatopili krążownik »Oleg« w okolicach »Tolbuchina majaka«. Czy to byli Anglicy, nie jest jednak pewne. Zatonąć mógł i z wielu innych przyczyn.

Po 2—3 dniach w nocy z soboty na niedzielę (z 21 na 22) słyszymy silną kanonadę na morzu od 4-ej do 6½ p. p. — ciężkimi salwami. W niedzielę latał aeroplan »białych« i rzucał bomby na »Pietropawłowski«, bez skutku jednak, uszkodził tylko jakiś mały torpedowiec, a dwie bomby spadły do wody tuż obok »Pietropawłowska«.

Po zdobyciu »Gorki« moc ludzi z załogi wymordowano. Wykryto organizatorów w Kronsztadzie, aresztowano, i zaczęły się masowe egzekucje. Został aresztowany, a potem stracony, i naczelnik arty-

lerji fortecy, mój gospodarz, kapitan Budkiewicz. Opowiadano że po areszcie osiwił w jedną noc, jak starzec. Wiedział, że śmierć pewna, gdyż, jak się okazało, był jednym z głównych organizatorów tego ruchu.

Epilog powstania był ponury.

Miejscowa inteligencja albo ucieka, idąc w moje ślady, albo... zmuszona do współpracy z bolszewikami, zdaje się na ich łaskę i niełaskę; trochę się nawet wysługując, jak za dawnych carskich czasów, przed władzą, która zmusiła do posłuszeństwa.

Ponieważ cały ten epizod powstania był dla mnie pierwszą sceną wojenną, której byłem świadkiem, przeto bardzo mnie zajął. Pilnie się przyglądałem i nawet dość akuratnie notowałem czas strzelania i pojedyncze wystrzały.

Przeniesienie się do Petrogradu.

Wybuch fortu »Paweł I«, jak już mówiłem, zmusił mnie natychmiast wyprawić żonę z dzieckiem do Petrogradu, gdyż doznali wstrząsu nielada.

Zostałem sam i zacząłem w szybkim tempie likwidować nasz dobytek, aby wreszcie skończyć z Kronsztadem. Wyprzedaję wszystko na gwałt i za bezcen, albowiem nawigacja przerwana na czas nieokreślony i wieźć graty do Petrogradu niema sposobu. A zresztą i niepotrzebne są mi one, przecież do Polski nie powiozę.

Została mi tylko biblioteka.

Spakowałem ją w drewniane paki... i zacząłem robić starania o przetransportowanie jej do Petrogradu. A nie było to bynajmniej zadanie łatwe. Działania wojenne przerwały komunikację pasażerską. Niewiadomo było, jak długo taki stan potrwa. Można było czasem i tylko okazjnie skorzystać z jakiegoś holownika i to... w nieokreślonym terminie wyjazdu i przyjazdu.

Jednak musiałem działać szybko. Bo już to, że dwa dni powstania »Krasnoj Gorki« spędziłem w Kronsztadzie sam, tułając się po mieście i »uciekając« od pocisków dwunastocalówek, — nie konieczne było przyjemne; a nadto jeszcze miałem zmartwienie: sowiet (»żiliszcznyj oddiel«), dowiedziawszy się, że zostałem w lokalu sam i wyprzedaję się, wpakował mi całą obcą rodzinę na sublokatorów.

Nie mogłem zbyt długo opierać się ich wprowadzeniu się, więc sam musiałem wynosić się jaknajprędzej, żeby nie mieć narzucanego i nie koniecznie milego sąsiedztwa. Już byłem zmobilizowany i całkowicie gotów do wyjazdu. Brakowało tylko statku.

Aż tu pewnej nocy wskakuję! Łomot, huk, dźwięk szkła tłuczonego, trzask rozrywanych belek i desek... i echo! Oprzytomniałem w mgnieniu oka. Pierwsza myśl: czy już umarłem, czy jeszcze żyję? Niewątpliwie żyję! (Choć wypadł wtedy z głowy Descartes).

Noc. Puste 6-cio pokojowe mieszkanie. Sam. Łuna w oknie, ogień... ludzkie głosy, krzyki nieprzytomne! Piorunem ubrałem się. To znaczy na gołe ciało spodnie, buty i kurtkę. Tylko chcę wyjść na zwiady, aż do moich drzwi gwałtowne dobijanie się.

Otwieram i... zdebiałem! kobieta!... obca i prawie naga! Na koszulę narzuciła palto, lecz bosa... Krzyczy: »Spasitje!«, t. j. bym ją ratował u siebie. Nie wiem, możebym i ratował ją u siebie, gdyby była ładniejsza. Uspokajam ją, jak umiem. Powiadam: »Niech się pani zastanowi—oto wybuch był, ale już go nie ma. Dom stoi i nie wali się, ale jest drewniany, więc jak nowy pocisk trafi, to tu będzie jednakowo źle, jak i nademną, skąd ona zesła¹⁾. A proszę iść do suterren, one są murowane i sklepione. To tam pani nie grozi,

Uspokoilem.

Wychodzę i cóż widzę! Bomba z aeroplanu spadła na dom sąsiadów w odległości od naszego o jakie 10 kroków (tylko że za niską ścianą murowaną) i rozniosła go na drzazgi. A w naszym mocno nadwyreżyła całą ścianę i wszystkie okna z tej strony potłukła²⁾.

Nie, tego już dosyć! Tego już stanowczo dosyć! Więcej nie wytrzymam. Pal was djabli z tą rewolucją!

W parę dni potem, dzięki wszystkim «protekcjom i stosunkom» w sowiecie, w drodze wyjątkowej łaski dali mi na przetransportowanie biblioteki mały holowniczek, taki, jakie kursują na rzekach

¹⁾ T. j. od Budkiewiczów. To jacyś nowi sublokatorzy, których tam wpakowali po zamordowaniu kapitana B.

²⁾ Aeroplany »białych« codziennie prawie, już w ciągu dwóch miesięcy, latały nad miastem, przylatując z Finlandji. Ludzie się przyzwyczaili, ofiar dużo nie było.

i przewożą barki z towarami. Nie wydał mi się on bardzo bezpieczny. No, ale lepszy rydz, niż nic! Perspektywa oczekiwania żeglugi normalnej nie uśmiechała mi się.

Cała «podwoda» (wóz ciężarowy), naładowana 8 olbrzymiemi pakami, zajechała do przystani, i bez wypadków, o które jednak było wtenczas łatwo, paki moje załadowano na holownik.

Odbijamy od przystani i wypływamy na zatokę, na tę »Markizową łuzę«.

Jakże byłem wreszcie szczęśliwy! Z jaką ulgą westchnąłem. Tak prawie, jak człowiek wypuszczony z więzienia. Bo też cały Kronszadt w tych warunkach, jako wyspa, był w istocie dla wszystkich więzieniem.

Petersburg — to w każdym razie miasto miljonowe, połączone ze światem. Choć rewolucja, ale tam raźniej i spokojniej poszczególnemu człowiekowi.

Wypłynęliśmy. Już Kronszadt coraz dalej i dalej...

Już widać tylko kościoły i kominy fabryczne...

Czuję wyraźnie, prawie fizycznie, że tam byłem, ale już nie będę. O ile potężniej czuję życie!

Wyzwolenie! wreszcie — wyzwolenie!

Zatoka cała jak martwa, gładziutka i spokojna. Jak okiem sięgnąć — pusto. Nasz holownik jest na niej jedynym statkiem.

Nastrój pogodny, beztroski... płyniemy sobie, gawędzimy. Załoga składa się z 6 ludzi. Mam dla niej na poczęstunek papierosy.

Ujechaliśmy mniej więcej połowę drogi... i nagle stanęliśmy.

Nic złego nie przeczuwając, pytam, co się stało?

Starszy z wielkiem zakłopotaniem powiada, że... niestety, wiadomo, czy dalej pojedziemy, gdyż oto teraz takie porządki, że stara doświadczona obsługa rozbiegła się, a bolszewicy biorą każdego, kto się zgłasza, bez wyboru, — czy zna się, czy nie zna na rzeczy. I oto palacz i mechanik są nowi, a łobuzy. Napsuli coś i czegoś niedopatrzyli. I teraz, niech ich cholera, woda wdziera się do statku, i jeżeli jej nie zatamujemy, to dojdzie do pieca i maszyny, i nie można ręczyć za nic. Coś w tym guście, dobrze nie pamiętam, bo jak tylko zaczął mi objaśniać, zrobiło mi się zimno!... pomimo upalnego dnia, i dalej nie rozumiałem, co mówi.

Jesteśmy w środku zatoki. Do Kronszradu i do Petrogradu po

10

jakieś 14 — 15 kilometrów, a do bliższych brzegów — po 8. I na całym widnokregu ani jednej łodzi! Pływam wprawdzie, lecz nie wiem czy przepłynę i pół kilometra.

No, skończone! — myślę. Zdechnę ja i pchły moje, jak mówił Zagłoba. Psiakrew! Poto wyjechałem wreszcie z Kronsztadu, by w tej kałuży marnie zginąć! Nie, to niemożliwe!

Przypomniał mi się Cezar i jego »Caesarem vehis!« do przewoźnika. I pomyślałem, że zginąć nie mogę. No, bo jakże!...

Jestem jakby w odrętwieniu. Upływa kwadrans, i drugi... i trzeci... Cała załoga pracuje nad naprawą.

Upłynęła godzina.

Wreszcie!... och, wreszcie... ruszyliśmy!! Pomalutku, powolutku.

I kiedy już ukazały się mielizny pod Petrogradem, myślę: no już teraz nic; gdyby coś znowu, to do mielizny dopłynę. A zresztą, tu już i łodzi dużo i rozmaite drobne statki. Pięć godzin zużyliśmy na przejazd, na który normalnie wypada 1½ godziny.

Holowniczek dobił do brzegu przy gmachu akademji nauk, a załoga pomyślnie przetransportowała ciężkie paki do betonowych schronisk w nowym gmachu biblioteki akademji, gdzie przeleżały 11 lat. Wdzięczność moja dla załogi nie miała granic. Wytrząsałem »towarzyszom« ręce, klepałem po ramieniu, zapłaciłem, dałem machorki i papierosów i... pożegnałem, jak ostatnie echo zmrzy kronsztadzkiej.

Petersburg i Witebsk.

W Petersburgu zaczynam robić starania, aby się dostać do pasa przyfrontowego, aby przy dobrej okazji dać nura do kraju. Przyznać należy, że inteligencja rosyjska ułatwiała to nam Polakom, jak mogła, przez rozmaite »komandirowki«. —

Żył jeszcze wtenczas profesor Uniwersytetu Szachmatow (były mój profesor zarazem), człowiek wyjątkowej zacności. On to mi przyjął na przechowanie do akademji moją bibliotekę, jako szef II-go wydziału akademji (sławiano-russkoe otdielenje), on również dał mi polecenie (»komandirowka«) od akademji nauk dla badań w dziedzinie folkloru białoruskiego i archeologii. Miałem więc prawo wolnego poruszania się w pasie przyfrontowym, w pasie ruchu wojsk bolszewickich.

Obrałem sobie na początek, jako »kwaterę główną« — Witebsk, jako miasto większe, gdzie łatwiej o wszelkie informacje.

W Witebsku nawiązałem kilka znajomości. A więc przedewszystkiem z rektorem filji Moskiewskiego Instytutu Archeologicznego p. Bolesławem Breżgo, Polakiem, od którego doznałem dużo uprzejmości i dużo serca.

Filja ta była miejscowym ośrodkiem prac i historyczno-archeologicznych, i folkloru. Ten instytut niebawem zaprosił mnie na docenta, a później dał katedrę filozofji dziejów, ułatwiając w ten sposób nadzwyczajnie mój pobyt w pasie przyfrontowym. A gdy ten pobyt do głównego mego celu nie doprowadził, to dawał mi wszakże bajeczne źródło aprowizacji.

Poznałem, dalej, pewnego inżyniera Polaka, który pracował w miejscowym sownarchozie (»sowiet narodnawo choziajstwa«), a siedział w Witebsku po to samo, po co ja tam jeździłem. Spotykałem prawdę tego inżyniera i w Petersburgu, lecz tu go poznałem bliżej. Próbował on z kimś jeszcze urządzić przejście na stronę polską, z czego mogłem i ja skorzystać. Jednak już krótka znajomość przekonała mnie, że jest to indywidualum tak ubogo wyposażone od natury, że mógłby wsypać wszystkich. Aczkolwiek, jak to się mówi, — poczciwy z kośćcami. Krótko mówiąc — poczciwy dureń. Nie ryzykowałem więc wiązać swego losu z jego głową. Szukałem zatem innych dróg. Nie znalazłem jednak.

A nadewszystko nie miałem możności osobistego zbadania terenu.

Uwaga bolszewików była tam zbyt obostrzona.

Poznałem jeszcze kilku Polaków i z rodzinami, a w tej liczbie dwóch nauczycieli gimnazjalnych (z nich jeden już jest w Warszawie). Wszyscy oni czekali okazji przejścia na stronę polską.

Malowniczy, cudowny jest Witebsk!

Te starożytności polskie, te kościoły barokowe, choć przez Moskali popsute i zniekształcone... te urwiska i wąwozy... Dzwina, cmentarz z 17-go wieku etc.

Poznałem Witebsk w przesłicznej szacie zimowej, śnieżnej, jak i w kwieciu wiosennem. Niestety, okoliczności przyćmiewały urok poezji, a i czasu zresztą na rozkoszowanie się nie miałem.

Miał zresztą dla mnie, jak już rzekłem, Witebsk i powszedniejsze znaczenie, nawet całkiem powszednie, mianowicie — był moim karmicielem.

Jako profesor szkół akademickich i pracownik naukowy otrzy-

mywałem w Petrogradzie deputat dla uczonych — »uczonyj pajok«, który powstał dzięki Maksymowi Gorkiemu. (Prawdziwe nazwisko: Aleksiej Pieszkow) [»KUBU«]. «Pajok» ten zawierał między innymi rzeczami — papierosy, machorkę i dużo soli. Ponieważ nikt w rodzinie nie pali, a soli w Petrogradzie dużo i jest bardzo tania, więc zabieram te rzeczy do Witebska. Tam na rynku (jakże bogatym w porównaniu z petersburskimi), gdzie dzięki żydom kwitnie wolny handel (nie tak jak w Petersburgu tylko tolerowany, z częstymi rekwizycjami na rynkach, czyli zwykłą grabieżą) — kupowałem kury, kaczkę, masło, słoninę, kielbasy, chleb etc. etc, płacąc za najlepszą kurę 2—3 funty soli! lub odpowiednią ilość papierosów, albo machorki.

Miejscowy sowiet dawał nam, przyjezdnym profesorom, prawo wywiezienia jednorazowo 2 pudów produktów żywnościowych. Z takim glejtem już nie mogli nam tych zapasów odebrać (!) w drodze. Bo trzeba sobie uprzytomnić, że wtenczas istniały tak zwane »zagraditielnyje otriady«, które zabierały wszystkie produkty u pasażerów na kolejach, o ile pasażer nie miał pozwolenia na przewóz produktów (!!!). Miało to niby na celu zapobiec spekulacji.

Miałem więc w ten sposób dwa deputaty: w Petrogradzie i w Witebsku, i mogłem dożywiać rodzinę.

Jakiż smaczny w Witebsku chleb razowiec!... w okrągłych dużych bochenkach. A mleko!... a śmietana!

Śmietana — to cały poemat! Jak tylko przyjeżdżałem do Witebska, natychmiast szedłem na targ (są tam aż trzy targi), kupowałem u baby (prosto ze wsi) garnek śmietany mniej więcej czterolitrowy i zjadałem to w domu z cukrem - krysztalem w ciągu jakiejś pół godziny.

Zatrzymywałem się zawsze w lokalu Instytutu, który się mieścił w dawnym klasztorze po-jezuickim, dziś — siedzibie miejscowego władcy — biskupa prawosławnego, który, zresztą, zajmował za bolszewików jakieś odległe 2—3 pokoje tylko.

Jest to sam środek miasta.

Pokój mój była to jedna z dawnych cel klasztornych, obszerna, o niskim krzyżowym sklepieniu. Okno wychodziło na duży ogród owocowy, otoczony zewsząd murem.

Cisza... Cisza prawdziwie klasztorna.

Można było wieczorami zapomnieć nie tylko o tem, że to jest rewolucja, ale i o tem, że to jest Rosja i wiek XX... Myśl leciała

gdzieś za dawne szlaki, ... ożywały korytarze klasztorne ... prze-
suwały się po nich cienie dawnej Polski, Polski Batorego i So-
bieskiego. —

Dużo ciekawych i miłych chwil (pomimo wszystko) przeżyłem
w Witebsku. Zwłaszcza, kiedy zjeżdżało prócz mnie kilku jeszcze
przyjezdnych profesorów. Czasem ktoś z Moskwy, ktoś z Char-
kowa, nawet z Kazania. Rozmowy takie serdeczne, miłe... a na-
dewszystko — swą kulturalnością odrywające od błota i chamstwa
rewolucyjnego.

Kiedy byłem pewnego razu w lutym, czy marcu już r. 1921
w Witebsku, a był tam podówczas rektor instytutu, centrali Mos-
kiewskiej, profesor Uspienski, powiadam mu, że zaprosili mnie do
Astrachania na Uniwersytet, że będę musiał tam pojechać latem
i zobaczyć, co tam jest i czy warto przyjąć. Powiada mi na to:
»Wot i czudiesno! zajęzżajte po-puti w Taszkient, my tam nowoje
otdierenje otkrywajem«. To znaczy, abym tam też wykladał mój
przedmiot. Niezłe państwko, pomyślałem: do Taszkientu z Astra-
chania ma być »po-puti« (po drodze)... jakieś tam 2000 kilometrów.

W tym okresie (lata 1919, 20, 21) co młodszy profesorowie poszli
w nasze ślady, stając się »rejze profesorami«. — Taki rejze - profesor,
czyli profesor jeżdżący, miał kilka miast. Cyrkułował między nimi.
Tydzień - dwa wyklada jakąś całość w jednym mieście, potem je-
dzie do drugiego, potem do swej bazy. W końcu roku jechał już
na parę dni do każdego miasta na egzaminy. Ja miałem Petersburg,
Witebsk, Astrachań; jeden z moich kolegów — Moskwę, Witebsk,
Smoleńsk i Orzeł. Inni znowu — inne kombinacje; zawsze jednak
biorąc jedno - dwa miasta południowe w celach aprowizacyjnych.
Tak jeżdżąc, zdobywali »pajok« i przetrzymali głód najgorszy.

A starsi nie mogli jeździć, chorowali od głodu i jeden po drugim
wymierali. Przypominam sobie w tej chwili statystykę ubytku sił
profesorskich: w ciągu lat 1918 i 1919 w całej Rosji umarło około
500 (ściśle 486) profesorów i docentów. Prawda, że liczba ta obej-
muje i śmierć gwałtowną, a nie tylko od głodu. Są to dane, ogłoszone
w r. 1920 przez »Dom uczonych«, organizację, która wy-
dawała deputaty uczonym i profesorom, a mieściła się w pa-
łacu w. ks. Włodzimierza Aleksandrowicza (na »Dworcowoj na-
biereżnoj« cały blok od Newy do ul. Miljonnej).

Życie w Petersburgu w latach 1919—1921.

Jakże wyglądało życie w Petersburgu (Petrogradzie), to życie codzienne, które w epokach spokojnych nie wzbudza wielkiego zainteresowania. Rewolucja z tego życia codziennego zrobiła piekło. Piekło — również codzienne.

Jako skutek przewrotu bolszewickiego, ustała lub spadła prawie do zera produkcja wszelkich potrzebnych do życia rzeczy. Ustał i transport. Więc niema co jeść! Wszystko, co było przedtem w wolnym handlu, albo zarekwirowano (»nacionalizowano«), albo też przezorniejsi właściciele ukryli. Początkowo więc nic nie można było dostać za żadne pieniądze: ani chleba, ani mięsa, ani masła, ani butów, ani ubrania, — nic. Po pewnym jednak czasie ludzie trochę ochłonęli i przystosowali się, można już było przez znajomych od ludzi pewnych coś dostać za »wściekle« pieniądze, które jednak trzeba było mieć! Tak powolutku zaczyna się przesładowany przez bolszewików tajny handel, paskarski, który się wkrótce przenosi z mieszkań prywatnych na ulicę. I tu staje się również i zamiennym. Bo dawna burżuazja, stojąc całymi falangami przy rynkach i ulicach do nich prowadzących, często — na półkilometra w okolicy, tworząc żywe i długie ulice, — sprzedaje wszystko, co kto chce, kto co ma. A więc złote i srebrne rzeczy, naczynia, łyżki, zegarki, pierścionki, łańcuszki, krzyżyki od chrztu; a dalej: buty, bieliznę, ubranie, książki, drobiazgi rozmaite i t. d. I tu panuje prawo handlu: przedmioty nie mieszają się. Osobno stoi szereg ludzi z kosztownościami, a osobno z butami, a osobno z ubraniami, a osobno — z bielizną i t. d.

I po dokonaniu transakcji, tuż na rynku materiałów spożywczych (który ma wygląd stałego rynku, t. j. ma stałe miejsce i stały u każdego straganik), zaopatruje się w jedzenie.

Jednak oficjalnie handel ten dozwolony nie jest. Rząd robi komedję: udaje, że nie widzi tego handlu; a potem, nagle, niby zobaczył, — no i zabiera naraz wszystko co znajdzie, otoczywszy rynek, czyli robiąc »oblawę«. Jakaż żalonna i poniżająca odegrywa się przytem scena z tą burżuazją, sprzedającą swe graty! Przy pierwszych wiadomościach o zbliżaniu się »oblawy« całe setki i tysiące tych »żywych sklepów«, te stada — pierchają, jakgdyby byli zbrodniarzami, uciekają, idą do domu, lub kryją się w bramach.

Taki proceder z rynkami nazywał się rekwizycją. Po jakimś tygodniu jednak na tem samem miejscu rynek się odradza. Tylko że

ceny podniosły się już o 50%. Przecież kupiec musi sobie powetować rekwizycję i coś sobie liczyć za nowe ryzyko.

Więc w r. 1918 zaczął się głód. I to już od stycznia.

Żadnego dowozu zorganizować nie umiano. Rząd, co miał, dzielił w dawkach mikroskopijnych na całą ludność.

Ludność podzielono na 4 kategorie, w miarę ciężaru pracy. A więc I-a kat. — to wojsko i robotnicy, II-a — urzędnicy sowieccy, III-a — inteligencja pracująca (nauczyciele, artyści, literaci, palestra etc.) i IV-a — niepracujący burżuje. Więc, na przykład, jeżeli na kartkę I-ej kategorii dawano 1 funt chleba, to na kartkę II-ej — tylko $\frac{3}{4}$ f., III-ej — $\frac{1}{2}$ funta, a IV-ej $\frac{1}{4}$ f. lub również często i nic. Według zasady: »kto nie pracuje, ten niech nie żyje!«.

Wprowadzono system kartkowy (który właściwie istniał już od połowy wojny, teraz tylko rozciągnięty na całe życie) i rozdawano wyżywienie bezpłatnie. Ale z tego żyć nie można było. Miesięczna ilość wszystkich produktów kartkowych wystarczała na 3—5 dni normalnego jedzenia. Więc trzeba było szukać innych środków zaopatrywania się. I otu tu przemysłny żołnierz zdemobilizowany, który jeździł darmo po całej Rosji, którego nikt się nie waży pytać o bilet, zaczyna zaopatrywać miasta, prowadząc drobny handel na własny rachunek, lub częściej zaopatrując rynki wspomniane »wolnego« handlu, mając tam jakąś bliską osobę i wyposażając jej stragan. Jedzie taki z północy na Ukrainę, wiezie manufakturę, nici, igły etc. pieniądze, czy też rzeczy wartościowe... jedzie »do domu« z wojny. Na Ukrainie te rzeczy wymienia na mąkę, wędliny, masło, cukier etc. lub za pieniądze te kupi. Naładuje 2-3 worki (»mieszok«), często do 15—20 pudów, i jedzie na północ, też »do domu«. — Tak się narodził »mieszocznik« i nowy typ handlu. Początkujący taki jegomość miał tylko jeden nieduży worek i niósł go na plecach.

Tymczasem rząd transportu nie organizuje. Na północ¹⁾ przewożą może $\frac{1}{10}$ część tego, co potrzeba.

Tedy w ślady »mieszoczników« idą związki zawodowe. Wysyłają delegacje po zakupy i przywożą sobie po parę wagonów mąki, cukru, ziemniaków, tłuszczów. Lecz te wagony nie zawsze doje-

¹⁾ Północ jest biedna. Ona i przed wojną sama siebie wyżywić nie mogła.

żdżają. Wszędzie trzeba smarować, aby jechało. A smaruje się zawsze właśnie tem, co się wiezie w tych wagonach.

Brygady konduktorskie same zaczynają prowadzić handel, zazdroszcząc zysków »mieszocznikom« i konkurując z nimi. Wreszcie — kto może, sam wyrusza z miast północnych na południe. Przywozi, albo i nie przywozi. Bo rząd wystawia w pociągach tak zwane »zagraditielnyje otriady«, o których już wspomniałem, dla walki z »mieszocznikami«, dla odbierania produktów przewożonych bez specjalnych zezwoleń, a wyraźnie dla handlu.

Ten okres, te pielgrzymki, — toż najbardziej szlagierowy film... na setki tysięcy metrów!

Wędrowni te rozniosły po całej Rosji, jak długa i szeroka... miljardy wszy i — tyfus plamisty.

Wszystko przy nowym ustroju było niby bezpłatne, za nic się nie płacono: ani za jedzenie, ani za ubranie, ani za buty, ani w tramwaju, ani w pociągu, ani za ślub, ani za rozwód etc. Doraźnie tylko jakieś nieliczne pozycje były opłacane, nie pamiętam już jakie, jednak i te opłaty były minimalne.

Jednakże jeść nie było co, ubranie można było dostać raz na 5 lat, buty — raz na dwa lata... i co dano? To czego nosić nie można było! Takie ubranie i buty po miesiącu szły na śmietnik. Do tramwaju trafić — trzeba było czekać jakąś godzinę. Do pociągu na kolei — to było tyle formalności i wystawiania w ogonkach i tyle z różnych miejsc zaświadczeń, że mając wolny czas, trzeba było użyć tydzień czasu; a kto był zajęty, to się często wyrzekał jazdy.

Wszystko zadarmo tym, kto pracuje. Ale nic niema. Więc nic nie dają.

Jak dziś widzę ten kawałek chleba mokrego, ten funt razowca, który wydano na... 16 dni. Jeden funt chleba na 16 dni!...

Pojawiają się namiastki (surogaty, »erzace«): chleb z obierzyn kartoflanych, z kukurydzy, z odpadków przeróżnych, z domieszkami, nie dającymi się trawić. Zamiast cukru — melasa, zamiast masła krowiego — jakieś kokosowe i inne roślinne, rozmaite oleje i jakieś nowe tłuszcze, o których człowiek słyszy pierwszy raz etc.

Tak więc... jeden funt chleba na 16 dni. Ale, żeby go otrzymać, trzeba stać w ogonku od 1/2 godziny do 2 i więcej. A po pudełko zapalek w innym sklepie — też ogonek, a po jednego śledzia na inną kartkę w innym sklepie też ogonek. A znowu po naftę czy

świece — inne ogonki i t. d. Otoż rodzina, która miała jedną tylko osobę dorosłą i zdrową, nie była w stanie nawet i tych produktów kartkowych otrzymywać, bo brakło czasu. Pół dnia człowiek tracił w ogonkach. A jeszcze marzył i odmrażał sobie nogi i ręce i chorował, bo przecie Petersburg to nie Warszawa, tam mrozy zimowe dochodzą do — 35° i zima jest długa (6 miesięcy) a ciężka, a organizm źle odżywiany, wynędzniały jest mniej odporny.

Trochę dokarmiano dzieci w szkołach, dając śniadanie, złożone z gorącej herbaty, powidel lub słodkiej jakiejś masy, chleba, a często prócz tego kaszy, zacierki lub ryby suszonej, albo mięsa gotowanego. Korzystało z tych świadczeń i nauczycielstwo. A często bywało i tak, że np. z 40 uczniów klasy z racji mrozu, czy z racji wielkiej odległości¹⁾ — pół klasy nie przyszło, to produkty przypadające na pozostałych nieobecnych podziela między siebie nauczyciele.

Jakkolwiek na północy lasów dużo, ale dowozu już niema, i opału zabrakło. Węgłem zaś w piecach tam nie palą, tylko drzewem, bo piece do węgla nieprzystosowane. Przystano więc opalać gmachy rządowe oraz użytku publicznego, a więc i szkoły. Z tej racji nauka w szkołach odbywała się tak, jakby na ulicy. Uczniowie i personel nauczycielski w paltach, w czapkach, w kaloszach i w ciepłych (kto miał) rękawiczkach. Wogóle, jak się człek od rana tak ubrał, to aż do nocy ze siebie nic nie zdejmował, aż do chwili kiedy szedł spać. A często nawet i spał, nie rozbierając się. Więc całymi miesiącami ubrany, lecz nie myty, bo woda w mieszkaniu zamarzała. Średnia temperatura »mieszkaniowa« była — 3° do — 5°.

W tych warunkach mowy nie było w szkołach, naprzykład, o pisaniu piórem, lub ołówkiem... wogóle o pisaniu, — bo palce skołowaciałe nie były w stanie mocno ująć obsadki. Toteż i nie była to nauka, tylko jeden bałagan — dla mnóstwa jeszcze innych okoliczności, o których na tem miejscu nie mam możności rozwozić się.

Dla mieszkań prywatnych i kuchni szkolnych dawano na opał drewniane, porzucone domy na krańcach miasta, — darmo oczywiście. Z tej racji Petrograd stawał się coraz bardziej »murowany«, gdyż powoli znikły drewniane budynki, płoty między posesjami, sztachety i nawet... drzewa w ogrodach miejskich i parkach. Po-

¹⁾ Później młodzież szkolną przydzielono do szkół tak, by każda szkoła miała dzieci tylko ze swej okolicy.

jawiły się natomiast nowe dziwaczne przejścia między kamienicami, zasypane rozmaitym gruzem, no i... upadły granice prywatnych posesyj. A że ludność i z kamienic uciekała (w r. 1919 liczył Petersburg ledwo 600 tysięcy ludności, czyli — tylko trzecią część dawnej ilości), — zaczęto i z kamienic wydzierać drewniane części: futryny okienne, drzwi, podłogę, krokwie etc. Miasto więc coraz bardziej staje się zaniedbane, opuszczone, podobne do wielkiego rumowiska i śmietnika.

Kiedy jakiejś grupie lokatorów lub szkole przydzielono na zużycie drewniany dom, to oznaczało to, że ta grupa musi sama ten dom rozebrać, popiłować na drzewo opałowe i zawieźć do siebie.

Nie było to rzeczą prostą.

Nie każdy miał ubranie do takiej roboty, nie każdy miał i siłę fizyczną, niezbędną do takiej pracy. Otóż wyglądało to mniej-więcej tak: Ta grupa, czy szkoła otrzymywała tramwaj roboczy, t. j. wagon motorowy i kilka platform, któremi zwykle zwożono zawartość śmietników domowych. Pakowali się ludzie na stojąco na te platformy, wycierając ubranie śmieciem i suche i mokre, i zajeżdżali na jakiś koniec miasta. Tam (otrzymawszy uprzednio od sowietu i wioząc ze sobą topory, piły, oskardy, łopaty i t. p. sprzęt), zaczynając od dachu, rozrywali dom, odrywając blachę, deski, rwąc i niszcząc sobie gwoździami i blachą i innym materiałem ubranie, obsypując się kurzem i rumowiskiem; wyjmowali futryny, wydobywali belki etc. aż do fundamentu. Poczem te deski, belki, futryny, drzwi etc. znoszono na sobie na te oczekujące platformy tramwajowe. Tramwaj odstawiał na miejsce. A tam również na sobie znoszono to wszystko z tramwaju do domu na podwórze i piłowano.

Po takiej operacji ten i ów parę dni leżał, bo to kości łamało od nieprzyzwyczajenia, a ten się zaziębił, a ten się potłukł, a tamten spadł z piętra etc. Najwięcej cierpiały kobiety, bo i je także zmuszano do takiej pracy.

Co do mnie, to ja jakoś do żadnej grupy nie trafiłem (i takich było bardzo dużo). A więc mój pokój był bez opału. Temperatura u mnie w zimie była stale — 4°. Wody z miednicy wylewać nie mogłem, musiałem ją wyrąbywać siekierą i... wyrzucać. Albo podgrzewałem dno miednicy na ogniu (kiedy miałem piecyk), lód od miednicy tajał i łatwo go było wyrzucić. Był to taki sobie pieróg z lodu w kształcie miednicy.

Miałem ciepło jedynie w sobie.

Tego ciepła wystarczało, aby się rozebrać i dać nura pod dwie

kołdry i palto, które w dzień było na mnie, — robiąc kokon, zakrywający mnie z głową. W tym kokonie ciepło moje nie ucieka, więc dosłownie sam siebie ogrzewam. Rano, znowuż, tego ciepła wystarcza, aby się ubrać. No i potem człowiek cały dzień jest wszędzie w palcie, czapce, kaloszach i rękawiczkach. A więc w szkole, na wykładach i innych miejscach.

Drzewa trochę dostałem i to dobrego sosnowego, a nie ze zburzonych domów, dostałem dzięki znajomościom osobistym w wydziale zaopatrywania drzewnego, — i zawiozłem do żony, by dziecko nie marzło. Nie mieszkaliśmy już wtedy razem, bo kiedyśmy się przenieśli do Petersburga z Kronsztadu, to już mowy nie było o tem, by dostać mieszkanie; dobrze jeżeli dali i jeden pokój. Żona znalazła pokój na pensji żeńskiej, gdzie ja mieszkać nie mogłem; ja — gdzieindziej w prywatnym lokalu.

Z pieców dużych już nikt nie korzystał, bo na nie nie byłoby skąd wziąć drzewa. Pojawiły się małe piecyki różnych wielkości i gatunków, przeważnie z grubszej blachy. Kominy tych piecyków pakowano do pieca, lub sztukując dłuższą rurę, — do okna, a w nich palono drobnorąbanem drzewem i łuczywem. Piecyk taki zdobył sobie rozgłosną nazwę »burżujka«, gdyż ogrzewał nędzę dawnych burżujów; lub może dlatego, że kto miał choć taki piecyk, już się czuł burżujem.

Taki piecyk miał 1 — 2 fajerki, i gotowano na nim wszystko, — o ile kto miał co gotować. Średnia wielkość piecyka — jak mały taborecik. Były mniejsze, były większe — wykładane wewnątrz cegłą; te trzymały ciepło aż parę godzin. Mały, i bez cegły, — grzał dopóki się w nim paliło; jak się wypaliło, znowu w pokoju był mróz.

Z racji braku opału przestała pracować i elektrownia.

Miasto więc pogrążyło się w zupełnym mroku. Oświetlano tylko parę głównych ulic i to tylko w trzeciej części, t. j. paliła się co trzecia latarnia.

Zaiste jak z bajki o zaczarowanym królestwie (zaczarowaniem nie przez dobrego ducha) można było obserwować widoki i sceny w owym czasie w Petersburgu. Oto ulica, jedna z lepszych — Gallernaja, pod grubym śnieżnym całunem. Śniegu już nikt nie sprząta. Więc i jezdnia, i chodniki, i okna, i drzwi, i bramy — zasypane. Wieczór. Ciemno. Chyba, że z nieba coś świeci... Cisza... Bo ruchu ulicznego o tej porze wogóle niema. Ulice zupełnie puste. Ludzie się boją ciemności. Wyjść łatwo, wrócić trudno... bo grabią i mordują. (dopóki się nie skończył proces pod hasłem »grab' nagrabb-lennoje!«)

Nagle, patrzysz... na jezdni coś ciemnego, jakieś kontury, coś dużego... zawalonego śniegiem. Idziesz bliżej — to porzucony zesputy samochód. Nie chce iść, nie jedzie! — no więc pocóż on! Kto go będzie reperował!

Zdarzy się i powóz jakiś porzucony, lub prosta »tielega« ze złamaną osią. Takich porzuconych na ulicach połamanych kościotrupów można było naliczyć setki. To wszystko nieczyje.

Narodne!

Często się zobaczy konia zdechłego... i na Newskim Prospekcie. Tego też nikt nie sprzątnie. Psy powoli podjedzą, dopóki nie prześmiardł. Rwą, targając zębami, aby odgryźć kawałek. Zębami odrywa, a nogami się upiera w boki konia, by łatwiej dać rady.

Śnieg prószy... Cisza... Ciemno.

Bo i w oknach od ulicy światel nie ujrzysz. Jeżeli pała, to najczęściej — od podwórza.

Ulice zresztą i w dzień wyglądają niezwykle. W dzień (w zimie) chodniki są puste. Chodnikami chodzić niebezpiecznie, bo jest albo ślisko, albo woda stoi, lub tynki spadają. Bo ani stróżów niema, więc nikt nie sprząta; ani też domów nikt nie reparuje, bo niema też i właścicieli domów. Toż domy należą już do narodu.

Chodzą więc wszyscy środkiem ulicy, jezdnią. Tembardziej, że żadnego ruchu kołowego już niema. Dorożkarzy już niema, powyjeżdżali na wieś; albo też konie im pozdychały, czy też je porekwirowano. Od czasu do czasu jakiś tramwaj, lecz już bardzo rzadko (jedna sztuka na kilometr, lub na dwa kilometry), no i samochody urzędowe.

Ale i to tylko na 2 — 3 głównych ulicach. I na tych zresztą ulicach można stanąć na środku w południe z zamkniętymi oczyma i... stać tak dwie godziny bez obawy przejechania.

Brak koni mogę zilustrować jeszcze jednym tragicznie smutnym obrazkiem — pogrzebami.

Jak wyglądały pogrzeby w latach 1919 i 1920? Umierali wtenczas ludzie, jak muchy. Pogrzebów było moc. Można było je widzieć codzień i setkami.

Idzie kilku ludzi, ciągną saneczki domowej roboty (dla wożenia drzewa, produktów, albo też dziatwy), a na saneczkach — trumna. I jaka trumna! To raczej kłoda z białych, niemalowanych desek. Widziałem i taką scenę: na most Mikołajewski na Newie, o dość wysokiem wzniesieniu, »wjeżdżają« takie saneczki z trumną. I ta

trumna, z racji pochyłości wzniesienia, zsunęła się z sanek na śnieg. Zatrzymali się. Wciągnęli trumnę na sanki z powrotem, a jeden poszedł z tyłu i podpierał trumnę kijkiem.

Ileż w tem smutku, ileż niemej bezdennej rezygnacji, jeżeli to brać, jako fakt wyrwany z rewolucji i przeniesiony do normalnego życia. W rewolucji jednak była to już rzecz powszednia. Nikt się tem nie przejmował, ... bo prócz tych rzeczy była jeszcze »stienka«, był terror, był krwawy uśmiech szatana.

Wróćmy do spraw aprowizacji. Para obrazków. W gubernjach dalekich od kolei (np. w Kazańskiej) można było dostać za jedno pudełko zapalek pud mąki, za funt nafty — do dwóch i więcej pudów mąki.

Co do ubrania i obuwia. Pojawiają się buty o podeszwach tekturowych. Pojawiają się drewniane chodaki i sandały drewniane, z zawiasem na zgięciu stopy.

Ubranie zaczęto szyć ze wszystkiego, bo materiałów na ubrania niepodobna było dostać. Więc szyją letnie ubrania z pokrowców od mebli. Ja sam miałem dwa frencze: jeden z pokrowca od otomany, drugi — z worka siennikowego.

Jeżeli chodziło o rzecz nie do jedzenia lub opału, t. j. nie do »codziennego« użytku, lecz o coś innego: buty, ubranie, papier, ołówek, — i jeżeli się chciało to zdobyć drogą normalną, t. j. przez sowiet, to trzeba było przejść przez ankiety, wywiady, dowody komitetu biedoty domowej etc., aby udowodnić, że tej właśnie rzeczy petent nie posiada i że ona mu jest niezbędną, bo kartek na takie rzeczy nie wydawano. Poczem się otrzymywało »order«, t. j. paperek na odbiór w składzie. To jednak nie był jeszcze koniec, ponieważ właśnie tej rzeczy mogło nie być na składzie tego rejonu, tego lokalnego rejonowego sowietu, więc dalej następowało paromiesięczne oczekiwanie. Bywało przy tem dużo kurjuzów. Nie mogę odmówić sobie tej przyjemności, aby nie opowiedzieć o jednym takim wypadku ze mną.

Pracuję umysłowo. Dla pracy tej niezbędne są takie rzeczy, jak papier, atrament, pióro, ołówek. Wyczerpałem, co miałem, i idę zdobywać nowe. Ale zgóry wiadomo, że prosić dużo nie można, bo to oznacza kontr-rewolucję i spekulację.

1

Trzeba prosić jaknajmniej. Otóż chcę otrzymać: jeden ołówek, dwie stalówki i... dwanaście arkuszy papieru i to szarego. Białą został tylko dla komunistów.

Zaczynam litanję: 1 — »domkobiet«, 2 — poświadczenie z miejsca pracy, 3 — miejscowy sowiet rejonowy, 4 — »raspredielitielnyj punkt«, wreszcie — 5 — skład, skąd wydają towar.

Zajęło to bagatelę: jakieś 10 dni. Wreszcie jestem na składzie. Ale i tam jest biuro, a w biurze — zwierzchność. Trafiam do zwierzchności. Tłusty, mimo głodu, kędzierzawy, egzotyczny osobnik... pali cygaro i rozmawia ze swym gościem, takim samym egzotycznym osobnikiem. Jakieś anegdoty, przechwałki, pstrykanie palcami... wesoło!

Stoję, czekam... ja, biedny, wychudzony inteligent. Wreszcie chrząkam. Wygląd mój jednak nie wzbudza szacunku: wyszargany, poniszczony.

»Czto wam ugodno?« —

Podaję »order« i mówię, że to a to. Spojrzał i obojętnie rzuca order na stół: tego, co ja chcę, niema!

Spierać się — to awantura, lub czrezwyczałka.

Idę. Zatrzymuje mnie.

»Kto wy takoj?« —

Mówię: profesor, i swoje nazwisko.

»A!... to pan — profesor?« — »A jaka jest pańska specjalność?«
Powiadam — filozofja.

Prosi siadać. No, myślę, może dasz, do cholery, ten ołówek.

»A czy to pan miał ten wykład o nieśmiertelności duszy tam a tam?«

Nie, powiadam. Tylko, że i ja się interesuję tem zagadnieniem.

Otóż z kwadrans on mnie indaguje w sprawie nieśmiertelności duszy. Wreszcie mówi: »To pan potrzebuje ołówka?« — Tak.

Wypisuje na kartce: »Wydat' adin karandasz«. I dalej wciąż o nieśmiertelności duszy... Po paru przerwach dopisuje na tej kartce: »dwa piera«, potem: »12 listow bumagi«. —

Wreszcie mam ten ołówek, mam dwie stalówki (z których żadna nie chciała pisać), mam 12 arkuszy papieru... i to tylko za półgodzinny wykład o nieśmiertelności duszy. Jakżeż niewiele warte jest to zagadnienie! Jakieś 15 — 20 kopejek przedwojennych.

Wracając do handlu rynkowego, w zasadzie prześladowanego, lecz w rzeczywistości mniej więcej tolerowanego (otwarcie rynki uznano i dopuszczono drobny wolny handel po powstaniu Kron-

sztađu w marcu r. 1921)... notowałem sobie ceny produktów. I mam je dla znacznej ilości produktów z dwu dat: stycznia r. 1919 i sierpnia r. 1921 (a więc ta druga data dotyczy już wolnego handlu).

Są to prawda tylko cyfry, lecz bynajmniej nie suche. Są one może wymowniejsze od sensacyjnych romansów.

A więc, 5 stycznia r. 1919. Petrograd.

Gaża moja wynosi 1200 rubli miesięcznie. Czyli nominalnie — siedem razy więcej, niż przed wojną. A więc ceny:

funt chleba w Petrogradzie	20 rb.	(Przed wojną — 2 kopiejki, czyli 1000 razy drożej)
„ „ w Kronsztadzie	14 „	
funt wieprzowiny	45 — 60 rb.	
„ cielęciny	25 rb.	
gęś (9 — 10 funtów)	300 — 350 rb.	
funt mąki białej	25 — 40 „	
„ „ żytniej	18 rb.	
„ kaszy (różne)	30 — 35 rb.	
butelka mleka we wsi (pod Oranienbaumem)	4 rb.	
„ „ w Petrogradzie	5 — 15 rb.	
funt kielbasy najgorszej	25 rb.	(przed wojną 8 kop.)
„ cukru	60 „	
„ tłuszczu wołowego	70 „	
„ masła	80 — 90 rb.	(przed wojną 40 kop. więc 200 razy)
„ nafty	3 — 6 „	
jedna świeca	7 — 8 „	

Obiad z dwóch dań z chlebem (w prywatnym mieszkaniu) — 40 rb. Jedno mięsne danie na dworcach 15 — 20 — 25 rb. (dawniej — 30 kop.), ciastko — 7 rb. (dawniej — 3 kop.). Szklanka herbaty bez cukru — 1 rb. 50 kop. — 2 rb. (!!)... bo to prawie czysta woda., sążen ($\frac{1}{4}$ sześciennego) drzewa opałowego brzoźowego bez dostawy: w Kronsztadzie — 140 rb., w Petrogradzie — 250 rb., dostawa — 135 rb., czyli razem — 385 rb.

buciki zwykłe	500 — 600 rb.
kalosze	250 rb.
garnitur zwykły	1000 — 1500 rb.
koszula (nie płócienna)	75 rb.
kalesony	60 „
kajet szkolny	3 „ (dawniej — 3 kop.)
zegarek kieszonkowy najprostszy	200 — 250 rb. (dawniej 3 — 4 r.)
rękawice futrzane	125 rb. (dawniej 3 rb.)

Książki używane zamiast 2—3 rb. teraz 25 do 100 i 150 rb. np. Mendelejew, Chemja. A np. Rubakin »Sredi knig« — 300 rb. zamiast 6. Encyklopedja Brokhauza i Efrona — zamiast 225—250 rb. teraz 1000 rb.

Widzimy z tego, że ceny na najpotrzebniejsze produkty podniosły się średnio 100-krotnie i wyżej. Zarobek zaś tylko 7-o krotnie. Czyli życie zdrożało 12—13 razy. Czyli że przeciętnie człowiek mógł żyć za to, co otrzymywał, tylko jakieś 2—3 dni w miesiącu. Jeżeli dodać jeszcze do tego produkty, wydawane bezpłatnie na kartki, których wystarczało na jakieś 3—4 dni, więc będzie tego razem najwyżej na jeden tydzień. Aby zaś wyżyć pozostałe 23 dni w miesiącu, każdy musiał wyprzedawać, jeżeli co miał, lub szukać ratunku w wymiennym handlu, jeżdżąc na wieś na południe, lub starając się zdobyć parę posad, do których przywiązany był »pajok«. Kto żadnej z tych dróg wykorzystać nie mógł, dla tych pozostawało przeniesienie się na stałe na południe, gdzie są lepsze warunki aprowizacyjne, na posadę bliższą do wsi, do chłopów (nauczycieli ludowych, lekarzy wiejskich, nawet... pastuchów. I tak było);—lub, pozostając w Petersburgu.., chudnąć. Chudnąć do kresu i skutku.

W r. 1921 doszedłem pod względem aprowizacyjnym do szczytu marzeń, gdyż miałem cztery najlepsze »pajki«, o jakich w tych czasach można było marzyć. A więc w Petersburgu »uczonyj pajok«, »morskoj pajok«, bo wykładałem w korpusie morskim, i trzeci — z kursów pedagogicznych. No i 4-y, najlepszy, — to, co przywoziłem z Witebska. Miałbym i 5-y, z Astrachania, gdybym w Rosji dłużej pozostał. Wszakże wyjeżdżając z Astrachania, i stamtąd wywoziłem, ile wogóle mogłem.

Taka pomyslność trwała aż prawie rok cały.

Ceny w Petersburgu 5.VIII 1921 r.

funt chleba (oczywiście razowiec)	4.500 rubli
„ cukru	30.000 „
„ masła	28.000 „
„ oleju	18—20.000 rb.
mydło »Nestor« do prania . . .	18.000 rb.
funt mąki żytniej	5.000 „
„ „ białej	8—10.000 rb.
„ kartofli	1.200—1.700 rb.

truskawki — funt	8.000 rb.
maliny	2 — 4.000 rb.
inne jagody	1 — 2.000 „
butelka mleka	2.500 rb.
wołowina funt	10.000 „
wieprzowina funt	12 — 13.000 rb.
kura — 1 funt	10.000 rb.
buciki najprostsze	150 — 200.000 rb.
„ lepsze, »amerykańskie«	200 — 250.000 „
„ najlepsze »Skorochoł«	350 — 375.000 „
kalosze	90 — 100.000 „
koszula	35 — 40 — 50.000 rb.
kalesony	20 — 25 — 30.000 „
prześcieradło płócienne	50.000 rb.
poszewka	10 — 12.000 rb.

Obiad z dwóch dań na rynku pod gołem niebem 10.000 r., w cukierni — 20 — 30.000 r., — bułeczka 3.000 r. (dawna 3 kopiejkowa), szklanka kawy bez cukru — 1.000 rb.

10 rubli złote = 250.000 rb.

1 rb. srebrny = 15 — 17.000 rb.

Gaża moja miesięczna wynosiła około 150.000 rb., czyli stanowiła $\frac{1}{20}$ część przedwojennej (w złotych).

Oczywiście obraz życia w epoce rewolucyjnej mógłby być bardziej kompletny i systematyczny, bardziej, że tak powiem, buchalteryjno - statystyczny, gdybym miał więcej materiału. Jednak taki obraz wcale nie jest mojem zadaniem. Ja tu podaję jedynie moje wspomnienia i wrażenia, i, zdaje mi się, że i z tej garści materiału obraz życia da się wyraźnie odtworzyć.

Należy na tem miejscu podkreślić, że w tej epoce człowiek wyraźnie poczuł i zrozumiał, co są warte cechy osobiste. Silny fizycznie, silny moralnie, pomysłowy, sprytny, pracowity, zahartowany... dawał sobie rady, wojował na wszystkie strony, i nie tonął. Przeciwnie — dobijał zawsze do swego brzegu. Safandula, istotnie ginął. Ginął też i stary a słaby, o ile nie miał przy boku ludzi w sile wieku; tak samo ginęły i dzieci.

Żywiolowa, całkiem pierwotna walka o życie wymagała mobilizacji wszystkich wogóle sił i zdolności człowieka.

Nie mówiłem specjalnie o zmianie własności na większe objekty,

bo to się samo przez się rozumiało. A więc jak wszystko, tak i banki, fabryki, majątki ziemskie, kosztowności w »safes'ach« zostały w pierwszych już dniach rewolucji bolszewickiej znacjonalizowane, czyli przeszły na własność narodu, czyli to samo co — rządu.

Nie poruszałem tu jeszcze jednego tematu, który nieco później (nie opisywane lata) stał się palącym i poprostu — raną ropiącą. To — »upłotnienie kwartir«, czyli zgęszczenie zaludnienia mieszkań. Nie poruszałem tylko dlatego, że w tych latach to »upłotnienie« dopiero się zaczęło i nie przybrało charakteru masowego i ostrych form. Dziś jest to źródło miljonów tragedyj w Rosji. Chodzi o to: mieszkanie przestaje być wyłączną własnością lokatora. O ile ilość pokoi przewyższa ilość dorosłych ludzi, lub pokoje są za duże na jedną dorosłą osobę (norma na osobę — 11 metrów sześciennych), to do tego lokalu sowiet pakuje kogo sam chce, nie pytając lokatorów o zgodę. Z tej racji rozbitą została i znikła rodzina. Temat ten — to gwałt, łzy, rozpacz... Pająk włazi do nory swej ofiary i wysysa! —

Aresztowanie.

Po egzaminach, odbytych w lipcu r. 1920 w Witebsku, wracałem jak zwykle do Petersburga, obładowany wiktuałami.

Był to okres gwałtownej ofensywy bolszewickiej, rozpoczętej właśnie z okolic Witebska - Mińska. Widziałem w Witebsku koncentrację paru dywizyj bolszewickich, ściągniętych z frontu Denikinowskiego (teraz już Wrangla) i syberyjskiego.

Boże, cóż to za wojsko! W jednym szeregu stoją ludzie różnego wzrostu, jeden o głowę od sąsiada wyższy, inny mu pod pachą przejdzie. Jeden lat 17 - 18, drugi znowu obok — brodaty, lat 40 - 45. Jedni ubrani jak na ostrą zimę: kozuch barani, papacha, wojłoki — »walenki« na nogach zamiast butów; — inny — bez płaszcza, w letniej »furażce« (czapka) i sznurowanych bucikach. Karabiny licho wie czem powiązane: tasiemkami, sznurkami, zamiast rzemieni. Broń — to zbieranina różnych gatunków; twarze — takąż zbieranina: moskiewskie, kałmuckie, kozackie, kaukaskie, nawet — chińskie. (»chodia, chodia!«), — z całej bezkresnej Rosji.

Po raz pierwszy widziałem armję rewolucyjną, idącą do boju. Byli to zwycięzcy na frontach wewnętrznych w wojnie domowej.

Był to okres naszych chwilowych niepowodzeń. Front odchodził coraz dalej. Nadziei wydostania się — coraz mniej. Smutek i beznadzieję ogarniały nas coraz bardziej.

Dojeżdżamy do Petrogradu. Około Antropszyna (w tej odległości co na innej kolei — Gacznina) kontrola dokumentów. Czekaista przegląda i zaraz zwraca. Mój dokument potrzymał w ręku... z nim wyszedł. Wrócił dopiero za półgodziny i dokument mi oddał. Te pół godziny były bardzo nieprzyjemne. Wreszcie — Petersburg.

Tu, na dworcu Carskosielskim wynajmuję chłopaka, który mi doniesie moje produkty do domu. Kosztuje to dwa funty chleba, które mu tam na miejscu w domu odważam.

Ponieważ mieszkaliśmy z żoną oddzielnie, miałem więc zanieść produkty do żony. Część tegoż dnia zaniósłem, a po resztę miała przyjść nazajutrz. Jakoś nic tego dnia nie zaszło. Położyłem się spać w dobrem usposobieniu, myśląc o pracy, która mnie czeka.

Śród nocnej ciszy, o jakiejś 3-4 godzinie, stuk we drzwi! Uprzejmie proszą, abym wstał i ubrał się... dwóch marynarzy z czerwczejki. Rewizja. Zabierają rękopisy, listy, nową walizkę, do której te szpargały kładą. Jeden z czekistów dłuższy czas kręci w ręku nowe moje buty, ale ponieważ one w żaden sposób na kontrrewolucję nie wyglądały, nie miał powodu ich zabrać, zostawił. Pokój mój opieczętowano. Proszą, abym szedł z nimi razem. Na ulicy samochód. No, dobrze, że choć nie na piechotę po nocy.

Jedziemy... w głuchem, ohydny milczeniu.

Sam fakt aresztowania nie zaskoczył mnie. Byłem od pewnego czasu do tego przygotowany. Bolszewicy potrzebowali materiału ludzkiego do wymiany z racji wypadków wojennych, więc zaczęli masowe areszty polskiej inteligencji. I chociaż ja stosunków śród polonji nie miałem i roli żadnej śród niej nie odgrywałem, gdyż dopiero co się tutaj zainstalowałem, to jednak, jako profesora, zabierają na wszelki wypadek. Pogłoski o mających nastąpić aresztowaniach doszły do mnie na jakiś miesiąc przed aresztem. Szły one z komisarjatu polskiego przez znajomych, pół-znajomych i nieznajomych sprzyjających mi Polaków. Bardzo się nie bałem, bo

absolutnie byłem czysty, w nic nie zaangażowany. Na wszelki jednak wypadek uprzedziłem gospodarza mieszkania, że areszt może nastąpić, i powiedziałem mu, co ma w tym wypadku zrobić.

Teraz jednak, kiedy aresztowanie nastąpiło, uprzytomniłem sobie całą sytuację, — i nie wydała mi się ona tak różową, jak przedtem.

Toż jeździłem na front, widziałem tam koncentrację wojska, znałem Polaków, którzy odgrywali znaczniejszą rolę, a więc... »polskij szpjon«. Ten zarzut, acz wysuwany pod adresem wszystkich prawie Polaków, niemniej był niebezpieczny, bo nigdy niewiadomo było, czem się sprawa może skończyć.

Samochód zajeżdża na Grochową 2... do czerezwyczajki («Gubczeka»), dawnego zaś — gradonaczalstwa.

Więzienie!

Pierwsze wrażenie ohydne. Wepchnięto mnie do kancelarji, zapisano nazwisko i kazano poddać się rewizji osobistej w pokoiku obok. Wchodzę. Pokój, w którym głoś ginie. Nieduży, bez mebli, jedna ławka i mały stół. Może tu właściwie poddają torturom? Ale nie, chyba, — zablisko do ludzi. Olbrzymie chamisko, o wstrętnej zbójcekiej mordzie, stanęło nademną w postawie kata. Trzeba rozebrać się do naga, i każdy szeregół toalety jest rewidowany. Zabrano mi tam trochę drobiazgów, zwłaszcza ostre rzeczy, jak nożyczki i scyzoryk.

Stąd odstawili do wspólnej kamery. Jest tu ze 30 najrozmaitszych ludzi. Trochę burżujów podejrzanych o kontrrewolucję, trochę paserów, są jeńcy z frontów, więc Czesi, Węgrzy, denikinowcy i t. d. Siedział tu również jeden znany w Petersburgu Żyd — psychografolog, niejaki Morgensztern, którego wiedza tajemna była tak potężna, że on naprzykład z samego charakteru pisma »przepowiadał«, że Napoleon był to wielki wódz, a Puszkina — poeta. Otóż czerezwyczajka chciała skorzystać z jego talentu określania charakteru człowieka z pisma, skorzystać dla tropienia kontrrewolucji. Wróżył on temu i owemu ze współtowarzyszy niedoli.

W tej kamerze siedziałem cztery dni.

Przyjrawszy się bliżej tej biedzie tam zebranej, z której nikt nie był pewien swego jutra, doznałem przygnębiającego uczucia. Aby nie upaść na duchu, dla dodania sobie i innym otuchy, zacząłem dość głośno nucić piosenkę, jak dziś pamiętam :

»Gordaja preleść' osanki,
Tomnaja niega oczej, —
Wsio eto jeść' u ispanki
Doczери жужных polej«...

Jednak zaraz rozległ się wściekły głos szyldwacha: »Czewo oriosz!« (czego się drzesz!). Musiałem przestać.

Z czczewczajki, gdzie badany wcale nie byłem, zostałem odstawiony do więzienia śledczego przy sądzie okręgowym na ul. Szpalernej. Więzienie to po rosyjsku nazywało się: »dom predwaritielnawo zakluczenja« (tymczasowy areszt); w skróceniu »D. P. Z«.

Trafiam tam jako czwarty gość do celi na uprzywilejowanym korytarzu. W tej celi, normalnie na jednego więźnia, były 3 tapczany, a więc myślę, że będę spał na kamiennej podłodze. Rzeczy żadnych nie mam, bo nie dali mi zabrać z domu ani kołdry, ani poduszki. Jednakże przed wieczorem jednego lokatora zabrano, i od razu mam tapczan.

Więzienie dość czyste.

Polaków na tym korytarzu (zdaje się, że ten korytarz nazywał się »piąty«) aż kilku, z których dwóch znam osobiście. Jeden z nich—to nauczyciel kościelnej szkoły, wychowanek księży. Siedział on na parterze już parę miesięcy w złych warunkach, ale nie w ciemnej bity, wszedł w komitywę z dozorcami, o czym mi opowiadał, i dzięki sprytowi został przeniesiony na ten właśnie »uprzywilejowany« korytarz. Było to na krótko przed mojem wprowadzeniem się. Miał ten nauczyciel już doświadczenie więzienne; od niego też coś niecoś się dowiedziałem. Przedewszystkiem nauczyłem się od niego jednej rzeczy, wcale pożytecznej, której go nauczyli księża. Ponieważ był on rzeczywiście w czemś zaangażowany, a więc mógł się obawiać złych następstw, to się już od paru miesięcy, jak powiada, przygotował na śmierć, i teraz jest mu dobrze, niczego się nie boi. Ma spokój ducha.

Ja do niczego się nie poczuwałem, ale... kto wie? Wydało mi się nie od rzeczy przygotować się na śmierć. Na wszelki wypadek, — a nuż się przyda. Bo, zresztą, samo to przeżycie będzie nowe i mnie pociąga. Myślę nadto, że jeżeli takie ciele, jak ten nauczyciel, zdołało się na to, to nie jest to z pewnością rzecz trudna.

Trzeba było tylko wykonać pewną operację duchową. Zajął to mi jeden wieczór. I rzeczywiście, osiągnąłem taki błogostan i taki spokój, że się nie przejmowałem już niczem.

»Starostą« na naszym korytarzu był również Polak.

W trzy dni po zainstalowaniu się na Szpalernej w D. P. Z. dowiaduję się na spacerze przez tego nauczyciela od starosty, że moja żona tego dnia również zamieszkała w D. P. Z. Był to cios!

Albowiem zostało nasze dziecko, synek sześciolatek, bez nas, u ludzi obcych... i bez środków. Co mogłem zrobić dla niego z więzienia — zrobiłem. Żonę zaaresztowano przypadkowo. Przyszła do mnie, jak było umówione, po produkty. I trafiła w mojem mieszkaniu na zasadzkę.

Kiedy już znajomi, uczniowie i słuchacze moi dowiedzieli się o moim nowym adresie, zacząłem otrzymywać »pieredaczy«. No i nie było mi tam bardzo źle. W parę tygodni później pozwolili mi pracować w bibliotece więziennej, która się znajdowała na tym samym korytarzu obok mojej celi (już trzeciej z kolei). Praca ta dawała mi prawo mieć drzwi od celi otwarte od rana do wieczora. Zamykano je tylko na noc.

W bibliotece nauczyłem się rzemiosła introligatorskiego oraz zacząłem studjować z samouczka język włoski. Więzienie nie było więc ciężkie.

Inne rzeczy natomiast zaczęły przygnębiać, i nie mnie tylko, lecz całą polonję więzienną.

Złe wieści z frontu.

Pamiętam jak dziś, że 16-go czy 17-go sierpnia rozeszła się pogłoska, że Warszawa wzięta. Nie chciało się wierzyć, tak to było potworne! Jednak bolszewicy wyraźnie triumfowali, nie kryjąc przed nami swego nastroju.

Następne dni nie przynoszą jednak potwierdzenia pogłosek o wzięciu Warszawy. Wogóle niema żadnych wiadomości z frontu. Cisza. Przedtem wrzeszczeli, trąbili o swych zwycięstwach, krzyczeli: »dajosz Warszawu!« i — raptem cisza. Szli, szli, doszli do Warszawy i... nic. Milczą. To coś znaczy. Wiadomo już z wielkiej wojny, co to znaczy. Warszawy, w każdym razie, nie zdobyli, to pewne.

Upłynęło tak jakieś 5 dni tej zagadkowej, denerwującej ciszy. Gazet niema.

Wreszcie, po tygodniu... — jakiś szept, jakaś »niepewna« jeszcze wiadomość, że bolszewicy nietylko że nie zdobyli Warszawy, ale są pobici i odpędzeni, i to dość daleko.

A potem co dzień — to nowina! Biją ich i biją, jak Moskale mówią: »i w chwost i w griwu«. I front jest coraz bliżej.

I oto rzecz znamienne: stosunek obsługi więziennej do nas Polaków jest coraz bardziej uprzedzający.

W końcu sierpnia zostają wezwany po raz pierwszy na śledztwo

do sędziego śledczego, którego gabinet był na dolnym korytarzu, obok kancelarji. Ta część więzienia już bez krat.

W przyzwoitej, grzecznej nawet formie proponuje mi, bym napisał swój życiorys. Wykonałem. Był to utwór niemal poetycki. Gdym przeczytał, sam o mały włos nie ryknąłem.

To wszystko, mogę iść!

A więc nie mają o mnie żadnego materiału, że go chcą szukać z życiorysu! Jest to już objaw pocieszający.

I znowu siedzę w celi. Ale teraz już ani śladu przygnębienia. Bo serce rośnie za Polskę. A i o synu otrzymałem uspakajające wiadomości.

Nagle, na początku września zostaje odstawiony zpowrotem na Grochową. Drogę ze Szpalernej na Grochową odbywamy razem z żoną w dużej partji aresztowanych. Na Grochowej znowu nas rozdzielono. Z drogi skorzystałem, by żonę podnieść na duchu, pocieszyć nieco i rozproszyć trwożne myśli o przyszłości. Ale że razem jesteśmy, to smutne myśli i same pierzchają.

Parę dni siedzimy na Grochowej. Dowiaduję się, że nas odwożą do Moskwy do »We.-Cze.-Ka«. Korzystam z tej informacji i wyczekuję chwili, kiedy się żona ukaże w oknie przeciwległym. Codzień bowiem przez kilka chwil widzieliśmy się w ten sposób. No, i potem pokazują jej zawczasu przygotowane 3 duże byle jak z papieru wydarte litery (rosyjskie oczywiście) »W.-Cz.-K.«, objaśniając, że nas odstawia do Moskwy.

I istotnie, po paru dniach jedziemy do Moskwy w niewielkiej grupie, z konwojem dwa razy od nas liczniejszym. Konwojentami są jednakże nie czekaści, a jacyś zwykli krasnoarmiejcy, ludzie dość przyzwoici. Do dworca jednak ze dwa kilometry idziemy piechotą i dźwigamy swe graty. To męczy.

Jedziemy zwykłym wagonem 3-ej klasy razem z konwojem. I droga jest ani straszna, ani nudna. Gawędzimy między sobą i z konwojem. Żołnierze odczuwają porażkę na froncie i są nawet dość pokorni. Żartują nawet, że oto dziś oni nas wiozą, a jutro może stać się odwrotnie.

Do Moskwy przyjechaliśmy pod wieczór i znowu piechotą robimy ze 2—3 kilometry na Łubiankę 2, do »W.-Cz.-K«. Przechodzimy tam przez biuro, gdzie po wpisaniu nas, zabrali nam resztę drobiazgów i nawet—obrączki. Niech tam! I wepchnęli do dość dużej sali, gdzie już było sporo innych lokatorów. Byli to przeważnie

oficerowie denikinowscy, dziś — z armji Wrangla. Nieco później wpakowali poselstwo tureckie od Kemala-Paszy do Kolczaka. Turków tych było trzech. Jeden z nich mówił po francusku, więc była dość ciekawa pogawędka. Mieli oni ze sobą dużo dywanów, urządzili się nawet »komfortowo« i palili jakieś pachnące papierosy.

Łubianka 2 godna jest ze wszech miar uwagi. Jest to dawny hotel »Imperjal« (tak, zdaje się, nazywał się). Olbrzymi czteropiętrowy gmach, wychodzący na dwie ulice i plac Łubianki. W dużym wewnętrznym podwórzu mieścił się pośrodku dom tej samej wysokości, ale nieduży, a połączony korytarzami z tym dużym. Ten wewnętrzny dom jest to najstraszniejsze miejsce w Rosji, jest to »wnutrenniaja tiumra osobago otdiela W.-Cz.-K.«

Tamta zaś sala, dokąd nas wepchnięto pierwszego dnia, była w dużym domu na parterze, od zaulka i okno miała od tego zaulka, oczywiście zakratowane.

Był tu dawniej jakiś sklep. Jest to swego rodzaju poczekalnia-sortownia. Tu ludzi przetrząsają i przydzielają. To też panuje tu wielka trwoga, niepewność — no i wielki ruch. Bo ludzie wciąż się zmieniają. Podsylają tu wciąż prowokatorów i szpicli do wybadywania i wywąchiwania. I to potem też daje skutki.

W wewnętrznym domu, we właściwym więzieniu, są cele, przerobione z dawnych pokojów hotelowych, oraz w suterenach te piwnice — lochy, gdzie torturują i mordują.

W tej sortowni spędziliśmy razem z żoną dwa dni. Na trzeci dzień nas rozdzielono, i ja zostałem odstawiony do celi na 2-em piętrze, Nr. 11, 13 czy 17, już nie pamiętam, tylko jeden z tych.

Zamknęły się za mną drzwi.

Stoję... patrzę... Czterech więźniów... pryce... ciemnawo. Szukam oczyma wolnego miejsca. Jest jedno. Poznają się z kolegami. Trzech oficerów z ministerstwa wojny — pod zarzutem kontrrewolucji, i... Polak, pan Tytus Filipowicz. Bardzo przyjemnie! Raczej... bardzo nieprzyjemnie, — bo w więzieniu.

Muszę się tu przyznać do wielkiej ignorancji politycznej, gdyż nazwisko to mi było zupełnie obce, słyszałem je pierwszy raz. I siedząc z p. T. F. aż półtora miesiąca nie miałem pojęcia, z kim siedzę. Dowiedziałem się od niego tylko, że był naszym pierwszym posłem w Wiedniu, od chwili rewolucji, a potem — w Tyflisie i Baku (na Kaukazie) na trzy nowe republiki: Gruzję, Armenję i Azerbejdżan. I że w Baku, podczas zdobywania Azerbejdżanu przez bol-

szewików został przez nich aresztowany. O jego przeszłości rewolucyjnej dowiedziałem się jednak dopiero po wyjściu z więzienia. Dużo też mu zawdzięczam, że rozmowy z nim nieco zabijały nudy monotonnego życia.

Z tego bowiem więzienia nigdy nie wypuszczano. Spacerów nie było, nikogo też do nas nie dopuszczano, nie mieliśmy również prawa korespondencji. »Pieredaczy« brano, ale nam nie doręczano. Czasem, później już zresztą, dawali, — w zależności od stanu procesu, lub apetytu naszych dozorców. Jeść dawali bardzo mało. Zrana herbata i mały plasterek chleba, na obiad — miseczka jakiejś kaszy, około półfunta, najczęściej była to rozgotowana pszenica; wieczorem — herbata, lub kawa i plasterek chleba. Zamiast cukru dawali jeden cukierek na 5 dni. Od takiego odżywiania się osłabłem. Po miesiącu przeważnie leżałem. Tylko przed snem robiłem lekką gimnastykę. Robił też i Filipowicz.

Była w tem więzieniu biblioteczka. Braliśmy więc jakieś przygodkowe piśmidła. Między innymi trafiła mi się tam do rąk »Radża-Joga«, z nudów i ją czytałem.

Z tych nudów, oczekiwania i naprężenia wybujała wyobraźnia, i oto któreś nocy przyśniła mi się jakaś bajeczna rzecz. Jakaś symfonia stworzenia świata, tak mógłbym to nazwać! Jak się obudziłem, zaraz to zapisałem, co jeszcze zostało w pamięci. Było to coś tak ślicznego i wzniosłego, że z niczem porównać nie mogę. Gdybym był muzykiem, tobym z pewnością napisał jakieś oratorium, symfonię, czy coś takiego.

Po pewnym czasie »podsypali« do nas jakiegoś szpiega o polskim nazwisku, lecz Moskala, który nawet nie bardzo się krył ze swem rzemiosłem. Obecność jego była bardzo uciążliwa.

Wreszcie, w połowie października, zostałem wezwany na śledztwo. Prowadził mnie czekista schodami i korytarzami do drugiego, zewnętrznego domu, i wepchnął w jakieś drzwi, zasłonięte kotarą.

Wchodzę, — nikogo. Oglądam się, patrzę — po lewej stronie przy ścianie siedzi jegomość w stroju wojskowym. Kiedy podnosił głowę i spojrzał na mnie, to jakby mnie kto w twarz uderzył. Człowiek, którego ja spotykałem w przyzwoitem miejscu, — w kuchni studenckiej, rozmawiałem z nim. Teraz — agent czerezwyczajki, .. Polak Steckiewicz.

Potem dowiedziałem się, że wpakował wszystkich Polaków, kogo gdziekolwiek zdążył poznać, a w tej liczbie — i w kuchni studenckiej.

Był on wysłany przez nasz wywiad do Rosji w grupie jakiegoś Dobrzyńskiego, ale ich przyłapali, i... zamiast kuli pod murem ten wolał hańbę. Choć jest i inna wersja, że to ten właśnie Dobrzyński sam przeszedł do bolszewików i wydał całą swą grupę.

Po chwili jednak poczułem do tego Steckiewicza wielką litość. Biedny, słaby człowiek. Walka w nim jeszcze była widoczna. Wyraźnie był zmieszany. Pytał, nie patrząc na mnie, i nie podnosząc od papierów oczu. Indagując, nie czepia się jednak. Wypytuje o różnych ludzi, czy nie znam, czy nie miałem bliższej znajomości? Odpowiadam krótko, że jestem człowiekiem tu nowym, więc znam ludzi tylko z widzenia, — »szapoczoje znakomstwo« po rosyjsku.

Jednak, jestem »polskiej szpjon«, — ten zarzut nie jest rzeczą błahą, więc staram się jakoś wpłynąć na mój los, trochę koloryzuje, wystawiając swą niedawną przeszłość w Kronsztadzie, jako rewolucyjną etc... tembardziej, że wszedł jeszcze jakiś czekista, pewno znaczniejszy, (bo usiadł przy biurku) i słucha badań.

Jednak, okazało się, że moje wybiegi i koloryzacja są dla nich obojętne. Panowie ci wogóle nie bardzo wierzą temu, co mówię, i całe śledztwo to było tylko czezą formalnością. Inteligencja polska była im potrzebna masowo tem więcej, im więcej ich bito na froncie. Potrzebna im była dla wymiany, wobec zbliżającego się pokoju.

Więc to, podług mnie, i na śledztwo jakoś nie wyglądało. Wracam do celi z tem niewyraźnem wrażeniem i opowiadam Filipowiczowi, co to było i kto mnie badał.

Znowu cela. Znowu oczekiwanie. W tym czasie Filipowicz zdobył prawo otrzymywania gazet, więc dowiadujemy się już o ostatcznym pogromie bolszewików i rokowaniach pokojowych.

Choć to koniec października, ale czujemy tchnienie wiosny.

Upłynęło kilka dni. Pewnego dnia pakują do naszej celi chłopaka Polaka, lat 18, z P. O. W. Był to uczeń z gimnazjum Giżyckiego w Warszawie. Przyłapano ich kilku na samej granicy. Biedny chłopak! Zająłem się nim. Cały dzień z nim rozmawiałem. Chciałem go wesprzeć i zmusić do decyzji wytrwania, by się nie uląkł śmierci, nie załamał i nie zhańbił. Nie znam jego losu. Ten dzień, bowiem, był dla mnie ostatnim dniem więzienia.

Wieczorem zostałem wypuszczony. W biurze spotykamy się z żoną i nocnym pociągiem już wracamy do Petrogradu.

Synek nasz!... synek!... żyje. Ale jakże się zmienił w cudzych rękach: nie poznają go zupełnie.

No, ale jesteśmy razem! Zabieramy dziecko i idziemy do żony.

Pierwszy to dzień spokojny i szczęśliwy po trzech zgórą miesiącach niepewności i wstrząsów.

Tymczasem rozpoczęły się poważne pertraktacje pokojowe w Rydze. Idą one jednak, w miarę ochłonięcia bolszewików, coraz oporniej. Bolszewicy, pobawiwszy swych wrogów domowych, a widząc że Polacy nie idą na Moskwę, ochłonęli dość prędko i zaczęli się targować i zwlekać.

Otóż pewną podniętą i zachętą dla nich okazał się Kronsztadt III-ci t. j. powstanie Kronsztadu, które wybuchło 1-go marca 1921 r., a trwało 18 dni.

III-ci KRONSZTADT

1 — 18 marca 1921 roku.

Powstanie Kronsztadu poprzedziły rozruchy w Petersburgu. Kryzys opałowy, aprowizacyjny, kolejowy doszedł do kresu. Cały ciężar kryzysu spadł na masę najbiedniejszą — robotniczą. Widoczne było, że rząd sowiecki nie daje sobie rady. Bolszewicy sami, widząc rozprężenie i opuszczając ręce, mówili, że kraju nie uratuje już teraz nie tylko wolny handel, lecz nawet ani konstytuanta, ani sam Pan Bóg.

Uznając jednak swą niezaradność, bolszewicy nie robią żadnych ustępstw ludności.

Tymczasem, z powodu kryzysu stanęły fabryki. Robotnicy, bez pracy mityngują. Nastroj wrogi komunistom. Uchwalają wnioski o zrzuconiu bolszewików i przejściu do prawdziwych rządów ludu. I w tej atmosferze usuwa się na drugi plan pierwotne hasło ruchu: żądanie wolnego handlu; a wysuwane są już hasła wybitnie polityczne: precz z komunizmem!

Niech komuniści oddadzą władzę ludowi!

Różnica w zdaniach sprowadzała się jedynie do tego, że kiedy jedni żądali tylko wolnych wyborów do sowietów, drudzy żądali konstytuanty (»Uczreditielnoje sobranje«). Wszyscy zaś zgodni byli w jednym, że drobnymi łatkami zło nie da się naprawić, że zło trzeba leczyć radykalnie.

W tym duchu były wnioski es-erów i mieńszewików. To też ich zaczęto prześladować energicznie.

24 lutego stanęły fabryki »Laferm«, »Trubocznyj«, »Patronnyj«, »Bałtijskij« zawody (»zawod« — fabryka). Wszystko to olbrzymie fabryki, pracujące na wojsko, — każda, mająca po kilka, lub kilkanaście tysięcy robotników.

Nazajutrz, 25 lutego, do walki z poczynającym się ruchem w Pe-

trogradzie zostaje utworzony komitet obrony pod przewodnictwem Zinowjewa (Apfelbaum).

Ruch robotniczy niebawem przechodzi w rozruchy, zaburzenia. Wojsko oświadcza, że przeciwko ludowi nie wystąpi. To też część wojska zostaje rozbrojona. Niepewnym okazał się nawet »korpus morski« (szkoła kadetów morskich), który obecnie kształcił przyszłych czerwonych oficerów marynarki. W tych dniach otoczono go przez kursantów kawalerji. Po stłumieniu rozruchów zaczęły się w wojsku egzekucje.

Fabryka »Trubocznyj«, gdzie uchwalono wniosek przeciw rządowi, zostaje zamknięta. Robotnicy tej fabryki idą do innych fabryk, aby tam uniemożliwić pracę.

Na wyspie »Wasiljewskij ostrow« zbierają się tłumy po 2—3 tysiące robotników. Kursanci rozpraszają te tłumy, jak również i mityngi robotnicze.

Ruch ogarnął całe miasto. Ferment opanował i znaczną część garnizonu.

Na zebraniu Petrogradzkiego sovietu dnia 25 lutego komisarz floty bałtyckiej Kużmin melduje, że ferment ogarnia i marynarzy i wojska w Kronsztadzie.

Władza sowiecka wyczekuje.

Podniecenie mas wzrasta.

Podniecenie to znalazło swój wyraz w proklamacji z dnia 27-go lutego. Oto jej treść:

»Konieczna jest radykalna zmiana całej polityki władzy, a przede wszystkim robotnikom i włościanom potrzebna jest wolność. Nie chcą oni żyć, jak się zachce bolszewikom (»po bolszewickiej ukazkie«), sami chcą rozporządzać swym losem. Towarzysze! utrzymując porządek rewolucyjny, żądajcie w sposób zorganizowany i stanowczy:

Uwolnienia wszystkich aresztowanych socjalistów i bezpartyjnych; zniesienia stanu wojennego; żądajcie wolności słowa, prasy i zebrań dla wszystkich pracujących. Żądajcie wolnych natychmiastowych nowych wyborów komitetów fabrycznych, komitetów związków zawodowych i — sovietów. Zwolujcie zebrania, uchwalajcie wnioski, wysyłajcie delegatów do władz, domagajcie się realizacji waszych żądań«.

Władza odpowiedziała aresztami i rozbijaniem robotniczych organizacji.

28-go ukazała się socjalistyczna robotnicza proklamacja, która formułuje żądania jeszcze wyraźniej:

»...Wiemy dobrze, kto się obawia konstytuanty! To ci, którzy nie będą już mogli rabować, lecz będą jeszcze musieli odpowiadać przed wybrańcami ludu za to, że oszukali lud, ... za wszystkie wogóle zbrodnie. Precz więc ze znieprawionymi komunistami! Precz z władzą sowiecką! Niech żyje konstytuanta całego narodu« (»Wsiemnarodnoje Uczreditielnoje sobranje«).

Tymczasem rząd, nie mając oparcia w garnizonie Petrogradu, ściągnął liczne eszelony doborowych oddziałów komunistycznych z prowincji i z frontów. I w parę dni cały ruch został zlikwidowany. A dla utrzymania ludności w uległości i dla zapobieżenia rozruchom w bliższej przyszłości wydano robotnikom ekstra więcej chleba, tłuszczów i tkanin. Ludność była już tak sterroryzowana, że ten uwłaczający datek przyjęła z psią wdzięcznością i pokorą, — i siedziała cicho. I bolszewicy mieli wszelkie powody do pewności, że i nadal będą siedzieli cicho.

Wypadki te odbiły się głośnem i bolesnem echem w Kronsztadzie, zwłaszcza wśród marynarzy.

Zmieniła się bowiem w tym czasie psychologia tłumu wojskowego w Kronsztadzie. Trzyletnia wojna domowa wypompała prawie wszystek materiał ideowo-komunistyczny i zjadła. Pokruszyli się komuniści kronsztaccy w walkach z Kornilowem, Kołczakiem, Judeniczem, Denikinem i Wranglem. Pozostali przeważnie »papierowi« komuniści, ci co poszli do partji ze strachu, lub dla zysku, no i... garstka zaledwie prawdziwych.

Z drugiej strony — stanowisko marynarzy, jako pretorjanów bolszewizmu, dawno upadło. Przyczyniła się do tego pewna niezależność ich postawy wobec rządu. Przecież kiereńszczyzna zawdzięczała im zwycięstwo nad Kornilowem, bolszewicy zaś — sam przewrót, który im dał władzę.

Ta niezależna postawa, pewna krytyka władzy, — bo bądź co bądź marynarze — to najinteligentniejszy odłam wojska, — pozbawiają ich sympatji rządu.

Rząd nie chce zależeć od nikogo.

Chce jedynie wykorzystywać ludzi, jako rzecz. I oto, korzystając z buntu Kronsztadu 1919 r., odrzuca od siebie masę marynarską, pozbawiając ją wyjątkowych faworów i pakując marynarzy, jak zwykle by było, do lochów... i mordując.

Ta zmiana wpłynęła niezawodnie na marynarzy ochładzająco i rewelacyjnie.

Pretorjanami teraz stają się Łotysze, częściowo — oddziały sformowane z jeńców z wielkiej wojny: Węgrów, Austriaków, a również — z Chińczyków bezrobotnych, których całe chmary napłynęły do Rosji w czasie wielkiej wojny w nadziei zdobycia zarobków. Grają oni wszyscy jednak rolę już podlejszą i mniej ideową niż przedtem marynarze. A zresztą i potrzeby pretorjanów obecnie już niema. Bolszewicy się utrzymali, wytrwawszy czas najgorszy, a potem stworzyli krasną armję, czyli przeszli do planów życia bardziej normalnego. Zaś dla celów bezpośredniej ochrony rządu stworzyli specjalne pułki komunistyczne, oraz »czasti osobago naznaczenja« (»czou«) i wojska »czrezwyczajki«. Razem tego coś około 60.000 ludzi.

Nadto, marynarze kronsztadzcy, jeżdżąc na urlopy do rozmaitych miejscowości, zaczynają poznawać w praktyce, jak wygląda ustrój sowiecki i jaki jest stosunek władzy do chłopa. I tu widzą te okrutne, bezwzględne rekwizycje, areszty, czrezwyczajki, mordowanie za najmniejszy opór, za byle co... A przecież to ich już własne rodziny, nie burzuje. Zaczynają czuć, że bolszewicy, choć nazywają siebie władzą chłopską, lecz w istocie są wrogami tegoż prostego ludu.

Nastrój więc antybolszewicki już był. Więc wieści z Petersburga padają na grunt gotowy i wywołują sympatje do tego ruchu robotniczego, który ogarnął Petrograd.

I dziwnym zrządzeniem losu, rodzajem odkupienia za dawne winy, ruch współczucia i sympatji zaczął się wśród marynarzy stacjonowanych w Kronsztadzie dreadnoughtów: »Pietropawłowski« i »Sewastopol«, które w r. 1917 łącznie z »Respubliką« były właśnie głównymi ogniskami bolszewizmu (wtedy stały w Helsingforsie).

Ruch ten, rozpoczęty na dreadnoughtach, ogarnął całą flotę i załogi okrętów zaczynają uchwalać wnioski polityczne.

We wnioskach tych jednak marynarze nie występują przeciw sowietom, żądają jedynie ich reformy. Chodzi im głównie o wolność głosowania podczas wyborów.

Ruch ten z okrętów przenosi się na wojsko lądowe: piechotę i artylerję fortieczną.

Dnia 28 lutego na dreadnoughcie »Pietropawłowski« uchwalony został wspólnie z załogą »Sewastopola« wniosek ogólny w sprawie sytuacji politycznej.

Wniosek, który zwrócił uwagę władzy sowieckiej i stał się niebawem hasłem powstania.

Autorzy wniosku przypuszczali, że jeżeli nowe wybory sovietu będą odbywały się według konstytucji sowieckiej — tajnym głosowaniem, to bolszewików nie wybiorą, a zdobycze rewolucji październikowej zatriumfują.

Mamy tu, zaiste, dziwne stanowisko: Kronsztadt chce być bardziej komunistycznym, niż sam rząd komunistyczny. Walczy zatem nie z ustrojem, tylko przeciwko partji bolszewickiej, która podług niego wypaczyła istotę rewolucji październikowej. Byłoby to, niezawodnie, zbyt naiwne, gdyby to brać za dobrą monetę. Był to w istocie parawan i pozory dla mas ludowych. Nie ulega wątpliwości, że soviety, w którychby już nie było komunistów, nie zachowałyby ustroju sowieckiego, a zrobiłyby porządek generalny w stylu z pewnością drobnoburżuazyjnym, t. j. es-rowskim, gdyż to stronnictwo miałoby w pierwszej chwili największą szansę do spadku po bolszewikach.

Ruch ten jednak od samego początku nie miał charakteru zdecydowanego.

Chciano wygadać zmianę wnioskami.

Kronsztadt wysuwał, jako swój atut to, że ruch jest od samego początku pokojowy, bez żadnej agresywności i ekscesów.

Ruch w Kronsztadzie wywołał wielkie zaniepokojenie u rządu.

1-go marca zjeżdża do Kronsztadu prezes Wszechrosyjskiego Komitetu Wykonawczego (W. C. I. K.) Kalinin, właściwy prezydent republiki sowieckiej, — w asystencji komisarza floty bałtyckiej — Kuźmina. Spotkano Kalinina z honorami wojskowymi, ze sztandarem i muzyką.

Miał on osobiście wpłynąć na nastrój Kronsztadu. Na »Jakornej płaszczadi« zbiera się zawczasu ogłoszony mityng, który oficjalnie jest zebraniem pierwszej i drugiej brygad okrętów linjowych. Stało się 16.000 wojska i ludności.

Przewodniczy komunistą Wasiljew, prezes kronsztadzkiego komitetu wykonawczego.

Wysłuchano relacyj delegatów, posyłanych do Petrogradu dla zapoznania się z sytuacją, poczem odczytano wniosek wczorajszy z »Pietropawłowska«.

Przeciwko temu wnioskowi występuje Kalinin i Kuźmin. Powodzenia jednak ich przemówienia nie miały.

Poczem nastąpiło głosowanie w sprawie tego wniosku, odczytanego przez marynarza z »Pietropawłowska« Pietriczenkę, późniejszego przywódcę ruchu.

Przeciwko temu wnioskowi oddali głos tylko Kalinin i Kuźmin. Szesnaście tysięcy głosowało za nim.

Oto jest tekst tego bądź co bądź historycznego dokumentu. [Nieco mętnej, zresztą, i chaotycznej treści].

»Wniosek (rezolucja) ogólnego zebrania oddziałów wojskowych 1 i 2-ej brygad okrętów linjowych, odbytego 1-go marca 1921 r.:

Wysłuchawszy relacyj przedstawicieli posłanych przez ogólne zebranie oddziałów z okrętów do Petogradu dla zbadania stanu rzeczy w Petrogradzie, postanowili:

1. Wobec tego, że obecne sowiety nie wyrażają woli robotników i włościan, dokonać natychmiastowych nowych wyborów do sowietów przez głosowanie tajne. Przyczem, przed wyborami przeprowadzić uprzednio wolną agitację wśród wszystkich robotników i włościan.

2. Wolność słowa i prasy dla robotników i włościan, anarchistów i lewych partyj socjalistycznych.

3. Wolność zebrań i związków zawodowych, oraz zrzeszeń włościańskich.

4. Zwołać nie później niż 10 marca 1921 r. bezpartyjną konferencję robotników, krasnoarmiejców i marynarzy miasta Petogradu, Kronsztadu i gubernji petrogradzkiej.

5. Uwolnić wszystkich więźniów politycznych ze stronnictw socjalistycznych, a również wszystkich robotników i włościan, krasnoarmiejców i marynarzy, aresztowanych w związku z ruchami robotniczymi i włościańskimi.

6. Obrać komisję do zrewidowania spraw ludzi zamkniętych w więzieniach i obozach koncentracyjnych.

7. Skasować wszelkie »Politotdieły«, albowiem żadna partja nie może (nie powinna) korzystać z przywilejów dla propagandy swych idei i otrzymywać na te cele pieniądze od państwa. Zamiast nich powinny być utworzone wybrane z miejsc komisje kulturalno - oświatowe, którym środki powinno dawać państwo.

8. Natychmiast usunąć wszystkie »Zagraditielnyje otriady«,

(niedopuszczające wolnego handlu i obsadzające pociągi i stacje węzłowe).

9. Zrównać rację żywnościową dla wszystkich pracujących, wyjąwszy zawody szkodliwe.

10. Skasować we wszystkich oddziałach wojskowych komunistyczne bojówki, jak również wszelkie dyżury komunistyczne w fabrykach. Na wypadek zaś potrzeby bojówek lub dyżurów, — bojówki kompletować z kompanij, dyżury fabryczne — według decyzji robotników.

11. Dać włościanom całkowite prawo rozporządzania wszystką ziemią według własnej woli, oraz aby włościanin miał własną trzodę i sam nią dysponował; nie korzystając jednak (w gospodarce) z pracy najemnej.

12. Prosimy wszystkie oddziały wojskowe i towarzyszy kursantów wojennych, aby się przyłączyli do naszego wniosku.

13. Żądamy, aby wszystkie wnioski (nasze?) były szeroko ogłaszane w prasie.

14. Wyznaczyć biuro objazdowe dla kontroli.

15. Dozwolnić wolne drobne wyrobnictwo własną pracą (bez najemnika).

Wnioski przyjęte przez zebranie brygad jednogłośnie przy dwu powstrzymujących się.

Przewodniczący zebrania brygad

(—) *Pietriczenko.*

Sekretarz

(—) *Pieriepiółkin.*

Po przyjęciu tego wniosku Kalinin bez przeszkód odjechał z powrotem do Petrogradu.

Mityng uchwalił jeszcze wysłać do Petrogradu delegatów dla zorientowania się w sytuacji. Otóż 30-u delegatów miało pojechać, aby petersburskim robotnikom i wojsku objaśnić stanowisko Kronszładu, oraz żądać od petrogradzian wysłania bezpartyjnych delegatów, aby tamci sami zbadali stan rzeczy w Kronszładzie.

Delegacja wyjechała, lecz, dodaje naiwnie kronikarz tego powstania, — w Petrogradzie ją aresztowano, i dalszy jej los Kronszładowi nie jest znany.

Nadto mityng uchwalił, wobec wygasania kadencji sovietu kronszładzkiego, zwołać na 2 marca zebranie delegatów, które miałyby

wyjaśnić, w jaki sposób dokonać nowych wyborów do sovietu kronsztadzkiego. To zebranie miało się składać z przedstawicieli okrętów, oddziałów wojska, urzędów, warsztatów i związków zawodowych.

Nazajutrz, 2.III, delegaci owi zebrali się.

Komunistów wśród nich było zaledwie kilku, pozatem wszystko bezpartyjni. Prezydjum obrano jawnem głosowaniem.

Głównym tematem obrad były wybory do sovietu. Zebranie rozpoczęte zostało przemówieniami komunistów: Wasiljewa — przewodniczącego komitetu wykonawczego kronszt. sovietu, oraz Kuźmina — komisarza floty bałtyckiej.

Zdecydowanie wrogie względem rozpoczętego ruchu stanowisko obu mówców spowodowało ich aresztowanie na zebraniu.

Reszcie komunistów pozwolono jednak zostać, traktując ich na równi z innymi członkami.

Chciano, dalej, zająć się sprawą organizacji nowych wyborów, lecz alarmujące (choć fałszywe) wiadomości o zachowaniu się bolszewików w mieście, oraz pogrożki Kalinina, Kuźmina i Wasiljewa — zmuszają do natychmiastowego zorganizowania tymczasowego komitetu rewolucyjnego dla zmobilizowania obrony i kierownictwa ruchem. A widząc, że niema już czasu na normalne wybory takiego komitetu, zebranie uchwała, aby prezydjum obecne zostało tym komitetem, a jego przewodniczący — prezesem komitetu.

Komitet ten siłą rzeczy stał się jedyną władzą w Kronsztadzie. Miał on zarządzić nowe wybory sovietu; na to już nie miał ani czasu, ani sposobności, gdyż musiał zająć się obroną.

Kwaterę komitet założył na dreadnoughcie »Pietropawłowski«. Gazeta sovietu »Izwestja« ogłosiła listę członków komitetu, aby zadać kłam rządowi, który ogłosił, że w Kronsztadzie wybuchła »generalska« kontrrewolucja, którą kierują generałowie i oficerowie. Z listy tej widzimy, że istotnie członkowie komitetu należą do szarej masy, i oficerów wśród nich wogóle niema. Nawet z inteligencji jest tylko jeden przedstawiciel, nauczyciel Orieszyn. W służbie jednak, na różnych posterunkach było trochę dawnych oficerów, ale nie grali oni roli kierowniczej. Oto jest ta lista członków komitetu:

1. Pietriczenko, prezes komitetu, pisarz z »Pietropawłowska«,
2. Jakowienko, telefonista służby łączności,
3. Ososow, maszynista,
4. Archipow, dozorca maszynowy,

5. Pierepiolkin, galwaner z »Sewastopola«,
6. Paruszew, galwaner z »Pietropawłowska«,
7. Kupolow, pomocnik lekarski (»lek-pom« — felczer),
8. Wierszynin, marynarz - szeregowiec z »Sewastopola«,
9. Tugin, robotnik,
10. Romanienko, »sodierżatiel« (coś w rodzaju starszego robotnika),
11. Orieszyn, nauczyciel, kierownik szkoły pracy,
12. Walk, robotnik,
13. Pawłow, robotnik,
14. Bojkow, dozorca w taborze budowy fortecy,
15. Kilgast, szturman.

Komuniści kronsztadzcy, których było wprawdzie do 2000, nie stawili od razu zbrojnego oporu ruchowi, gdyż prawdziwych komunistów była zaledwie garstka, przytłaczająca zaś większość byli to »papierowi komuniści«; ci natychmiast wystąpili z partji i przeszli na stronę nowego ruchu.

Garść kursantów »wyższej szkoły politycznej« w Kronsztadzie, z czekistą Dulkisem na czele, opuszcza Kronsztadt i przechodzi z fortu na fort, lecz nigdzie nie może się utrzymać, aż dociera wreszcie do brzegowego fortu »Krasnaja Gorka«, który opanowuje i tam osiada. Oto dlaczego »Krasnaja Gorka«, zresztą już częściowo zdemontowana, okazała się w walce po stronie przeciwnej Kronsztadowi. Chociaż i tam, na »Gorce«, zaczęły się mityngi i uchwalają wnioski przyłączenia się do Kronsztadu. Tylko że »Gorka« jako fort brzegowy była dostępniejsza dla władzy bolszewickiej. 3-go marca zjeżdża tam sam Zinowjew z posiłkami, dla zrobienia porządku.

Pozatem, część przywódców komunistów poprostu uciekła z Kronsztadu wobec niepewności losu; w tej liczbie był i komendant fortecy.

Jakkolwiek początek ruchu w Kronsztadzie był, istotnie, całkowicie pokojowy, jak na to kładą nacisk przedstawiciele ruchu, to jednak Kronsztadt jest fortecą broniącą Petrogradu, a zarazem jest jedyną bazą floty wojennej. Baterje i flota słuchają zaś od tej chwili nie rządu sowieckiego, lecz nowej władzy kronsztadzkiej. Takiego stanu rzeczy rząd sowiecki tolerować, oczywiście, nie mógł, jak nie tolerowałby żaden inny rząd w tej sytuacji.

Prawda, wszystkie forty, z wyjątkiem »Krasnoj Gorki«, mogą

strzelać tylko na zachód. Niektóre tylko forty mają nadto ruchomą połową artylerję. Lecz jest flota o potężnych dwunastocalówkach, których na dwu dreadnoughtach jest aż 24 sztuki. Te działa kryją aż do Petersburga. Z lądu nie byłoby czem na nie odpowiadać.

Wobec tego nie mają absolutnie żadnego znaczenia naiwne wywody kronikarza tego powstania, że Kronsztadt walki zbrojnej nie zaczynał i że sowieci pierwsze zaczęły walkę i zdusiły niewinny Kronsztadt. Walka jest walką.

Prostu, mając bajeczne warunki po swojej stronie, Kronsztadt nie miał stanowczej woli do walki, cały w tem sekret. No i nie miał głowy, nie miał ludzi.

Kronsztadt ma za złe bolszewikom, że rzucili nań oszczerstwo, głosząc, że w Kronsztadzie jest zwykła kontr-rewolucja, spisek »bielogwardyjski«; że kieruje nim naczelnik artylerji fortecy generał Kozłowski, i francuski kontr-wywiad. Był to zwykły wybieg wojenny dla zachęty swego żołnierza, którego trzeba było przecie czemś podniecić, dać mu jakieś pozory walki ideowej.

Wreszcie dobrze jest znany zwyczaj wojenny, że obie strony nawzajem oblewają się błotem, oskarżają się nawzajem o najrozmaitsze zbrodnie etc.

Co się zaś tyczy tego Kozłowskiego, to wobec ucieczki komendanta-komunisty jego stanowisko automatycznie musiał zająć naczelnik artylerji, t. j. Kozłowski, lecz on właśnie uchylił się od tego i został po dawnemu »wojenspecem«, czyli tylko fachowcem (fachowym doradcą).

3-go marca zwołano na »Pietropawłowsku« zebranie komitetu i wszystkich dowódców — fachowców. Uchwalono tam przenieść kwaterę do miasta, do »domu sowieców«.

Warto zauważyć, że fachowcy proponowali, korzystając z bierności bolszewików, mając czas, rozpocząć działania wojenne (zaczepne). Nie usłuchano ich.

Bierność zaś bolszewików objaśniała się tem, że w Petrogradzie nie było dostatecznej ilości wiernych wojsk. Dla akcji decydującej Trocki zbierał na prowincji najlepsze oddziały kursantów. Zanim one przybyły, zwlekał, nie robił żadnych kroków. Zbieranie to zajęło 8 dni. I te 8 dni, w ciągu których można było zrobić pozycje Kronsztadu nie do zdobycia, zostały przez komitet w całości zmarnowane. Załoga Kronsztadu wynosiła około 14.000; amunicji było

kilka milionów pocisków (artylerji). Prawda, nie było łamacza lodów, żeby niedopuszczyć do szturmów, lecz była kompanja saperów, która łatwo mogła powysadzać lód dookoła wyspy przynajmniej od strony oczekiwanego natarcia.

Nie zrobiono nic.

Komitet chciał wygrać z bolszewikami samą tylko słuszością sprawy, i nie chciał przelewu krwi(!).

Komitet był ślepo przekonany, że on daje tylko hasło i robi początek, a że cała Rosja natychmiast powstanie, i bolszewików zrzucą naraz i wszędzie.

Na usprawiedliwienie swej opieszałości przywódcy mówią, że ruch wybuchł żywiołowo, że powstania, ściśle mówiąc, nie było, — był jedynie pokojowy żywiołowy protest. Gdyby zaś było powstanie i zgóry uplanowane, to, powiadają, nie wybuchłoby ono, zapewne, w marcu: przeczekanoby tylko miesiąc, do spłynięcia lodów, i pozycja Kronsztadu byłaby odpowiednią do walki.

Niech i tak będzie. Dowodzi to jednak tego tylko, że przywódcy ruchu, który się, bądź co bądź, rozpoczął, byli to źli przywódcy, którym wogóle nie należało brać się do rzeczy.

Zebrawszy dostateczne siły, rząd posłał Kronsztadowi ultimatum: wydać prowodyrów i zdać się na łaskę.

Takiej propozycji komitet nie przyjął i zdecydował się teraz na obronę.

Trockij ściągnął olbrzymie i doborowe siły, uprzednio wymordowawszy kilka tysięcy żołnierzy wojsk okolicznych, którzy odmówili udziału w wyprawie.

Na czele tej armji, mającej zdobywać Kronsztadt, postawiono sztabs-kapitana Tuhaczewskiego, znanego nam z wojny r. 1920.

Co do ilości wojsk bolszewickich ściągniętych pod Kronsztadt, to nie mam danych dokładnych. Mam tylko pogłoski i kalkulację. Otoż pogłoski podawały maximum na 162.000. Ta liczba jednak z pewnością jest przesadzona, gdyż tyle pewnych wojsk nie było skąd wziąć. Kalkulacja wskazywałaby liczbę 32—36.000. I oto dla czego: bolszewicy armję swą podzielili na dwa oddziały — północny i południowy. Kierownictwo było przy południowym, oranienbaumskim oddziale. Każdy z tych oddziałów musiał być silniejszy od całej załogi Kronsztadu na wypadek działań samodzielnych przy unieruchomieniu drugiego oddziału, czyli drugiej połowy. Ta liczba więc wydaje mi się prawdopodobną.

I tak, inicjatywa teraz przechodzi w ręce rządu i doborowego sztabu, zdecydowanego ze względów politycznych do akcji szybkiej i stanowczej i przynaglanego w tym kierunku przez Sownar-kom (— rada komisarzy, czyli ministrów).

W Kronsztadzie tymczasem zdobyto się jedynie na uzbrojenie robotników i ludności wogóle, głównie dla wewnętrznej obrony miasta, gdyż żołnierze musieli iść na forty.

Zanim padną pierwsze strzały, zanim przemówią armaty... pracuje z obu stron radjo. Komuniści z Petrogradu i Moskwy agituja na całą Rosję, krzycząc, że w Kronsztadzie wybuchła białogwardyjska kontr-rewolucja, która wbija nóż w plecy ludu roboczego. Zaś Kronsztadt krzyczy przez radjo: »Falsz! nieprawda!... słuchajcie: bolszewicy lżą! Niema u nas żadnych generałów! Oto są nasi przywódcy...« i rozgłaszają listę członków komitetu.

Bolszewicy korzystają nadto i z tego, że mają aeroplany tuż w Oranienbaumie (»Czudskoj gidroawiacjonnyj otriad«), a Kronsztadt ich nie posiada. Otóż codziennie latają nad Kronsztadem i rzucają nie bomby wybuchowe, lecz bomby trujące, odbierające męstwo. A więc proklamacje, głosząc w nich, że poaresztowali wszystkich krewnych przywódców ruchu; że jeżeli włos z głowy spadnie aresztowanym w Kronsztadzie komunistom, to pospadają głowy wszystkich zakładników. Dalej, że Kronsztadt będzie otoczony i żywa noga stamtąd nie wyjdzie, że przywódcy uciekną do Finlandji, a oszukane rzesze krasnoarmiejców, marynarzy i robotników nie będą miały gdzie się podziać i że ich los będzie marny i głupi etc. etc.

Wreszcie Trocki był gotów.

Gadanina się skończyła. 7-go marca o g. 6 m. 45 wieczór padły pierwsze strzały. Zaczęli bolszewicy z baterij północnego brzegu, z »Lisiego nosa« i Siestorecka. Forty, nieco przystosowawszy baterje do ognia flankowego, zmusiły baterje bolszewików do milczenia.

Zaraz potem »Krasnaja Gorka« zaczyna ogień, lecz »Sewastopol« zmusza ją do milczenia.

Rzecz nadzwyczaj godna uwagi i wielce charakterystyczna dla ruchu powstańczego, że kiedy się już zaczęła walka, kiedy grzmia i wyją nad Kronsztadem pociski, — prasa, czyli jedyny obecnie

dziennik kronsztadzki — »Izwestja« komitetu, samą akcją nie zajmuje się, nie podaje nawet ścisłej kroniki bojowej, lecz głównie i prawie jedynie śpiewa radosne hymny wolności, przekazując je przez radjo. A więc tegoż 7-go marca w długim radjo winszuje robotnikom całego świata ich święta, podkreślając, że to jest pozdrowienie z obłożonego Kronsztadu, który powstał przeciwko tyranji. Chociaż jako środek agitacyjny posunięcie takie mogło się przydać.

Dalej w radjo jest więc i o tem, że Kronsztadt walki nie chciał, że na nikim się nie mścił, że wrogów swych nie mordował etc.

Tehnie ten ruch wielkim wszechwybaczącym duchem rosyjskiego ruchu wyzwolenczego. Kronsztadt jest dumny ze swej wspaniałomyślności. Nie chce iść w ślady ciemieżców.

Swe stanowisko określa Kronsztadt jako walkę o trzecią rewolucję. Pierwsza — to Kiereńszczyzna, druga — bolszewicy, trzecia — przeciwko bolszewikom. Hasło może i dobre na chwilę bieżącą, ale właściwie już nie nowe, bo przecie dwuletnia wojna (właściwie trzyletnia) domowa była niczem innym, jak właśnie walką z bolszewikami, w której biorą udział tak samo lewe partje t. j. »es-ery« i »mieńszewiki«.

Ale każdy ruch potrzebuje hasła, no i to hasło kronsztadzkie nie było najgorsze.

Jednak było ono jedynie hasłem, gdyż nie stał za niem żaden realny program. Ten zaś niby program, że »precz z bolszewikami, a niech żyją sowiety!«, gdyby go brać na serjo, był tak głupi i bałamutny, że go w piśmie nie rozwijano.

Szturm Kronsztadu.

Nazajutrz, 8 marca, w nocy dowódca północnej bolszewickiej grupy, Kazanski, przypuszcza szturm do fortów. Kursanci, ubrani w białe płaszcze dla maskowania się na śniegu, zdobyli fort Nr. 7, lecz ponoszą tak wielkie straty, że się cofają z powrotem. Ten jeden szturm kosztował tysiąc zabitych kursantów-bolszewików.

Sytuacja Kronsztadu staje się jednak rozpaczliwa. Po obsadzeniu fortów zostało w Kronsztadzie dla aktywnych operacyj zaledwie 3.000 żołnierzy. Rezerw żadnych. A więc ciągłe czuwanie, zmęcze-

nie, brak snu, brak i prowiantu, służba ochrony obiektów wojennych bez żadnego złuzowania — wszystko to wyczerpywało siły garnizonu.

A Trocki tymczasem gromadzi coraz nowe, świeże siły... kursorantów, czekistów, Baszkirów etc.

Trzyma się Kronsztadt jedynie nadzieją na rychłą pomoc Petersburga i całej Rosji.

Wydawało się niemożliwym, by Petrograd, w którego obronie powstali, nie wsparł ich.

Jednak nadzieje zawiodły. Najbliższe miejsce, skąd mogła przyjść pomoc, Petrograd — był zlikwidowany. W całej zaś Rosji powstanie Kronsztadu nie wywołało ani szybkiego, ani silnego echa. Ruchury wprawdzie były tu i ówdzie, lecz nie nazbyt groźne.

Wogóle należy tu zauważyć, że w ciągu całej wojny domowej bolszewicy mają strategiczną przewagę nad kontr-rewolucją. Bolszewicy stanowią zwartą masę w centrum Rosji, mają jednolite plany i dowództwo, są wszędzie jednakowi; a kontr-rewolucja jest rozproszkowana. Niema ani jednego planu, ani jednolitej tendencji. Co gorzej ruchy kontr-rewolucji wybuchają w różnym czasie i w różnych miejscach, i to wyłącznie na peryferjach, nie łącząc się ze sobą operacyjnie. To daje możność bolszewikom gnieść po kolei każdy taki wybuch, a wreszcie, wogóle zlikwidować jawną i zbrojną kontr-rewolucję.

Od samego więc początku Kronsztadt skazany został na walkę o własnych siłach. Należy tu jeszcze zauważyć, że żadna inna miejscowość Rosji wogóle nie miała tak sprzyjających warunków do zbrojnych wystąpień i buntów, jak Kronsztadt, który jest nie tylko fortecą, lecz fortecą morską i, w dodatku, — na wyspie. Więc nie tylko jest obozem warownym, lecz posiada środki komunikacji i jest zarazem ruchomą fortecą (flota). Ma środki obronne i agresywne, szachując przy tem Petersburg. Nadto jest bajecznie wyposażony w amunicję.

W walce z Kronsztadem bolszewicy wygrywają jeszcze jeden atut. Oto powstanie Kronsztadu wywołało u emigracji nadzieję na obalenie bolszewików. Do Kronsztadu więc płyną pozdrowienia od Burcewa i innych; zagranicą zaczynają zbierać środki finansowe wśród plutokracji dla pomocy Kronsztadowi, w nadziei na prędkie ustalenie nawigacji. Wychodzą na widownię postaci i bardziej prawicowe, jak Guczkow. A prasa zagraniczna bałamutnemi pogłoskami wprowadza zupełny chaos do opinji o Kronsztadzie.

Co było na rękę powstańcom, niewiadomo. Może, gdyby przetrzymali do nawigacji, toby chętnie przyjęli i pomoc zagraniczną finansową i pana Burcewa i t. d. Lecz przedwczesne o tem trąbienie, jako o rzeczy, której nie można na razie skutecznie, z pewnością ich tylko denerwowało, psując im szyki wśród tych mas, które w tej chwili mogły właśnie im pomóc.

Sytuację tę skwapliwie wykorzystują bolszewicy. Powtarzają oni wiadomości gazet zagranicznych o rzekomych stosunkach Kronsztadu z burżuazją zagraniczną. Ba, piszą już od siebie o tem, że do Kronsztadu jedzie pretendent do tronu rosyjskiego — wielki książę Dmitrij Pawłowicz. W ten sposób zohydzają w szerokich masach ruch wyzwolenczy w Kronsztadzie, jako próbę nawrotu nawet do dawnej monarchji.

Była to dla Kronsztadu broń gorsza od armat bolszewickich, bo przeciwko niej nie było czem walczyć! Nadto i radjo mieli za słabe.

Odżegnywał się Kronsztadt, jak mógł, od przyjaciół z prawicy, lecz... tylko w swych »Izwestjach«. Głos ich do nikogo nie dochodził, a i agitacja bolszewicka robiła swoje. Jakkolwiek Kronsztadt ze swej strony podnosił niepatryjotyczność rządu sowieckiego, wytykając, że bolszewicy idą na wielkie ustępstwa Angliji i Polsce, byle tylko mieć ręce wolne dla zburzenia prawdziwie ludowego ruchu w Kronsztadzie.

Polityczne stanowisko, jakie zajął Kronsztadt, było istotnie w obecnej chwili beznadziejne. Hasłem jego było: »Precz z kontr-rewolucją od prawicy i od lewicy!« i »Wszystka władza sowietom, nie partjom«. Nie było to bardzo zrozumiałe ani nazewnarz, dla emigracji, ani dla użytku wewnętrznego — w głębi Rosji.

Kiedy po upadku ruchu przywódców już na emigracji zapytywano, dlaczego Kronsztadt w swej walce nie wyzyskał tak potężnego atutu, jak hasło walki o konstytuante, przez co niezawodnie oblicze ruchu stałoby się dla wszystkich wyraźne, to przywódcy objaśniali to przemilczeniem tem, że się obawiali, że wybory przy komunistach i przy głosowaniu jawnem na listy z ludźmi nikomu nieznanymi dadzą sporo komunistów i w konstytuancie, — a więc byłaby ona nową postacią komisarowładztwa. Trzeba zaś najpierw, aby chłopci, wybierając swe sowiety na miejscach, a więc z ludzi znanych i głosowaniem tajnem, oczyścili je (sowiety) od komunistów, a potem już żeby te sowiety zarządziły wybory do konstytuanty.

Może i mieli rację.

10 marca od nocy wznawia się ogień artylerji. Bolszewicy bombardują miasto i forty z obu wybrzeży. Kronsztadt energicznie odpowiada.

O 4-ej rano południowa grupa wyrusza do ataku na Kronsztadt, lecz jest odrzucona. Próby szturm trwają 4 godziny: od 4 do 8-ej rano. Wszystkie próby były udaremnione ogniem artylerji i oddziałów garnizonu.

11-go spokój. Gęsta mgła przeszkadza strzelaninie. Były tylko słabe próby strzelania, z przewagą Kronsztadu.

12 marca (od r. 1918 — nowy styl) — rocznica wielkiej rewolucji r. 1917 (t. j. obalenia caratu). Dzień mija spokojnie aż do nocy.

Kronsztadt w prasie akcentuje znaczenie tego dnia. »Jest to dzień obalenia samodierżawja i wigilja obalenia komisarodierżawja! Kronsztadt zawsze był w pierwszych szeregach rewolucji... zarówno w marcu, jak i w październiku 1917 r. Tylko że październikowa rewolucja jest wypaczona; bolszewicy oszukali lud. I oto teraz Kronsztadt pierwszy podnosi sztandar nowej, trzeciej rewolucji, która ma wreszcie być prawdziwą ludową, — rewolucją mas pracujących«.

W nocy z 12 na 13 marca komuniści następują od południa. Znowu nocne ataki, znowu białe płaszcze... znowu odparty szturm coraz to napływających świeżych wojsk: kursantów z prowincji, pułków komunistycznych, wyborowych oddziałów inorodców.

14-go Kronsztadt jeszcze jest pewien siebie, jeszcze nie traci nadziei, pomimo straszne noce bezsenne, kiedy trzeba było odpierać ataki oddziałów nieprzyjaciela, idących masami, jak widma, w białych całunach po lodzie, otaczającym forty, a pokrytym śniegiem.

Służba czatownicza na lodzie, placówki, patrole, oddziały na lodzie. W śnieżyce, w zamieć, przy ostrym mrozie...

A tam, na wybrzeżu »krwawy feldmarszał« Trockij (ściśle: »pre-rewwojensowiet«, czyli przewodniczący rewolucyjnej rady wojennej i »komandarm« (dowódca armji) Tuhaczewskij gromadzą coraz to nowe oddziały, wysortowując niepewne, a zamieniając je najbardziej komunistycznie nastrojonemi.

»...A w stolicach państw europejskich«, woła komunikat powstania, »agenci bolszewicy idą na najniższe upokorzenia, na wszelkie ustępstwa, aby przy poparciu rządów tej samej Ententy, o stosunki

z którą oskarżają oni Kronsztadt, zablokować to wolne miasto, przeszkodzić dowozowi aprowizacji...»

Więc miał jeszcze wiarę Kronsztadt. Wierzył, że musi przecie Rosja odezwać się i wziąć ze słabnących rąk Kronsztadu sztandar buntu i zwycięstwa.

Nie można jednak zbyt długo żyć samą wiarą, o ile za nią nie idą fakty i czyny, popierające ją.

Trocki wreszcie zgromadził wystarczającą ilość wojska. Kronsztadt tymczasem gonił ostatkiem sił.

Olbrzymi front, zajmowany przez forty, ciągnący się ponad 20 kilometrów, wyspę długości 10 kilometrów oraz miasto nieobronne... obronić tym szczupłym garnizonem, liczącym zaledwie 13-14.000, było niepodobieństwem. Na dobitkę niema łamacza lodów, który mógłby uniemożliwić szturm do samej wyspy. A forty strzelają tylko na zachód i od wschodu są prawie bezbronne. Broni je tylko załoga karabinami, oraz na niektórych — artylerja polowa.

16-go zaczął się przygotowywać do szturmów ogień artylerji bolszewickiej. Artylerja ta teraz strzela lepiej, niż poprzednio. Z nastaniem zmierzchu idą bolszewicy do ataku na forty numerowe, bliższe do brzegów. Białe płaszcze z kapturami, zupełnie maskujące ludzi, dają im możność iść zwartymi kolumnami. Ze wszech stron... od północy i południa i od wschodu idą oddziały kursantów na nieliczne garstki obrońców Kronsztadu, zagubionych w mrokach nocy zimowej na lodzie zatoki, na fortach, daleko jeden od drugiego rozrzuconych.

Na rano znaczna część fortów została zdobyta. Przez słabe miejsce Kronsztadu, »Pietrogradskije worota«, od południa wtargnęli do miasta kursanci.

Widząc bezskuteczność dalszej obrony, Komitet ściąga wojska ku najbardziej na zachód wysuniętej części wyspy, ku baterji »Rif«, i stąd, pomiędzy »Rifem« a prawym najbliższym fortem, który się jeszcze broni,... wyrusza ponury kondukt na pielgrzymkę i tułaczkę... na wygnanie. Ku fińskiemu brzegowi.

Uratowało się ucieczką ponad 8.000 obrońców Kronsztadu.

Garść, która rzuciła swe życie na stos,... broni się jeszcze zaciekle, osłaniając ucieczkę towarzyszy i odstępując powoli w tym samym kierunku. I, o ile nie pada na placu boju i nie trafia do niewoli, ratuje się w ciemnościach nocy dnia następnego. Cały dzień mężnie walczyli, dali cały dzień czasu na ucieczkę 8.000 ludzi.

Znam Kronsztadt. Mogę ocenić ich czyn: ta garść mi imponuje.

Obrona Kronsztadu skończyła się 18 marca 1921 r. późną nocą.

Drogo kosztował komunistów Kronsztadt. Samych zabitych, których chować nie mieli czasu, ani nie mieli gdzie, więc spuszczała pod lód, — liczono kilkanaście tysięcy. Szturm dziesięciodniowy na lodzie, w mróz i zawieję, przy lodowatym przesywającym wietrze, przy zacieklej obronie... wymagał najwyższego napięcia nerwów i woli... woli dowódców. Ileż to oddziałów bolszewickich zawróciło z drogi, a załamało się! A ile potem było egzekucyj... nikt tego nie spisywał... niesie o tem tylko podanie tego ludu poniewieranego, który tyle już, tyle wycierpiał.

Broczył krwią i rzeził sam zwycięzca bolszewicki.

Musiał się więc zabezpieczyć od tego miasta raz na zawsze. Więc w celu ostatecznego zlikwidowania buntu i uspokojenia Kronsztadu mianowano komendantem Kronsztadu Dybienkę, który się już dał poznać uprzednio na innych frontach wojny domowej, jako człowiek bezwzględny i zawzięty. W samym początku bolszewizmu, w październiku — listopadzie r. 1917 był członkiem (jednym z trzech) komisariatu (połączonego) morskiego i spraw wojskowych. Przed rewolucją był prostym marynarzem floty wojennej («sodierżatielek»).

On to miał «uspokoić» Kronsztadt.

Zadanie miał o tyle teraz łatwe, że buntowników już nie było: kilka tysięcy poległo, 8.000 uciekło, a resztę uwięziono. Ci właśnie mieli być teraz objektem uśmierzenia.

Aby upozorować słuszność swego stanowiska, że walczyli z białogwardyjską kontr-rewolucją, bolszewicy wybrali z masy jeńców 13 byłych oficerów, urzędników i szeregowców i zarządzili nad nimi sąd w Petrogradzie. Sąd skazał ich na karę śmierci. Resztę mordowano bez tej komedji.

Prawda, z prawdziwych «winowajców» została tylko garstka, ta — w więzieniach. Poszli oni pod mur.

Wyłapano też trochę inteligencji, co do której były jakiegokolwiek poszlaki; wyłapano również i z pośród robotników i pozostałych wojsk. Zapchano więzienia i mordowano.

Po tygodniu nastąpiła cisza.

1

Kronsztadt już był zupełnie uległy władzy sowieckiej. Dybienko okazał się godnym zaufania.

Zemsta bolszewików była tem okrutniejsza, że Kronsztadt rzeczywiście nabawił ich wielkiego strachu. Niechby się jeszcze trzymał tylko dwa tygodnie, a ruszyłyby lody, i Kronsztadt byłby wogóle nie do zdobycia. Co gorzej, — sam Kronsztadt z początkiem nawigacji mógł z łatwością zdobyć niedawną stolicę w ciągu kilku godzin.

Rozumieli sytuację bolszewicy dobrze i śpieszyli. Nadto Kronsztadt przecie nawiązałby bezpośrednią komunikację z brzegiem fińskim i z Zachodem, mógłby otrzymać rozmaite posiłki; a wtenczas... mając wrzód ropiący w Kronsztadzie i straciwszy Petrograd, władza sowiecka znalazłaby powstania i w innych miejscach, powstałyby inne jeszcze miasta i okolice; wojska sowieckie musiałyby się rozbić na dużo karnych oddziałów; nie dałyby sobie rady, i w nichby się mógł zacząć ferment, i... moglibyśmy już oglądać upadek bolszewizmu.

A więc radość, że to gniazdo wreszcie i to w sam czas zdobyte... choć i za drogą cenę. A więc teraz, lub nigdy... wyciąć, wypalić zarazę, aby już nigdy więcej nie zagrażała.

Pomimo zwycięstwa bolszewików, ten »trzeci Kronsztadt« był to wstrząs. Wstrząs tak potężny i gwałtowny, że zagroził samym podstawom państwa sowieckiego.

Wywołał więc rozmaite ustępstwa na rzecz ludności państwa sowieckiego, jak również i zagranicy.

Przedewszystkiem, trzeba było skończyć z Polakami. Widząc, że Polacy na Moskwę nie idą i nie pójdą, bolszewicy przeciągają rozmyślnie pertraktacje ryskie. Teraz musiały one być zakończone natychmiast, aby rząd mógł mieć ręce wolne wewnątrz kraju.

Widzimy, że dzień podpisania traktatu ryskiego zbiega się z końcem operacji przeciwko Kronsztadowi. Mogło się bowiem bolszewikom wydawać, że długi opór Kronsztadu, którego przełamać nie są w stanie, ujawnia wszystkim słabość sowieców, a więc że Kronsztadt może się stać zachętą dla Polaków do zerwania rokowań i dalszego prowadzenia wojny. A za Polakami poszliby niezawodnie inni.

Dalej, sowiety robią ustępstwa na rzecz Anglii, podpisując z nią w tym właśnie czasie traktat handlowy, wybitnie niekorzystny dla Rosji, a otwierający drogę do niej kapitałowi angielskiemu.

W tym samym czasie, dokończywszy wspólnie z Turcją podboju republik kaukaskich, oddają Turcji najważniejsze fortece i połacie kraju Zakaukaskiego.

W tym samym czasie hojnie rozdają koncesje cudzoziemcom wewnątrz Rosji, na coby się przedtem nie wazyli.

Nie jest jednak ta taktyka sowietów całkiem nową, nawet dla nich. Wystarczy przypomnieć sobie pokój brzeski z r. 1918. Jak łatwo oddali oni Niemcom olbrzymie obszary kraju i... jak łatwo, zresztą, potem odebrali.

Poważniejsze jednak musiały być koncesje wewnątrz.

I oto »Sownarkom« wprowadza nowy program ekonomiczny t. zw. »Nep.« (N. E. P.)

Jest to kompromis pomiędzy czystym komunizmem a ustrojem kapitalistyczno-burżuazyjnym. Jest to przede wszystkim wprowadzenie wolnego handlu. A więc na początek powstają pod gołym niebem na placach, w oznaczonych miejscach rynki, zupełnie już legalne; później, po jakimś roku — i magazyny. O to właśnie ludności najbardziej chodziło. Było to zatem stworzenie kłapy bezpieczeństwa, przez którą w każdej chwili można było wypuścić nadmiernie zebraną parę, a którą to kłapę można było dowolnie regulować.

Te rynki... Bajeczne były te rynki. Przypominam sobie zwłaszcza jeden przy moście Obuchowskim. Dwie połowy. Na jednej produkty żywnościowe. Tylko sprzedaż kasz, mąki, masła, cukru, jarzyn, wędliny etc. etc.; na drugiej — można pod gołym niebem zjeść obiad z 2 i 3 dań, śniadanie, mieć kawę, herbatę... można było także podzeliwać buty i również pod gołym niebem ogolić się i ostrzyć włosy. Koło studni ulokował się jegomość z małym taborecikiem i udawał »Figaro«... I tuż całymi falangami dawna burżuazja stoi, trzymając w ręku, co komu jeszcze pozostało. Sprzedają srebro stołowe, papierosnice, pierścionki, nawet orderzy... dalej bieliznę, ubranie. Każdy, kto chce kupić, bierze to, rozkłada, przetrząsa...

Prócz »Nep'u« są inne nowele. Zniesiono nacjonalizację (upaństwowienie) dla drobnych warsztatów pracy, zatrudniających nie

więcej jak 20 ludzi. Dawniej nie wolno było mieć ani jednego wyrobnika, bo to już była »eksploatacja« cudzej pracy.

W ten sposób częściowo przywrócone zostały pozory własności prywatnej.

Takie oto były dzieje i los Kronsztadu w wielkiej rewolucji rosyjskiej (do wiosny r. 1921).

Astrachań

(lato r. 1921).

Na zakończenie jeszcze jeden obrazek.

W styczniu r. 1921 otrzymałem wiadomość, że wybrano mnie na profesora filozofji w Uniwersytecie Astrachańskim, nowopowstałym.

Jakkolwiek pokój ryski był już 18 marca podpisany, jednak musiało upłynąć jeszcze 3—4 miesiące, aż przybyła do Petrogradu delegacja repatrjacyjna, i okazała się realna możliwość wyjazdu. Nikt jednak zgóry nie wiedział, kiedy ona zjedzie i kiedy rozpocznie czynności. Zdecydowałem się więc w końcu maja na wyjazd do Astrachania.

Chciałem wygłosić wstępny wykład, coś za to otrzymać, no i natychmiast wrócić do Petrogradu i następnie — do kraju.

Nic właściwie w takiej wycieczce krajoznawczej nie byłoby godnego uwagi, gdyby nie nadzwyczajne czasy. I ta podróż stała się doprawdy czemś nadzwyczajnem, tak że kiedy wspominam o niej, wydaje mi się, że się to przyśniło.

Sam wyjazd zresztą był najpowszedniejszy. Oto, jako profesor, otrzymałem dokument na przejazd do miejsca i z powrotem pierwszą klasą kolei żelaznej, na statku — oddzielną kabiną pierwszej klasy.

I to wszystko — notabene — bezpłatnie, bowiem koleje i wogóle wszelkie środki komunikacji były wtedy bezpłatne.

Do Moskwy, istotnie, dojechałem międzynarodowym wagonem¹⁾. W Moskwie zatrzymałem się u siostry. Cała jej rodzina robiła sta-

¹⁾ Miejsca sypialne były już jednak nie na jedną osobę, lecz na dwie,jechałem więc nie sam... drugą osobą na tem sypialnem miejscu była dość przystojna żydóweczka.

rania o wyjazd do kraju, co było dość łatwe, bo jej mąż siedział od dwóch lat w więzieniu, w Butyrkach, i był zakładnikiem. Ich nastrój przedwyjezdny i mnie się udziela, i chcę już jaknajprędzej wracać z tego Astrachania. Syn tej siostry, chłopak 17 lat, z kolegą swoim zwał do kraju, przekradł się przez fronty i wstąpił do wojska polskiego. Druga siostra z mężem od dwóch lat już w Polsce.

A ja jeszcze tu sterczę!...

Idę do centrali biletowej w hotelu »Metropol« na placu Teatralnym, wyrabiam bilet dalej.

Tu się dowiaduję, że rozkład jazdy jest tylko na papierze, że pociągi chodzą mniej więcej okazjnie, i że są wogóle tylko »tępluszki«, czyli wagony towarowe, czasem mające nary lub ławki, przeważnie jednak puste, tak jak dla bydła. I że na taki pociąg, z »tępluszek«, trzeba godzinami i dniami oczekiwać i potem zdobywać sobie miejsce siłą, bo zawsze oczekujących jest ciżba.

Ile się napcha, tyle się napcha,... przestają się pehać wtedy dopiero, kiedy od wewnątrz zdobywcy zaczną nowych konkurentów wyrzucać. Ładowanie to przypomina ładowanie towaru, nie ludzi.

Otóż zajmuję na dworcu posterunek. Dworzec (saratowski) wygląda jak tabor cygański. Nad stłoczoną na ziemi ciżbą ludzką z dziećmi, tłokami etc. unosi się mgła kwaśnego potu, wilgoci i smrodu,... tak mocnego, że nawet i mnie przyprawia o mdłości. No a przecież dla mnie taka jazda już nie nowina. Na szczęście, czekałem tylko jakieś 7—8 godzin. Bagatela! co to znaczy wobec trzech miesięcy czczewczajki.

Miejsce zdobyć było rzeczą jednej chwili: czegoś przecie musiała nauczyć wojna i wielka rewolucja.

Gwizd, szturch,... zgrzytnięcie,... jeszcze kilka szturchańców, — i jedziemy!

Proszę sobie wyobrazić, że ten, za przeproszeniem, pociąg naprawdę ruszył. Lecz koła dość złośliwie uprzedzają: »Nie do -je -dziesz! Nie do -je -dziesz!...«

Zdoylem kawałek deski i z tłoków i tej deski skombinowałem pyszny fotel. Chcę się rozejrzeć po tej publiczności, lecz ogólny rzut oka przekonywa mnie, że lepiej się nie rozglądać.

Ciasno, duszno niemożliwie, gorąco wściekle, śmierdzi jakimś odurzającym kwaśnym potem.

Już się zabierałem do drzemki na swym »fotelu«, gdy zauważyłem tuż obok siebie, ramię przy mojem ramieniu, przy samej ścianie — jakąś miłą młodzietką inteligentną pannę, która i ubrana jest nie

z chłopska. Ależ jaki straszny smutek rozlany jest w oczach, w całej twarzy,... tak jakby wracała z pogrzebu matki, czy dziecka.

Nawiązała się rozmowa. Subtletna, delikatna.

Wkrótce, zupełnie zaraz... snuje się opowieść skrzywdzonej duszy, brutalnie zdeptanego kwiatka.

Jechała sama do rodziców na wieś z miasta. Tylko co ukończyła gimnazjum, jechała z maturą... Razem z nią jechał marynarz... i już ją wypatrzył, wybrał. Wysiadł na tej samej stacji, co i ona, i zaproponował, że ją odprowadzi, bo to aż 7 kilometrów od stacji do rodziców. — »Bałam się go. Ale również bałam się odmówić. I oto tam w lesie... w nocy...«.

I płyną niewinne łzy, wołające o pomstę do nieba. Mała główka przytuliła się do mojego kolana... Biedna, biedna ptaszyna! Szuka u tego obcego pana obrony przed tem, co już było, szuka litości... współczucia.

Głędzę tę główkę... Nie mam słów pociechy,

To jest ten »koń na wzgórze«¹⁾, obdarty ze skóry, a jeszcze żywy.

Wlekliśmy się do Saratowa dwie doby. O pół-doby jazdy przed Saratowem stanęliśmy przy jakiejś małej stacyjce i stoimy parę godzin. Wsiada jakieś wojsko. Okazuje się, że tutaj grasuje »banda« Antonowa, jakiegoś rozbitka z armji Denikina, który to Antonow spalił w tych dniach jakąś stację, wyrzwał jakiś sowiet i jest teraz tu osaczony. W pociągu zapanował nastrój nieszczególny. A co, jeżeli ten Antonow napadnie na pociąg? Z pewnością będą sceny z dantejskiego piekła.

Jakoś jednak nic nie zaszło. Dojechaliliśmy do Saratowa pomyślnie.

Z dworca kolei należy iść do przystani i ładować się na statek.

Saratow jest to stolica Wołgi, a zarazem stolica niemieckich kolonij nadwołżańskich (od Saratowa do Carycyna, — zapoczątkowane przez Katarzynę II). I stolica biskupa niemiecko-katolickiego. (Przez pewien czas biskupem saratowskim był dzisiejszy arcybiskup baron Ropp).

Miasto przed wojną bogate, ludne, czyste.

Od r. 1911 — miasto uniwersyteckie. Położone na spadającym ku

¹⁾ Z powieści E. Małaczewskiego.

Woldze amfiteatralnie wyniosłym brzegu. Życie tu przed wojną było bardzo ożywione. Przystanie licznych linii pasażerskich i towarowych, wielki ruch na rzece i w dzień i w nocy; życie handlowe, klubowe, towarzyskie, intelektualne. Teraz cisza... cmentarna. Martwota.

A jednak i w tej ciszy piękne i majestatyczne to miasto. Dość spojrzeć z góry od miasta na Wołgę. Prawda — ani jednego statku, ani holownika, ani barki, ani tratwy. Dziewicze leniwe wody toczą się niezakłócone i płyną jakby śniąc legendy o Stieńce Razinie. Ot, zdaje się, za chwilę stamtąd... »iz-za ostrowa na strieżen, na prostor riecznoj wołny...« wypłyną »czelny« Stieńki Razina. I to byłyby teraz tak naturalne. Przecież i rzeczywistość znowu zbrojcka!...

Idę na przystań. Akurat jest parowiec, który ma za godzinę odbić w kierunku Astrachania. Wydawało się rzeczą prostą wejść i zająć miejsce w kabinie I-ej klasy. Nie zauważyłem jednak, że tuż za mną posuwała się chmara krasnoarmiejców, którzy właśnie też chcieli jechać tym statkiem. Jeszcze byłem o jakie 200 kroków od przystani, kiedy w moich oczach odbyło się widowisko. Oto statek gwizdnął. Żołnierze, myśląc, że on odbija już od brzegu, rzucili się biegiem, wyprzedzając mnie, i opanowali statek szturmem, wyrzucając precz ze statku siedzących już tam pasażerów, łącząc to z krzykiem, hałasem, »matiernej branju«, rękoczynami i dotknięciami kolby. Jakby huragan przemknął obok mnie i wsiadł na statek! I zmusili kapitana jechać natychmiast, choć zostawała jeszcze cała godzina. I w moich oczach statek ruszył, a ja zostałem na przystani z tłumokami. Zaczynam się dowiadywać, kiedy będzie następny. Nikt nie wie. Może dziś, może jutro, a może pojutrze. Ale, powiadają, »czy się pan meldował w komendzie miasta?« Bo tylko ona puszcza na statki. Mówię, że jestem nie tutejszy, że jestem tylko przejazdem. To wszystko jedno. Trzeba. Inaczej pan nie pojedzie.

Idę do tej komendy. Ogonki. Oczekiwanie. Gorąco. Brudno. Wreszcie położyli mi pieczęć na moim dokumencie podróży (tych pieczęci już cała kolekcja). Idę znowu na przystań. Nowina. Powiadają, że za jakieś 3-4 godziny będzie statek. Doskonale! To jest maximum powodzenia. —

Na wybrzeżu zwraca moją uwagę grupa. Jakaś młoda inteligentna piękna kobieta, w ubraniu rozchełstanem na cudownych piersiach, trzyma paromiesięczne dziecko, dość brudne, nieładne. Obok — ma-

rynarz, z twarzą bandyty... okazało się czekista. Zwykle losy terro-
roru: mąż — oficer denikinowski, — zamordowany; żonę wziął cze-
kista. I doczekał się już skutku. Twarz kobiety — skamieniała.

No, wreszcie jest statek! Ale miejsc na nim, niestety, niema. Wchodzę w dość długie pertraktacje z kapitanem, pokazuję mu swój dokument podróży, gdzie jest mowa o kabynie I klasy dla mnie samego. Nie, niema miejsc! Wreszcie, w drodze wyjątkowej uprze-
mości, na swą już odpowiedzialność, puścił mnie na górny pokład. To znaczy, mogłem zająć ławeczkę, nawet dwie, i spać »sub Jove«. No, i to nie było bynajmniej złe, bo — 2-go czerwca. Upały... więc noc tak na świeżem powietrzu — to nawet zdrowo. A widok, jaki będę miał z pokładu, a jakiego z kabiny bym nie miał... to też coś znaczy.

Otóż jestem w siódmym niebie... bajecznie zadowolony z tego, pokładu: bo niema ani sąsiedztwa, ani brudu, ani smrodu, ani...
wszy!

Tym samym statkiem jednak jedzie paczka czekistów z »damami«. Zajęli właśnie najlepsze kabiny. Hulanka. Jedzą, piją, śpiewają.

Nagle, kiedyśmy już sporo odjechali od Saratowa, a była już ciemna noc, a lekki powiew wiatru przyjemnie muskał, a gwiazdy migotały na ciemnym niebie, a na pustej Wołdze odbijały się czasem nikiel nadbrzeżne ogniki... i ta otchłań wodna wydawała się bezkresną... rozległa się pieśń zbójcka (modna wówczas):

»Chaz - Bułat udałoj!

Biedna sakla twoja...«

Przecież to było cudowne... stylowe! Zmaganie się ślepych ży-
wiół! Morderstwo i miłość... bandyta i pieśń...

Mrok pokrył brudy, a wywołał złudzenie dzikiej, lecz barwnej przeszłości.

Na statku poznałem dość sympatycznego inteligenta rosyjskiego, jakiegoś bankowca, czy nauczyciela, nie pamiętam. Rozmowa zaczęła się bardzo mile, lecz wkrótce zesła na »pryncipialnyje wa-
prosny«, głównie dotyczące stosunku Rosjan do rewolucji. Trwała rozmowa dwie godziny, i całe te dwie godziny on narzekał na nie-
zaradność i słabość Rosjan, na niezdolność do oporu, do walki, pogardzał poprostu, pluł na swój naród. A i mnie znudził. Przez grzeczność i z ducha przekory zaczynam mu oponować. I ku swemu własnemu zdumieniu, a i jego, — snuję przed nim obrazy

wręcz przeciwne, podnoszę zalety i wskazuję świetlane perspektywy, wystawiając senną rewolucję, jako ten plus w doświadczeniu Rosjan, którego innym narodom brakuje; a więc — Rosja jest o tyle bogatsza.

Na tym statku po raz pierwszy zobaczyłem drewniane obuwie. Drewniane pantofle, raczej — sandały. Zgrabnie wycięto z kawałka drzewa podeszwę z obcasem, którą w miejscu zginania stopy przy palcach przepiłowano i połączono zawiasem, na którym się przegina. Trzyma się na stopie dwoma rzemyczkami. Latem, a na twardym pokładzie, to wygląda nawet estetycznie. Do tej nędzy w Petrogradzie jeszcze nie doszli. Tam są inne surogaty; np. tak zwane »amerykańskie« buciki o podeszwach z fibry (gumowana tektura).

Tym samym statkiem, więc również do Astrachania, jechał jeszcze jeden towarzysz podróży... cholera.

Dwie doby płynęliśmy do Astrachania. Od Saratowa do Carycyna to najpiękniejsza³ część Wołgi. Prawy brzeg górzysty... A co za piękne te góry! Jak cudowne panujące zajmują położenie nad okolicą... te »kurgany«, »utiosy«... A Wołga tu szeroka na kilometr i więcej.

Tuż za Carycynem zaczyna się piaszczysta pustynia kałmucka. Widzimy na brzegu jurty i melancholijnie kiwające się wielbłądy. Wołga tu rozwidła się na mnóstwo odnóg, rzek i rzeczulek; dużo jest wysp i wysepek, podmywanych prądem... wszystko to płaskie, niskie, — jakiś metr, dwa nad wodą; przeważnie zarośnięte: wierzby, olszyna, sitowie, — słowem, labirynt, trudny i niebezpieczny dla statków, bo już niema tego wielkiego szerokiego nurtu.

W Astrachaniu stanęliśmy wieczorem, więc wrażenie niezłe... bo brudu i niechlujstwa nie widać, a moc ogni na rzece, odbijających się w wodzie, czyni ładny widok. Miasto też oświetlone, widzimy to zdaleka.

Astrachań jest wszechrosyjską stolicą ryby (najlepszej, t. zw. »krasnoj«, czyli: siomga, jesiotr etc.) i — kawioru. Te delikatesy przed wojną jeszcze były tam trzykrotnie tańsze, niż w Petersburgu, no i świeższe, naturalnie.

Staję u pewnego adwokata — żyda, bardzo sympatycznego, który ma być docentem przy mojej katedrze, a więc moim pomocnikiem.

Tylko się ulokowałem do snu po pięciu dniach różności podróży, aż tu — rewizja! Okazało się, że wykryto tam jakąś kontrrewolucję, i to po niedawnych jeszcze mordach i masowych egzekucjach w Astrachaniu. (W ciągu tygodnia wymordowano 15.000 osób. Ślady walk sam jeszcze oglądałem: całe śródmieście ma moc domów rozwalonych armatami.)

Na szczęście, skończyło się na samej rewizji, na samym strachu, bo ten adwokat okazał się nie nadzwyczajnym kontrrewolucjonistą. Jednak zepsuło już mi to sen, gdyż i mnie obudzili i pytali, po co tu jestem. Wylegitymowałem się.

Nazajutrz załatwiam formalności w uniwersytecie, melduję się u rektora. Wyznaczają mi dzień do wykładu inauguracyjnego. Następnie rozglądam się po mieście. Tylko, że upał nieznośny: 55° wyżej zera! Nie jestem przyzwyczajony do takiej temperatury, i ledwo chodzę.

Jak to jednakże wszystko jest względne! Opowiadał mi mój gospodarz, że przed paru dniami przyjeżdżał do nich z Taszkientu czy Czardżuja (w Turkiestanie) inżynier i na ich 50°-wy upał powiada: »nu, u was tu, znajecie, prochładno, — a u nas 65°. Wieś dzień w boczkę s wodoj sidim«. —

Oglądać w Astrachaniu właściwie niema co, prócz Kremlu i wody. Kreml jednak jest zamknięty, bo tam stoi załoga bolszewicka, armaty i kulomioty. Poza tem to całe miasto jest kupą jakiegoś niesamowitego brudu, śmieci, — wprost nie do wiary dla Europejczyka! Dużo miast rosyjskich oglądałem, które wogóle wszystkie są brudne, czystych niema wcale, ale tu... zdębiałem. Coś potwornego! Dość powiedzieć, że rynek jest to sprzedaż wiktuałów takich jak mięso, ryba etc. na gołym bruku rozłożonych!!! (to w gorszej portowej części rynku). A należy zaznaczyć, że Astrachan kanalizacji nie ma, więc wszelkie ekskrementy, pomyje i śmiecie wszelakie wylewa się, lub wyrzuca na podwórze, lub wprost na ulicę przed domami, z wyjątkiem może jednej lub dwu pryncypalnych ulic. Wszystko to od tych afrykańskich upałów wysycha, a potem zefir unosi to w powietrzu w postaci delikatnego kurzu, i to osiada na wszystko, a więc i na mięso i na ryby, i na cukierki nieowinięte, i na rodzyнки, których tam moc¹⁾... i lęgną się z tego miljardy bakterij i... i miljardy much.

¹⁾ Używane są zamiast cukru do herbaty. Kupiwszy funt rodzynek, myłem je w 10(!!) wodach, zanim były zdatne do użytku.

Wszystko to na rynku, ale to literalnie wszystko, pokryte jest grubą warstwą much, jakby chleb masłem, much, no i... tego kurzu aromatycznego!

A jeżeli ktoś coś kupuje, to kupiec, czy straganiarka machnie ręką, i z tego miejsca podnosi się ciężka, ciemna, brzęcząca w uszach chmura much i powoli osiada na głowie, ramionach, twarzy... kupującego.

Dziwić się, że jak spadnie zaraza, to zachorowuje dziennie po kilkuset ludzi.

Otóż tegoż pierwszego dnia zawitała cholera.

Warunki dla niej wymarzone. Pierwszego dnia zachorowało 300 osób i trzysta umarło.

W takim mieście... sam... i cholera!

Pomyślałem natychmiast o środkach zapobiegawczych, zwłaszcza, że miałem już smutne doświadczenie po stracie córki od tej samej choroby. Okazało się jednak, że apteki nie posiadają żadnych lekarstw od cholery. Apteki upaństwowione, a w nich bałagan. Chciałem dostać chociaż wina czerwonego. I dostałem, owszem... aż 200 gramów... wyjątkowo, jako profesor uniwersytetu! Ale wino to okazało się nie do użytku, gdyż było rozcieńczone wodą i to nie przegotowaną! Towarzysze z sowietu winko to popijali, choć ono niby apteczne, dla chorych, a żeby go »nie ubywało«—dolewali wody (i to tej astrachańskiej, rzecznej). No i istotnie — nie ubywało.

Więc i z wina skorzystać nie mogłem.

Drugiego dnia — nowych 300 trupów, trzeciego — 400. Ogarnęła mię panika. Bo mogłem przecie zarazić się na każdym kroku. Tembardziej, że rdzenna ludność — Kałmucy — są w stylu opisanych rynków. Mało czem różnią się od zwierząt pod względem higieny. Jako prawdziwi mongołowie nigdy się nie myją, ani czeszą. Śpią często na bruku ulicy w tym gnoju i smrodzie... i przecież chodzą po całym mieście, które jest ich stolicą, stolicą ich republiki kałmuckiej, i roznoszą na sobie zarazę!

A propos tej republiki: prezesem »Spółkomu« był wtedy akurat potomek dawnych chanów kałmuckich — chan Amursana.

Czwartej, zdaje się, nocy obudziły mnie jakieś głosy przytłumione, stękanie, otwieranie drzwi wejściowych, wogóle — jakiś nagły zamęt.

Okazuje się, że brat żony mego gospodarza zachorował na cholere.

Niema ani chwili do stracenia!

Zamykam na klucz drzwi do mieszkania, ubieram się, pakuję rzeczy, otwieram okno, które szczęściem wychodzi na schody zewnętrzne i... uciekam do gmachu uniwersytetu. I tam na zewnętrznej części schodów drzemię na łomokach do rana, czekając aż woźny otworzy drzwi. Tego dnia przeniosłem się do innego docenta, z innej katedry.

A tamten nieborak pomęczył się jedną dobę, co już było wielkiem zwycięstwem medycyny, i umarł. Akurat te parę dni od mego przyjazdu spędziłem właśnie z nim. On mi pokazywał miasto. Z nim też mówiłem o nieśmiertelności duszy, bo właśnie się tem zagadnieniem interesował. Nie wyciągam stąd zresztą żadnych wniosków o zainteresowaniu żydów tem zagadnieniem.

Wkrótce potem miałem wykład inauguracyjny. Otrzymałem asygnatę na pieniądze za mój przyjazd, otrzymałem »order« na buty (t. j. zlecenie na otrzymanie ze składu) i tam jeszcze coś. Butów męskich jednak w mieście akurat zabrakło. Mówią mi: »To weź pan damskie pantofle. Pan jesteś żonaty«. Wziąłem, oczywiście, damskie pantofle.

Zauważyłem, że ludzie solidniejsi z profesury nie dążyli do utrzymania tego uniwersytetu, który już był, jak się okazało, skazany na likwidację dla braku funduszków; starali się oni prosto podzielić rozporządzalne środki w sposób najlepszy i dać nura zagranicę. Jednemu, który miał zwać do Persji, dałem nawet list polecający do mego dawnego ucznia, a ówczesnego ministra perskiego Mahometa Ali Chana Saalar Moazama.

Co do uniwersytetów, to bolszewicy na początku zrobili z jedenastu przedwojennych aż 36. Oczywiście, że zabrakło ludzi i pieniędzy, więc niebawem zaczęli zwijać. Jednak parę lat było aż 36 uniwersytetów. W tym to czasie powstał typ »rejze-profesorac».

Otóż miałem otrzymać milion rubli. Było to wtedy dość dużo. Tyle co 4—5 miesięczna moja gaża, chociaż na złoto—to tylko 60 rubli, ale siła nabywcza złota wzrosła kilkakrotnie w stosunku do przedwojennej. Kiedy po miesiącu wreszcie wyjechałem z Astrachania i w Petersburgu (szykując się do repatrjacji) nakupiłem rzeczy srebrnych i złotych, ile przepis pozwalał na wywiezienie—to w Warszawie, spieniężywszy je, utrzymywałem się całe dwa miesiące.

Jednak milion tymczasem był tylko na papierze, bo asygnatę

miałem, ale pieniędzy w kasie miejskiej nie było. Poprostu w mieście był chwilowy brak »diennek«, czyli banknotów. Trzeba było czekać 2 — 3 tygodnie aż przywożą je z Moskwy.

Chodząc w tej sprawie do »kaszniczejstwa« sowietu, spotkałem tam pewnego razu miejscową bolszewicką znakomitość, »komandarma« towarzysza Czugunowa, który, tępiąc kontrrewolucję, wymordował w samym Astrachaniu 10.000 robotników i zrównał z ziemią wszystkie kolonie niemieckie od Saratowa, aż do Astrachania, mordując sto tysięcy ludzi. Mały, szczupły... wyraz twarzy okrutny... oczy jakieś przekrwione. Na piersi dwa ordery «krasnawo znamięni». Dobrze, że widziałem go tylko raz. Drugi raz nie chciałbym widzieć. Niech kto inny patrzy.

Po tygodniu pobytu mojego u drugiego kolegi (ten miał żonę i córeczkę lat 10-u) — nad wieczorem — katastrofa. Zachorowuje jego córeczka. Symptomy, jak przy cholercie.

Uciekać, czy nie uciekać? A tu kolega prosi właśnie, bym pomógł mu. Zostałem. Ale, Bóg świadkiem, że mnie to drogo kosztowało. Na szczęście okazało się, że to nie była jednak cholera.

Wreszcie był jeden tylko środek zapobieżenia zarazie — to szczepienie! I musiałem poddać się trzykrotnie szczepieniu ochronnemu. A więc, że tak powiem, połknąłem trochę cholery.

Otóż wracając z któregoś szczepienia do domu, przez Jamgurczewskij most, patrzę: idzie przez ulicę jakaś baba, zatrzymuje się... jakieś drgawki... przysiadła, podrygała i... zastygła. I cerę miała jakąś zbyt czarną. Obszedłem ją zdaleka. Wróciwszy do domu, opowiadam.

Kolega mówi: »i dobrze pan zrobił, że obszedł, — to dzuma«. Widząc moje przerażenie, uspakaja, że to u nich nie należy do rzadkości. A, powiada, u kałmuków, w ich stepach, to po jurtach zjawisko endemiczne, tam dzuma jest zawsze. I oni to właśnie przynoszą ją do miasta.

Po tym wypadku użyłem nadludzkiej energii aby przyspieszyć wyjazd, co mi się wreszcie udało. Cały miesiąc przeżyłem w tem upiornym mieście.

Wyrwałem się wreszcie z Astrachania w ostatnich dniach lipca r. 1921.

Dojechawszy do Carycyna, wybrałem się na rynek po zakupy, bo tam była wielka obfitość wszystkiego. Wracając, mijam olbrzy-

mie składy materiałów leśnych, odległe o jakieś sto kroków od przystani. Już jestem na statku, rozlokowuję kupione rzeczy,... nagle — tuż przed oknem kabiny ogień!..., coraz większy... dymy czarne, — aż wreszcie rozszalało całe morze płomieni. I na tej odległości robi się gorąco, jak w piecu. Zalatują już iskry,... już głównie...

Nasz kapitan, obawiając się pożaru na statku, kazał rąbać powrozy, wiążące statek do przystani, i odbijać natychmiast od brzegu. Odbijając widzimy, że któraś z przystani już się pali. No, odeszliśmy na jakieś $\frac{1}{4}$ kilometra, aż tu z brzegu zaczynają do nas strzelać. Strzały jeden po drugim. Chowamy się za grubsze części statku. Okazuje się, że był to sygnał i rozkaz abyśmy stanęli! Stanęliśmy. Bo ten statek obowiązany był nieść ratunek przy pomocy ludzi, pomp, sprzętu i dawać schronienie. Jakoś się jednak nikt do nas nie zgłosił, i statek nasz, rozwijając małą parę, nieznacznie oddalił się jeszcze bardziej, a potem zwiął.

Jeszcze jedna doba do Saratowa. W ciągu tej doby dowiadujemy się, że z Astrachania jedzie z nami również tym samym statkiem cholera. Oto dwóch biednych Tatarów zachorowało, a jeden z nich skonał już w ustępie. Czeka więc nas w Saratowie kwarantana. Przybijamy nie do zwykłej przystani, lecz do kwarantanowej.

Ceregiele, brudy... ja jednak, jako mający szczepienia, idę sobie, i wreszcie jestem w normalnym osobowym pociągu, który mnie unosi do Petrogradu.

A tam już czeka na mnie repatrjacja.

K O N I E C

ERRATA.

		zamiast	winno być
Strona 2	wiersz 15 od dołu	drednotów	<i>dreadnoughtów</i>
„ 11	„ 5 „ „	drednoty	<i>dreadnoughty</i>
„ 79	„ 14 od góry	chaktarystycznego	<i>charakterystycznego</i>
„ 85	„ 7 „ „	torpedowem	<i>minowem</i>
„ 95	„ 6 od dołu	trytolu	<i>trotylu</i>
„ 116	„ 2 „ „	miadomo	<i>wiadomo</i>
„ 135	„ 21 od góry	samcego	<i>samego</i>
„ 137	„ 13 „ „	gospoderce	<i>gospodarce</i>
„ 138	„ 5 „ „	zaledwie	<i>zaledwie</i>

SPIS RZECZY

	str.
Przedmowa	V
Kronsztadt, położenie i znaczenie	1
Wojna	8
I-y Kronsztadt, 1917-19	16
Rewolucja, zmiany w Kronsztadzie	28
Rewolucyjna organizacja życia	31
Przyjazd Kiereńskiego	32
Koleje żelazne latem 1917 r.	35
»Niepodległość« Kronsztadu 16-30.V 1917	38
Zostaje gubernatorem	44
Rząd Tymczasowy, wrażenia	46
Moje stanowisko polityczne	47
Moje pierwsze kroki, wizytacja więzień	51
Sąd nad oficerami	53
Powitanie w radzie miejskiej	54
Plany organizacyjne	55
Pierwsza próba przewrotu bolszewickiego (3-5 lipca 1917)	56
Przyjazd i uratowanie Lebediew'a, ministra marynarki	66
Projekt sprowadzenia rodziny carskiej do Kronsztadu	69
Moja dymisja	69
»Korniłowskije dni«	71
Dalszy wzrost bolszewizmu w Rosji i przewrót 25 października	74
Wysadzenie fortu »Ino«	78
Moda »à la matros«	79
Habilitacja, śmierć córki, próba wyjazdu do kraju	80
Powrót floty wojennej z Helsingforsu do Kronsztadu	85
Polacy w Kronsztadzie	86
Ostatnia wilja w Kronsztadzie	88
Podróż argonautów po złote runo	88
II-i Kronsztadt 13-15 czerwca 1919 r.	94
Przeniesienie się do Petrogradu	102
Petersburg i Witebsk	105
Życie w Petersburgu w latach 1919-1921	109
Ceny produktów w r. 1919 i 1921	118
Aresztowanie i więzienie	121
III-i Kronsztadt 1-18.III 1921 r.	131
Wpływ III-go Kronsztadu na NEP i Traktat Ryski	143
Astrachań i powrót do kraju	151

MAPA OKOLIC KRONSZTADTU

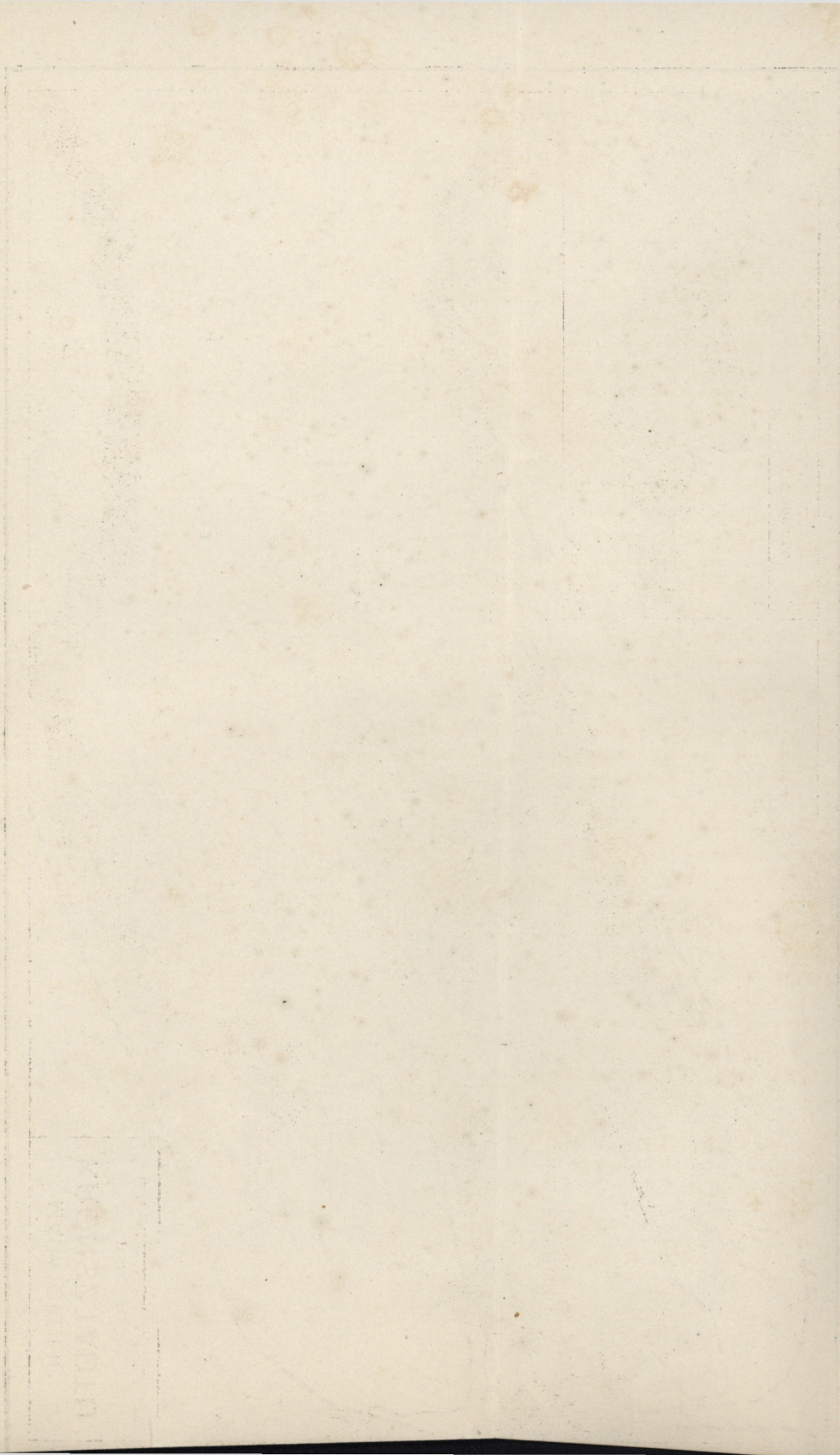
1:350.000

0 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 km



1:6.000.000

0 20 40 60 80 100 120 140 km



UTGAVEN